

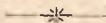
~~18156~~

B. P. im. L.

# BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



## WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) rs. 10

Rocznie . . (52 tomy) rs. 12

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Półrocznie . (26 tomów) „ 6

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Kwartalnie . (12 tomów) „ 3

Za odnośnienie do domu 16 kop. kw.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

## DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 6 kop. —

Półrocznie . (za 26 tomów) . . . „ 8 „ —

Kwartalnie. (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

*Franc. Jul. Granowski*



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Swiat 47.—Telefonu 1670  
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47.



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 277.

PODRÓŻ DO JAPONII.

Spółeczeństwo Japońskie.

PRZEZ

ANDRÉ BELLESSERT.

Dzieło uwieńczone przez Akademię Francuską,

przekład wolny

J. P.

Część II.



Cena 40 kop.

W pren. 304 kop

WARSZAWA

Redakcyja i Administracyja  
47. Nowy-Świat 47.

—  
1903.



**SPOŁECZEŃSTWO JAPOŃSKIE.**



1000072535

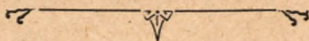


1059



30397

ANDRÉ BELLESSERT.



PODRÓŻ DO JAPONII.

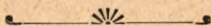


# SPOŁECZEŃSTWO JAPONSKIE.

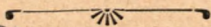
DZIEŁO UWIĘCZONE PRZEZ AKADEMIE FRANCUSKĄ.

PRZEKŁAD WOLNY

J. P.



Część II.



WARSZAWA

DRUKARNIA

A. T. JEZIERSKIEGO

47. Nowy - Świat 47.



Дозволено Цензурою.  
Варшава 9 Апрѣля 1903 года.



324034 / 2

308 (520) „18” : 990. 85 (520)



## ROZDZIAŁ II.

### Kult narodowy.

Wykształcony Japończyk mówi zawsze o szyn-  
toizmie w sposób nieokreślony i lekko wzgardliwy. Jeżeli wszakże przypomnimy sobie, że człowiek ten, z tą samą niechęcią wprowadza nas do swego domu, że jego grzeczność polega na obniżaniu wszystkiego, co doń należy i jest mu drogiem, domyślimy się z łatwością, że religia ta podniesiona do godności kultu urzędowego ze względów politycznych, zawiera skarb uczuć i tradycyi, które są dlań tem droższe, im staranniej je ukrywa. Szyn-  
toizm jest nie tylko kultem majestatu cesarskiego; jest to religia narodowości japońskiej.

Do świątyń szyn-  
toistycznych, zwanych *miya*, niosą nowonarodzone niemowlęta, a kiedy bóg niewidzialny zstępuje na koronkę papierową, *gohei* szyn-  
toistyczny decyduje o imieniu dziecka. Będzie ono mogło z czasem uznać naukę Konfucjusza, lub uwierzyć w cuda Amidy; może nawet przyjąć jedną z religij obcych; było jednak poświęcone szyn-  
toizmowi; posiadali je dawni bogowie kraju i dusza jego na zawsze zachowa dumne i naiwne piętno tego posiadania.

Pewien Japończyk, bardzo wolnomyślny, ale konserwatysta, rzekł do mnie kiedyś:

— Wszyscy jesteśmy szyntoistami, nie wyłączając i pana. Podróżując po Francyi, widziałem wszędzie w urzędach municypalnych, kolegiach, trybunałach popiersia Rzeczypospolitej: oto wasz szyntoizm!

— Jest on niższym od waszego—odpowiedziałem—ponieważ go zmieniamy od czasu do czasu.

— Istotnie — odparł; — jeden z mych przyjaciół, który zwiedzał Francję w 1869 r., dowodził mi, że wasz szyntoizm miał wtedy oblicze mężkie. Widzimy więc, jak niebezpiecznie jest nadawać symbolom postaci ludzkie. Nasza prostota okazała może więcej rozumu, niż wasza wysoka kultura; a nasz szyntoizm, ze swym świętym kamieniem, szablą i zwierciadłem ma istnienie zapewnione, dopóki Japończycy miłować będą spryt, honor i swą własną postać.

Po chwili dodał, rozszerzając w uśmiechu swą twarz gładką i okrągłą, jak księżyc:

— Trzeba szanować to zwierciadło, panie! Japonia w niem się przegląda i znajduje siebie piękną.

Zgodźmy się na ten kaprys i spojrzymy z ciekawością w zwierciadło święte, starając się uchwycić cechy pierwotne i niezmienne, w których się dusza japońska wyraża, któremi się zachwyca i które podziwia.

Czytałem dzieła szyntoistyczne, zapytywałem nieraz kapłanów, słynnych z mądrości. Robili oni wrażenie zakrystyanów i parafialnych skarbników kultu cesarskiego. Ludzie zacni, dobrzy ojcowie rodzin, urzędnicy sumienni, wydali mi się jednak równie słabymi teologami, jak ubogimi filozofami. Przyjęli mnie w swym domu, przylegającym do świątyni; dom ten był bardzo czysty, ale pozbawiony wszelkich ozdób; zdawało się, że nawet cień jakiejś idei nie dotknął nigdy skromnych boazeryj i delikatnych *tatami*. Daremnie szukałem wzrokiem ka-

*kemono*, którem najuboższy wieśniak zasłania ściany alkowy, albo jakiejś wazy brązowej z kwiatem jedynym, mającym wywoływać obrazy kwiatów innych, albo wreszcie maleńkiego drzewka, streszczającego w sobie pojęcie całego lasu. Ale ani małe drzewko, powykęcane umiejętnie, ani waza rzeźbiona, ani kwiat jedyny, ani malowidło dekoracyjne, żadne ze zwykłych ozdób buddyjskich nie figurowało w tem mieszkaniu archaicznem; łagodne światło Japonii panowało w niem wszechwładnie.

Gospodarze kłęząc na matach przed filiżankami napełnionemi herbatą, wtajemniczali mnie w swą teogonię. Bogowie powstawali z oczu i nosa; pierwsze żniwa wyrastały na ich trupie; brat bogini słońca, rozgniewany na siostrę rzucił konia odartego ze skóry na jej warsztat tkacki; miriady bóstw, olbrzymich i śmiesznych, których imiona najkrótsze mają jeszcze długość łokciową, napełniały niebo, ziemię, wody, powietrze; ale ich nie ożywiały.

Opowiadanie to uroczyste i dokładne, nadawało twarzom tych teologów wyraz jakiejś dziecinnej starości.

A jednak legendy ich nie są uboższe od tych, które geniusz aryjski wytworzył o sobie i o wszechświecie. Odnajdujemy w nich te same wzniosłe niedorzeczności.

Cały tłum bóstw milczących nie zakłócał zupełnie spokoju moralistom. Zadanie swe uprościli znakomicie. Japonia jest ziemią bogów; Japończycy są synami bogów, i jako tacy, dzielają ich mądrość. Umieją wszystko od urodzenia. Różnica pomiędzy nimi i innymi ludami polega nie na ilości, ale na jakości wiedzy.

Rasa boska, z przyrodzenia szczęśliwa i nieomylna, dochodząc do uznania konieczności jakiegoś systemu etycznego, uznałaby swą niższość nawet wobec zwierząt. W ten sposób stary doktor Motowori w końcu XVIII-go w., wykladał doktry-



nę szynioistyczną. A kapłani, z którymi rozprawiłem o przeznaczeniu ludzkości, rozumowali prawie tak samo, jak Motowori.

Zwierciadło szynioistyczne odbiło obraz próżności nadzwyczajnej i najmilszego zadowolenia, jakie człowiek kiedykolwiek zawdzięczał swej ignoracyi. W przeciągu wieków przeglądało się w niem z upodobaniem ubóstwo idei japońskich. Ale ludzie nie nauczyli się poznawania siebie. Dzisiaj w tem szkle powiększającym widzą jeszcze swe boskie pochodzenie, a jeżeli nie wszyscy już w nie wierzą, wielu myśli tak, jak ów poczciwy Japończyk, który będąc zagranicą, pozwalał jakiemuś szalbierzowi tytułować siebie wnukiem Mikada; później okradziony, oszukany, przyznawał mi się z całą szczerością: „Wiedziałem dobrze, że to nieprawda, ale tak mi jego kłamstwo pochlebiało!” Szynioizm schlebia ich pysze wyspiarzy.

Ale pycha ta—nieznośna, kiedy ją ogarnie chęćka filozofowania—w sercach maluczkich jest tylko instynktem samozachowczym i religijnem prawie ukochaniem kraju rodzinnego. Myśl japońska, zarozumiała i jałowa, ma korzenie trwałe i niezmiernie delikatne. Jeżeli szynioizm wprawia w odrętwienie zdolność spekulacyjną człowieka, daje w zamian do jego rozporządzenia trzy albo cztery zasady istotne, uświęcone zwyczajem, wystarczające do wytworzenia narodu, nie powiem wielkiego, ale miłego, zdrowego i nawet silnego.

Bez dogmatów, bez ksiąg świętych, bez wiary w życie przyszłe, szynioizm zatrzymuje człowieka na ziemi, ograniczając jego widzenie sferą przedmiotów otaczających. Są one zachwycające. Stopy ludzkie z jakimś spokojem upajającym depcą „drogę bogów”, usłaną kwiatami. Oczy nie tracą nigdy jej śladu, ani zstępując do nizin, ani wchodząc na wyżyny. Wzgórza, doliny, lasy, wyspy zmieniają swe barwy, zależnie od pory roku; lato pokrywa je

zielenią ciemną, jesień purpurą. Wiosna ma swe śniegi, zima zapachy. Gromy przyrody rozpływają się w uśmiechu. Wśród tylu piękności i światła pierwszą potrzebą, budzącą się w człowieku, jest zachowanie czystości ciała. Obawia się on wszelkiej zmayı chorób i zmayı śmierci, wszystkiego, co może skalać obraz zdrowia doskonałego i pięknego.

Podstawowym obrządkiem szintoizmu był przepis higieny Oczyszczania, które towarzyszyły urodzeniu i szły za człowiekiem do grobu, przechowały się do dzisiaj, pod nazwą starych zwyczajów. Stawiają sól w pokoju chorego; obsypują nią osoby, wracające z pogrzebu. Sól jest środkiem antyseptycznym.

Abluicye religijne zastąpiły codzienne zanurzania się w wodzie. Zaczynając od cesarza, kończąc na najbiedniejszym kurumaya.

Japończycy codziennie kąpią się w sadzawce. Brak czystości gorszy ich niewymownie, prawie tak, jak każde świętokradztwo. Bogowie bowiem są wszędzie, a imię *Kami* stosuje się nie tylko do bóstw twórczych i ludzi „wyższych:” góra jest także *kami*, morze wzburzone również *kami*; drzewo, roślina, owoc, kwiat, kamień, wszystkie te przedmioty, obdarzone niegdyś darem mowy—są *kami*; wszystko, co jest dziełem rąk ludzi, podobnych bogom, może być także *kami*; powietrze, to czyste i zdrowe powietrze Japonii jest napełnione *kami*, boskimi gońcami dusz zatopionych w modlitwie. Nic nie powinno profanować tych istot godnych szacunku, które się objawiają naszym sercom podobnie, jak lekki powiew wiatru naszym zmysłom. Czystość dobrej gospodyni jest aktem pobożności. Wałanie mat wyściełających domy, albo mieszanie popiołu z hibachi z jakąś rzeczą nieczystą, byłoby obrazą Istoty Niewidzialnej.

My potracamy szorstko nasze sprzęty, które

traktujemy jak niewolników; myśl nasza ożywia je tylko w napadzie gniewu i wtedy postępuje z niemi gwałtownie.

Japonia jest może jedynym krajem w świecie, gdzie zachowują grzeczność wobec przedmiotów martwych. Japończycy mają ręce lekkie i pełne uszanowania. Zresztą ich względy pobożne odnoszą się tylko do przedmiotów krajowego wyrobu. Nie dbałe często zachowanie się wobec artykułów przemysłu europejskiego, dowodzi nietylko braku doświadczenia. Przedmioty te są w ich oczach obcemi, niepoświęconemi. Można je kalać bezkarnie.

Japończyk, rozmiłowany w piękności wód, w kamieniach, wygładzonych przez potoki, w mgłach, unoszących się po nad falami i tak czule przywiązany do zewnętrznej postaci rzeczy, nie wygnał swych zmarłych do piekła smutnego, gdzie dusze jęczą dlatego tylko, że są cieniami. Nie wiem, czy kult zmarłych poprzedził wszystkie inne kultury i czy dużo czasu potrzebowała ludzkość, ażeby między sobą i drugą krawędzią przepaści rzucić ten łańcuch mar. Lecz szynotoizm, oparty na boskiem pochodzeniu narodu japońskiego, pomieszał wkrótce umarłych z bogami, stwórcami kraju. To są *kami* najdroższe, najwięcej szanowane. One sprowadzają zmianę pór roku, pogodę, szczęście i nieszczęście. One rządzą światem żyjących, żyją życiem nietykalnem i istotnem. Oddychają wonią kwiatów, które dla nich zerwano; gaszą pragnienie zimną wodą, dla nich do kubka nalaną. Lubią muzykę, tańce, to wszystko, co wprawia w dobry humor bóstwa niebieskie. Najlepszy malarz życia japońskiego, Lafcadio Hearn, opowiada nam historię prawdziwą pewnej tancerki, która po śmierci swego kochanka, wieczorem, w samotnej chatce, o godzinie, w której ją zwykle odwiedzał luby stroiła się w szaty najpiękniejsze i przy świetle lamp z uśmiechem rozkoszy tańczyła przed ta-



bliczką pogrzebową. Wiara w istotną obecność zmarłych w niezwykłym stopniu rozwija poczucie świata niewidzialnego. Japończycy śpią, budzą się, chodzą, rozmawiają w obecności duchów.

Jeżeli wszakże duchy te oddziałują na nas to my również oddziaływamy na nich, tak ściśle związany jest świat zmysłowy ze światem nadziemskim. „Dziennik Urzędowy” informuje nas czasem, że duch jakiegoś zmarłego dzielnego żołnierza otrzymał awans, albo że cesarz podniósł w hierarchii społecznej jakiegoś zmarłego przez wzgląd na sławny czyn jego syna. Widziałem Europejczyków, żartujących z tego zwyczaju. Czy jednak śmieliby się oni z poety, który mówi o swych przodkach: „Gdy piszę ich historię, wydaję mi się, że oni się budzą do życia.”

Czyż ci Europejczycy nie budują u siebie panteonów? Czyż nie dają swym znakomitym zmarłym nagrody publicznej w postaci pomnika z brązu lub marmuru? Jest to idea ta sama, tylko odarta z siły intuicyjnej i ochłodzona inteligencją. Zamknięty w ciasnym kółku wyobrażeń zmysłowych Japończyk, dla którego duchy nie są abstrakcją, posłuszny jest szczerze sugestynom pierwotnym, których echem wskrzeszonym są często słowa naszych wielkich poetów. Jakiś np. wiersz Lamartine’a niewyraźny, jak pierwszy rytm duszy ludzkiej, jakiś obraz Wiktora Hugo, zdający się być utworem Sybilli lub spirytysty, byłyby z pewnością, nie powiem lepiej zrozumiane, ale bezpośrednio odczute przez wieśniaka japońskiego, niż przez mieszczanina paryzkiego.

Nauka, właściwie psychologia, nasze dysputy o dziedziczności, rozprawy o ewolucyi, nasze dramaty i powieści podzielone na obrazy, czy na akty, cała nasza logika, wymowa i sztuka mniej wpływają na podtrzymanie religii przeszłości, niż mały ołtarz domowy, przy którym Japończycy wchodzą w sto-

sunki z duchami. Nasze teorye są doskonałe i lepiej od ludu dalekiego Wschodu rozumiemy swe skromne pochodzenie. Tłómaczą nam, jakim wysiłkiem pokoleń poprzednich życie nasze więcej humanitarne wzbogaciło swą wiedzę wewnętrzną, uszlachetniając ją bólem, myślami, cierpliwością i miłością. Uczą nas szacunku dla tych, którzy słowem lub orężem rozszerzyli granice naszej ojczyzny i którzy dlatego tylko, że wyrażają ideał naszej rasy, pobudzają nas do wytrwałego prowadzenia ich pracy. Są to wiadomości, których nikt nie udziela Japończykom. A jednak wiedzą o tem, a raczej odczuwają to głębiej, niż sięgnąć może intuicya poetów, lub dyalektyka filozofów. Teraźniejszość ich nie zerwała, jeżeli można się tak wyrazić, węzła, łączącego go z przeszłością. Patriotyzm, odwaga żołnierska, poświęcenie się dla rodziny, szacunek niewzruszony dla matki, która wydała na świat część bóstwa, wszystkie te cnoty są właściwie tylko hołdem winnym i złożonym duszom zmarłych.

Starożytni prawodawcy Japonii zmuszając dzieci do płacenia długów rodzicielskich, uświęcili tylko powagą kodeksu cywilnego prawo moralne szyn-toizmu. W czasach odległych, kiedy się można było sprzedawać i kiedy wyrzeczenie się swobody osobistej dla motywów chwalebnych nie pociągało za sobą infamii, postanowiono, że dzieci, sprzedające się dla dobra swych rodziców, zostają zdegradowane społecznie, a to dlatego, ażeby czułość dziecięca była zawsze gotową do abnegacyi najcięższych i żeby ceną najwyższego cierpienia podnieść wartość zasługi.

Przodkowie stają się duchami opiekuńczemi ogniska domowego, do którego przyjmują nawet religie obce, z warunkiem jednak, ażeby ich nowi bogowie nie znieważali. Jakiś zamach niezręczny albo brutalny poruszyłby fanatyzm nietyle religijny, ile

obywatelski. Kto dotyka zmarłych, oburza przeciw sobie kraj cały. Ale nie wszyscy zmarli byli ludźmi uczciwymi. Tych, którzy pozostawili po sobie wspomnienie złe, starają się ułagodzić jakimiś ofiarami. Ich cienie swarliwe niczem nie przypominają naszych duchów ciemności. Jeżeli dusza japońska przypuszczała w naturze jakiś dualizm, to nigdy nie wytworzyła pojęcia wiecznego potępienia. Tak zwane „duchy wiarołomne” nie czyhają zupełnie na naszą zgubę. Uważają się za święte, ponieważ wpływ ich, nawet szkodliwy, jest pierwiastkiem atmosfery narodowej. Zresztą, powietrze dobroczynne Japonii pochłania i unosi tchnienia tych duchów złośliwych, unoszących się nad grobami samotnemi.

Odbyłem pielgrzymkę do Isé, gdzie co lat 20 palą, a później odbudowują najdroższe świątynie szynotoizmu. Około brzegów Yamato na morzu rybnem powiewały żagle. Wiatr, wiejący od zatoki i przesycony solą, roznosił jakąś dziwną, przejmującą świeżość po łąkach ryżu i koniczyny, aż do gór zamykających horyzont. Rozległą, zieloną płaszczyznę urozmaicały i ożywiały kwiaty czerwone, które lada silniejszy prąd powietrza kołysał lekko, tworząc fale łagodne. Na tle tej zieloności, która w zagłębieniach dolin i wąwozów górskich nabierała tonów ciemniejszych, odcinały się fermy, strumienie, drzewa stuletnie, drewniane lub kamienne mosty o kształtach dziwacznych.

Byłem tam bez żadnego przewodnika, prócz mego kurumaya, który ani słowa nie rozumiał po francusku. Pielgrzymi zapełniali drogi; jedni, poumierani bogato w jedwab ciemny, prowadzili z sobą córeczki w jasnych sukienkach; inni, okryci kurzem, z kijem w ręku, nieśli na szyi worek z papieru przepojonego oliwą, napełniony amuletami. Przypominam sobie wyraźnie młodą kobietę, która szła za swym mężem, prowadząc za rękę małego chłopca,



ubranego w mundur generała europejskiego. Mundur ten stanowił dysonans na tle tłumu japońskiego, a jednak widok tego Japończyka przyszłości, wiedzionego do ołtarzy przeszłości, miał w sobie coś wzruszającego.

Weszliśmy pomiędzy wspaniałe krzewy, których cienie i światła zdawały skupiać na łonie tej cudnej natury, całą słodycz rozlaną w przestrzeni. Drogi prowadziły w dół ku jasnej, jak kryształ. wodzie, gdzie się kąpali pielgrzymi w cieniu rzuconym przez gałęzie drzew. Szeroka szosa, wysypana czarnymi, zaokrąglonemi kamykami, wysadzona drzewami, prowadziła pod górę; po obu stronach drogi, na żółtej, ubitej ziemi rysowały się ścieżki. Od czasu do czasu portyki, zwane *torii*, rozpościerały nad naszemi głowami swe poziome, lekko zaokrąglone belki; w *torii* mieszczą się poświęcone bogom ptaki, krzykiem swym zwiastujące jutrzeńkę.

Przybyliśmy wreszcie do przybytku bogini Słońca; w świątyni tej, czczonej powszechnie, co roku, w porze dojrzewania ryżu, posłaniec cesarski składa pierwsze plody zbiorów.

Stromy, słoniany dach, którego belki skrajne przedłużają się i krzyżują w powietrzu, balkon okrągły, zaledwie o dwa stopnie podniesiony, drzwi z osiami żelaznemi—wszystko zdradza budowę chatki pierwotnej. Dziedziniec, wysypany drobnemi głazami, zaokrąglonemi przez fale morskie i wodę potoków, przypomina wybrzeże kamieniste.

Świątynię otacza lasek z kryptomeryi. Wejście, którego nikt nigdy nie przestąpi, pokryte jest białą, przejrzystą zasłoną, kryjącą Istotę niewidzialną. Zadnych ozdób, żadnego obrazu.

Zwierciadło, *gohei*, t. j. laski bogów, ozdobione skrawkami papieru, relikwie świątyni, jedwabie kosztowne, ozdoby siodlarskie dla koni świętych, zamknięte są w skromnym skarbcu, z którego się wyjmują tylko w dni uroczyste.

Ta prostota nadzwyczajna zdaje się zawierać w sobie coś onieśmielającego, boskiego. Z pomiędzy wszystkich świątyń, które zwiedzałem na dalekim Wschodzie, jedynie świątynia szyntoistyczna wywarła na mnie, profana, wrażenie głęboko religijne. Być może, iż zdradza ona ubóstwo duchowe Japończyków, ale w duszy ich dostrzegam iskierkę tajemniczą, która łączy pierwiastki najprostsze, tworząc coś przedziwnego. Te deski zaledwie ociosane, kamienie zebrane z łoża potoków, słoma, belki, zasłona i czar natury, wywołują wrażenie obecności bóstwa.

---

### ROZDZIAŁ III.

---

#### Rozkosz buddyjska.

Jest to rzeczą zupełnie naturalną, że nauka Konfucjusza, zaniesiona do Japonii, przyjęła się tam z łatwością; szyntoizm bowiem, jałowy w spekulacjach, zawierał już ziarna pozytywizmu religijnego. Konfucyanizm stał się jego wyrazem.

W głębi duszy i serca samurajowie japońscy zachowali wiarę szyntoistyczną, tylko formułki jej zapożyczyli z chińskich ksiąg świętych.

Ale możnaby poczytywać za cud prawdziwy, że w narodzie tak optymistycznym i próżnym, prawie bez walki mógł zapanować buddyzm, rzucając cień swój na całe życie społeczne; tłumaczy się to tylko w ten sposób, że buddyzm, filozofia tajemnicza, był wyzyskiwany przez duchowieństwo, złożone z kazuistów bezczelnych. Zagradzających mu drogę opornych bogów przemieniał na Buddów, podobnie jak mnisi, przysięgający na post ścisły, smaczny drób mianują karpem, a dzika, tarzającego się w błocie, nazywają wielorybem leśnym. Metafizyka

transcendentalna buddyźmu nadaje mu elastyczność zadziwiającą, pozwalając przyodziać formy najzupełniej nieoczekiwane. Jest on subtelny, a zarazem brutalny, subtelny nawet w brutalnościach. Nic go nie krępuje. Wślizga się wszędzie, nadaje nowe znaczenie starym obrazom mistycznym; przenika ziemię, drzewo, kamień, człowieka. Gdy nie jest napojem, to jest czarą, w której ludzie gaszą pragnienie. „Staje się księżycem, słońcem, chmurą, trawą, ptakiem i rybą,” staje się ziemią dla przyjęcia zmarłych.

Wszystkie przesady krajowe przychodzą do niego, jak gady do czarnoksiężnika; przyswaja je, bawi się nimi, pokazuje sztuki. Otwiera szkoły ascetyzmu i utrzymuje sklepy z amuletami. Leki jego przyrządzane są przez filozofów; abraxasy <sup>1)</sup>, wryte przez profesorów hypnotyzmu. Bonzowie jego mogliby utwierdzić encyklopedystów w mniemaniu, że religię fabrykują księża.

Słyszałem nieraz, jak wielu z pomiędzy nich — i to wybitniejszych — dowodziło konieczności wymyślenia nieba dla użytku tłumu i utorowania mu drogi do zbawienia, której słupami wytycznemi miały być bałwany. Czy byli oni kuglarzami? I tak — i nie. Szarlatanizm ich często tchnie miłosierdziem. W tej przynęcie, na którą łapią dusze, ukryli homeopatyczną dozę prawdy. Obmierzły, czy wykwintny, rozkoszny nawet w swych najgorszych awatarach, buddyźm zachowuje zawsze pierwiastek dobroci wyższej. Zwodzi nas, podobnie jak natura, ale wbrew samej sobie i dla naszego szczęścia

Wykrety, któremi się posługuje dla celów wyższych, zapewniły mu w Japonii powodzenie. Buddyźm nie żądał zupełnie obalenia dawnych świątyń; zgromadził ich bogów i rozpoczął na swój rachunek kult przodków.

<sup>1)</sup> Wyrazy magiczne.

Pozornie nic się w kraju nie zmieniło, powiększyła się tylko ilość bóstw, którym nadano postacie ludzkie.

W wyższym jeszcze stopniu, niż łatwa i giętka dyplomacya bonzów, przyczyniły się do tryumfu buddyzmu nowości, działające na zmysły. Mówią, że szyntoizm nie przemawia do serca; należałoby raczej powiedzieć, że nie przemawia do zmysłów. Niewyzyskaną i wolną drogą wrażeń zmysłowych buddyzm wkroczył do duszy japońskiej i zwycięzko się tam osiedlił.

Ma słuszość stary szyntoista, Hirata, gdy każe składać w ofierze zmarłym wodę i kwiaty, potępiając wstrętne, jego zdaniem, kadzidło. Buddyzm przyniósł Japończykom nieznanę dotąd wonie. Od małych świątyń szyntoizmu wiało jedynie zapachem liści i drzewa, świeżo z kory odartego, a ponieważ kwiaty japońskie są bardziej okazałe, niż wonne, wzywano bóstw pod niebem odkrytem, przy unoszącym się w powietrzu aromacie wilgotnej ziemi. Nabożeństwo odbywało się w biały dzień, a chociaż krzewy użyczały cienia, w górze jaśniało niebo.

Duch przestawał z Istotą Niewidzialną w sposób prosty, bez wstrząśnień nerwowych. Inaczej jest, gdy przekroczyliśmy próg świątyni Buddy: szeregi latarni, ogrody symboliczne, sadzawki kamienne, drzwi złocone, czerwone występy, rzeźbione głowy smoków, słoni i nosorożców, kolumny z malowaniem, naśladowującym draperję wzorzystą, lub nagie zupełnie, bogactwem swych żyłek zdające się głosić chwałę tajemnych soków życia stropy, zdobne w zapełnione malowidłem kasetony, brokatele, ściany z drzewa cedrowego, oplecione delikatnie rzeźbionymi liśćmi i gałęziami, wśród których widnieją świetnie upierzone ptaki—wszystko to zdumiewa wzrok, bawi go, przykuwa, pozwala objąć



w przeciągu krótkiej chwili cały, dostępny zmysłom, świat barw i kształtów, upajać się tajemniczym półmrokiem tego przybytku z laki i bronzu. Rozkosz wzroku zlewa się z rozkoszą powonienia, chłonego wyziewy kadzielnic i wonnych świec.

Te świątynie z nagromadzonemi w nich cudami, te rozkoszne muzea nicości ciągną się dalej, komplikują, łączą się zapomocą mostków, rozgałęziają w korytarze i krużganki, lecz z pod panteistycznego nieładu ich architektury wyłania się i narzuca zmysłom doskonała, ukryta jedność. Buddyzm zbudził Japończyków do świata wrażeń nowych, niekiedy dziwnych, niekiedy czarownych. Przyniósł im z Indyi, tej najstarszej w świecie ziemi cudotwórców, rytuały zaklęć, słowa magiczne i tajemnicę nocnych guseł, całą teozofię, zdolną podniecić swych zwolenników i pociągnąć kobiety. Pierwotną telepatyę szyntoizmu podniósł do wysokości wiedzy tajemnej. Odróżniono *shyriô*, ducha zmarłych, co oddziaływa na żyjących, od *inkyriô*, ducha żyjących, oddziaływającego na innych żyjących. Zaczęto wierzyć, że umarli krążą dokoła wezgłowia chorych krewniaków i ciągną ich za nogi do grobu. Gdy dwie osoby z tej samej rodziny umrą w ciągu roku i gdy trzecia jest już powołaną w ich ślady — bo przysłowie powiada: „zawsze trzy mogiły” — wykopują nowy dół, składają tam trumnę ze słomianym manekinem, a kapłan buddyjski ryje na kamieniu grobowym imię mniemanego nieboszczyka, rzucając w ten sposób urok na śmierć. Japonia miała też zaklinaczy, zawsze gotowych do zamordowania na odległość danej osoby; udawali się oni do samotnej świątyni, o drugiej po północy, o „godzinie Byka”, w dużych słomkowych kapeluszach, opatrzonych trzema płonącemi świecami, trzymając w ręku figurkę glinianą i gwoździe. Miała swych alchemików i wróżbiarzy. Matki, okryte żałobą, mogły zapomocą guseł widzieć swe dzieci, gdy piękniejsze,

niż za życia, idą ścieżką cichą, ponad rzeką łez. I słyszano jak „Gaki” wyją rozpaczliwie z głodu — bo to jedna z katuszy, któremi buddyjskie piekło grozi potępionym. A jasne duchy „Tennin”, wysłańcy niebios, w noc cichą błękitną spływały na swych skrzydłach na ziemię znękaną. I jakieś głosy dziwne, śmiertelnym nieznanne, rozbrzmiewały pod stropem świątyni.

W to mroczne czarnoksiężstwo sztuka tchnęła swój czar olśniewający. Bonzowie byli rzeźbiarzami, tkaczami, ogrodnikami. Od arabesek świątyni do hieroglifów rytych na kamieniu, od świętych fresków do zwykłych ksiąg z obrazkami, od recitativa dramatycznego do piosenek ulicznych, od laki złoconej do sprzętów gospodarskich, od srebrem szytych jedwabów do prostej bawełny, od parków wspaniałych do ogródków miniaturowych—geniusz japoński nie wydał nic, coby nie przypominało jakiegś legendy, nie służyło do uwydatnienia myśli, lub nie tchnęło duchem buddyzmu. A jak ta sztuka zaostrza i wysubtelnia nasze zmysły! Jak umie w nic nie znaczącą drobnostkę wlać tyle życia! Jak chwyta w przelocie to, czego się powtórnie nie zobaczy, lecz raz ujrzawszy, widzi się już bez końca! Jest to impresjonizm, jeżeli komu idzie o formułkę, lecz impresjonizm wywołujący wierną wizję tyków stałych.

Artysta japoński stara się od złudzeń krótkotrwałych oddzielić ich zasadę niezmienną. Oko jego spostrzega w osobniku tylko cechy, odróżniające go od innych gatunków. Forma obchodzi go jedynie jako prawo widzialne, stanowiące o rodzaju, jako myśl ujawniona przyrody, którą o każdym czasie każdy człowiek jednakowo odkryć potrafi. Umie odnaleźć coś z nieskończoności w tem, co się odzuwa jako niedokonane.

Sztuka buddyjska podtrzymuje w Japończykach zmysłowość subtelną i łagodną, naprowadza-

jąc ich jednocześnie na myśl, że najdroższa rzeczywistość jest jedynie złudzeniem.

Wonności, laki złocone, brokatele, łuny świateł, co płoną w półmroku świątyń, wywołując nastroj malowidła, cała poezja blasków tajemniczych i dreszczów nieuchwytnych, bogactwo sprzętów, nieodpowiadające często ich przeznaczeniu — wszystko to rozmarza, podnieca, usposabia do melanchelii. Szintoizm podpatrzył wszystkie wdzięki i czary przyrody, z wyjątkiem jednego — jej znikomości, która objawiła się Japończykom dopiero za pośrednictwem uczniów Buddy. I ta przyroda stała się im jeszcze droższą z chwilą, gdy odczuli całą nietrwałość jej zjawisk, jeszcze piękniejszą, gdy pojęli, że sami są twórcami jej piękna. Świadomi, iż wszystko jest pozorem, nauczyli się smakować w błyskawiczności wrażeń, w przemijającym, przelotnym wdzięku chwili, mającej wartość tylko dzięki naszemu duchowi, który może odtwarzać i przedłużać w nieskończoność jej blask i słodycz. Całą duszą spoczęli na chwilowości. Rzeczywistość stała się dla nich tajemną siłą elektryczną, której iskierki udzielają marzeniom wibracyj nieskończonych. A ponieważ cud jest tem większy, im ta iskierka drobniejsza, przyzwyczaili się przekładać odbicie nad promień, cień nad rzecz samą, muśnięcie nad dotyk, echo odległe nad dźwięk wyraźny; i z tych odbłasków, ech, muśnięć i cieni stworzyli sobie świat wewnętrzny. Nie wiem, czy Japończycy zdołali ująć w pojęcie skończone twórczą myśl świata, lecz to jest pewne, że najskromniejszy z ich kmiotków odczuwa coś, czego nie podejrzewa nawet nasz prostaczek — mianowicie zwodniczą przelotność życia, unoszącego nas na swych falach, czar zjawisk i rozkoszną moc wywoływania nastrojów dowolnych. Pewnego dnia zapytałem kapłanów Buddy o przyczynę wiecznego uśmiechu na ustach Japończyka. Odpowiedzieli mi dwiema sentencjami: „żyjący jest

umarłym”, „spotkanie — rozłąką.” Opowiadają, że niegdyś, w czasie pewnych uroczystości religijnych urządzano koncerty niezwykle. Oto muzykanci, posługując się mimiką, wykonywali na swych instrumentach pieśni nieme. Grali w duchu, w myśli, a zgromadzenie z należnem skupieniem przysłuchiwało się ich milczeniu. Nie ręczę za wiarogodność opowiadania, lecz ani jeden Japończyk, z którym mi się zdarzało mówić o tem, nie uznawał faktu za nieprawdopodobny. Czyż to nie symbolizuje doskonale najwyższej i najistotniejszej dla wyznawców Buddy rozkoszy — halucynacyi dobrowolnej? Lecz buddyzm prowadzi jeszcze dalej. Uczyniwszy z przyrody wiecznie płynący strumień zjawisk, przywiódł duszę do stanu wody przejrzystej, z tysięcy atomów złożonej, po której toniach przesuwają się kolejno cienie i blaski. Po śmierci dusza ta rozkłada się, ulatnia, rozpada na pierwiastki różnorodne; ale pragnienie życia trwa i poszukuje wcieleń nowych. To nie nasze *ja* przenosi się w kształty inne, lecz *wypadkowa* naszych czynów. Ostateczny bilans dobra i zła, jaki przedstawia życie nasze w chwili zgonu, staje się zarodkiem egzystencji nowej. To, czem jesteśmy obecnie, pochodzi od tego, czem byliśmy już przedtem. Pamięć tych przemian jest tak blada, jak podczas sennego marzenia wspomnienie innych snów, które były dla nas udręczeniem lub rozkoszą. Szereg wcieleń — to okropne lub zachwycające sny naszego pragnienia życia. A gdy nastąpi wyzwolenie, czyli chwila zbudzenia się, przed oczyma naszymi, z których spadną wszelkie zasłony, rozwiną się kolejno narodzenia, żywoty i śmierci, radości i nędzy bytów minionych. Takim jest nieubłagane prawo Karmy.

Dochodzimy do różnicy zasadniczej pomiędzy poglądami naszymi i japońskimi. My wierzymy w świadomą siebie tożsamość osobowości ludzkiej, oni jej nie przyznają. Wprawdzie wiem dobrze, iż



żyją tak, jakgdyby dzielali wierzenia nasze. Lecz czyż kiedykolwiek determinizm odebrał filozofowi poczucie swobody zupełnej i niezależności czynów? A fataliści Wschodu? Walczą, trudzą się, handlują, jakgdyby sami byli twórcami swego losu. Oczywiście, że lud nie przyswoił sobie tych teoryj głębokich—uwierył tylko w przedistnienie i w szereg wcieleń dalszych. I wiara ta wsiąkła głęboko w dusze, odbiła się na przysłowia, natchnęła pieśniarzy ludowych, stworzyła przenośnie i całe zwroty językowe. Nawet stosunki społeczne uległy jej wpływowi: ta myśl, że występek zbrodniarza może być dziedzictwem bytu poprzedniego, nieraz wytrącała broń z ręki mściciela. Niezasłużone cierpienia, na których widok oburza się nasza sprawiedliwość, Japończyk znosi z rezygnacją, w poczuciu nieokreślonym, że mógł na nie zasłużyć w jednym z żywotów dawniejszych. Miłość, jak piorun gwałtowna—to wspomnienie nagłe uczucia doznanego już w przeszłości. Dzisiejsza oblubienica była niegdyś naszą małżonką. Od pierwszej chwili, gdy ją ujrzałem, wyczytałem na tej nowej twarzy uniesienia miłości dawnej. Nić, co połączyła nasze serca, była już zawiązana w czasach ubiegłych. Krótkość życia nie zaspakaja wszelkich pragnień, nie wyczerpuje zasobów czułości i poświęcenia. Chciwi odrobiny wieczności, z niecierpliwością wybiegają poza granice bytu doczesnego i marzą o różnych formach przyszęgo. Ojcowie i dzieci związani są na jeden żywot, małżonkowie odnajdą się raz jeszcze, a kochankowie ze wzruszającą nieogłędnością obiecują sobie wiare na sześć lub siedem istnień. To, co powiedziałem wyżej o wierszach Hugo i Lamartine'a, należałoby powtórzyć teraz, przytaczając jeszcze poetów angielskich, Sully-Prudhomme'a, lub też niektóre ustępy z utworów dzisiejszych symbolistów. Udało się im nieraz pochwycić tajemne, a odwieczne pokrewieństwa naszych serc z rzecza-

mi widzianemi, przeszłość wskrzeszoną w teraźniejszości, jakąś woń odnalezioną, chociaż się jej nigdy nie czuło, dźwięk znany, a niesłyszany dotąd; dom, co się obcym nie wydaje, pomimo, że go poraz pierwszy widzimy; odzywające się w otchłannych głębiach naszej duszy głosy bólu i skargi, co się zdają należeć do istoty obcej, której imienia ani ojczyzny nie poznamy nigdy. Ta zachodnia subtelność przeczuć i odczuwań jest bardzo pospolitą w poezyi japońskiej i należy do najzwyczajniejszych aktów wiary religijnej.

I jakąż moralność oprzeć można na tym wiecznym a zmiennym prądzie istot i rzeczy? To, co nazywam *moją osobowością* jest tylko falującym i niedostrzegalnym łańcuchem, w który zakuto oddział galerników. Po bezkresnych polach metampsychozy snuje się szereg istnień powiązanych ze sobą, lecz względem siebie ślepych, niemych i głuchych. Duch mój, wstępując w byt nowy, może być uwiedziony przez serce, bo nie pamięta nic z żywotów poprzednich. I cóż mnie w takim razie obchodzić może istota, której posiew już się zawiera w mych czynach, lecz którą *będę* bez świadomości mego *ja*? Jakaż pobudka zdoła mnie odwrócić od łatwych rozkoszy? W ten sposób rozumowałby Europejczyk, dla którego jego osobistość moralna przedstawia warownię, otoczoną okopami, obwiedzioną mocnym murem. Nasza umysłowość chętnie kopie rowy, wznosi wały, broni przystępu. Nawet język nasz zdradza niezwalczoną potrzebę ograniczania, ujmowania w ramy, np.: chcąc wyrazić *piękno nieśmiertelne* nazywa je *pięknem skończonem*. Dopiero gdyśmy się już zamknęli i okopali w naszym *ja*, staramy się wyjść poza jego granice, a nagromadzone przeszkody zdają się istnieć po to, żeby ich zwalczenie było większą zasługą. Lecz buddyzm usuwa wszelkie granice... Moja istota ani się zaczyna, ani się kończy w obrębie mej osoby, a to

niewiadome, co nazywam *moją duszą*, tkwi we wszystkim, co żyje. Wyraz altruizm nie ma znaczenia.

*Szalenieć tylko myśli, że ja nie jestem tobą!*

*Ja*—jestem ty—jestem także snem kamienia, marzeniem rośliny, oddechem bydłęcia, energią ukrywającą się pod tysiącem przemian i kształtów przyrody. Jakże wyjść zdołam poza siebie? Alboż moje *ja* nie sięga dalej, niż się wznieść mogą najśmielsze pragnienia? Wyobrażając osobowość ujętą w granicę, jak mały, zamknięty w sobie światek, jesteśmy ofiarą nędznego złudzenia! Moje *ja* bierze udział w niedolach i radościach wszechświata i ten udział jest jedyną i właściwą *moją* egzystencją. Moja istota ogarnia wszystkie istoty, a sympatya jest poczuciem i świadomością tej prawdy najwyższej.

Japończycy przyjmują tę „wielką tajemnicę etyki” jak chrześcijanie tajemnicę swej wiary. Ich dawny układ społeczny, w którym człowiek najstawniej się przystosowywał do swego otoczenia, aby się nie różnić od reszty ludzi, a kodeks nie uznawał ani własności, ani prawa jej przekazywania, wprowadzał do stosunków cywilnych mistyczną jedność buddyzmu. I nie należy się dziwić, że nie rozumieli dokładnie „wolności” ani nawet „miłosierdzia”. Są to pojęcia indywidualistyczne. Oni się odwołują raczej do łagodności, do rezygnacji, i, jak powiada Schopenhauer w swej prześlicznej rozprawie o Sympatyi „będą prosili prędzej łaski, niż sprawiedliwości, prowadząc nas na te wyżyny, z kąd wszystkie istoty zdają się zlewać w jedną”.

Ztąd nieraz w romansach i legendach spotykamy wypadki niezwykle, napelniające nas przerażeniem i wywołujące w duszy naszej rozdźwięk dziwny. Przychodzi mi na myśl opowieść tragiczna, gdzie bohater, wprowadzony w błąd przez kobietę ukochaną, która jest w jego mocy, ale nie chce doń należeć, zakrada się w noc ciemną do jej po-

koju i odcina jej głowę, w tem przekonaniu, że zabija męża. Nazajutrz rano, przerażony swym czynem, biegnie do swego rywala, rzuca mu się do nóg i wyznając swą zbrodnię, podaje szablę skrwawioną. Ale mąż się cofa z okrzykiem: „Jakże mógłbym zabić człowieka, który ją tak miłował!” Wyobraźcie sobie ile oburzenia i niesmaku wywołałaby scena podobna wśród publiczności naszej! Przypomnijmy sobie jednak ustęp z Shopenhauera: „Gdybyś mógł wysiłkiem swej nienawiści przeniknąć do głębi duszy najwięcej znenawidzonego z pomiędzy twych nieprzyjaciół, byłbyś zdziwiony bezgranicznie: odnalazłbyś tam samego siebie. Ty właśnie jesteś nim”. Mąż i kochanek usunęli się obaj do klasztoru buddyjskiego.

Najprzeciętniejsi Japończycy upatrują w zjawiskach przyrody związki rozliczne. Zamilowanie natury jest w nich rozwinięte tak silnie, że chcąc wyrazić całą siłę uczucia, musiałbym je nazwać egoistycznym. W każdym ździebełku trawy, w każdym motylku ukochali zagadkowość i wieczność swej własnej istoty. Język ich zawiera wyraz niedający się przetłumaczyć, ze znaczeniem bardzo nieokreślonym, mianowicie: *giri*. *Giri* jest to zobowiązanie moralne, w najwyższym stopniu subtelne i silne; jest to nić niewidzialna, łącząca dwa serca nawet wtedy, gdy nie uczuwają one dla siebie żadnej czułości. *Giri* może doprowadzić do samobójstwa, do czynów złych lub dobrych. *Giri* tłumaczy, uniewinnia, usprawiedliwia tysiące czynów, których sprężyny dostrzedz nie możemy. Młody bonza proponuje gejszy ucieczkę—ona odmawia;—oboje się trują, ale zostają uratowani. Zapytują młodą kobietę, co ją popchnęło w objęcia śmierci, czy miłość? Ależ kochanek jej był tylko znajomością przelotną. A może nędza? Potrząsa głową i odpowiada: „*Giri* mi kazało”. Można by powiedzieć, że są chwile, kiedy dusza nasza odnajduje siebie



w innej duszy i biernie poddaje się przeznaczeniu. Ta potęga sympatyj stwarza często cnoty, pięknością i czystością nie ustępujące cnotom chrześcijańskim. Jest w nich jednak zawsze coś niedopowiedzianego. Buddyzm nie zna wylania, tego gwałtownego, czarującego uniesienia serc, zdobywających sobie inne serca. Ewangelia jego głosi milczenie. W Japonii boleść nie wydaje głośnych krzyków, miłość się nie wywnętrza, żaloba się uśmiecha, abnegacya milczy. Pozorne odosobnienie dusz japońskich, które z początku tak mnie uderzyło, zrozumiałem z chwilą, kiedy te dusze tworzyły jedną duszę. O ile Japończycy lubują się w długich gawędach i nieskończonych komplementach, o tyle są zamknięci w sobie, gdy idzie o wewnętrzną treść ich istoty. Posiadają w najwyższym stopniu umiejętność rozmawiania w ten sposób, ażeby nie nie powiedzieć; z chwilą, gdy musieliby coś wyrzec, uchylają się od wyznań niepotrzebnych, otaczają się tajemniczością, bardzo wymowną dla tych, którzy ich poznali bliżej.

Pewien rezydent europejski opowiadał mi, że w przeciągu lat piętnastu bywając w jakimś domu japońskim nie zauważył nigdy ani u męża, ani u żony najlżejszego śladu uczucia. Oboje, ona łagodna i cicha, on dumny i milczący, zdawali się nie mieć ze sobą nic wspólnego oprócz dachu nad głową. Osobno jadali, osobno wychodzili, nie łącząc nigdy ani swych marzeń, ani przyjemności.

Tymczasem mąż zachorował ciężko, bez nadziei wyleczenia.

— Byłem u nich—mówił mi mój rodak—gdy mąż uczuł, że śmierć się zbliża. Objął rękami głowę swej żony i oparł ją lekko na swem ramieniu. Ich oczy zwilżone łzami spotkały się z sobą; nigdy w życiu nie widziałem spojrzenia, któreby wyrażało więcej miłości.

Nadzwyczajna zdolność Japończyków do mil-

czenia opromienia ich rezygnacyę uśmiechem melancholii, przedłużając poświęcenie do nieskończoności. Dusze ich stwarzają sobie agonie wykwintne. Wrażliwość swą ukrywają z podobną starannością, jak bogactwo.

Z głębin buddyzmu wylaniają się uczucia wzniosłe i subtelne. Tchną one jakąś dziwną pięknoscią kwiatów lotosu rozwijających o zmroku swe kielichy na wodnej powierzchni samotnego stawu. O, wiem dobrze, że dno tego stawu pokrywa błoto! Wiem również, że i w buddyzmie japońskim spotykają się podłości; że kapłani jego są często nieokrzescani i dają przykłady gorszące; nie przypuszczam też, ażeby jego filozofowie wzbogacić mogli tę doktrynę. Ulegli oni wpływowi metafizyki, której wnioski przyjęli z łatwością, do której jednak nie dodali nic swojego.

Dwanaście sekt buddyjskich toczy z sobą ciągle dysputy o różne subtelności scholastyczne. Sławny ich apostoł Nichireu wołający: „Nic mnie nie wzruszy, chyba gdybym spotkał człowieka rozumniejszego od siebie, któryby mnie pokonał w dysputcie; nie sądzę jednak, ażeby człowiek taki istniał na świecie!” wywarł na mnie wrażenie bardzo miernego myśliciela.

Buddyzm interesuje nas tylko z punktu widzenia maluczkich i ucziwych. Wdzięk ewangelii lotosu, melancholia jej pesymizmu, czułość rozpaczy przeniknęły do życia domowego Japonii, wytwarzając cnoty pełne niezwykłego uroku. Cześć, oddawana bałwanom z chińskimi twarzami nie obniżyła poziomu ich marzeń. Przesady przesuwają się lekko nie zacieśniając serc. Powietrze słodkie i przejrzyste otacza ich ołtarze.

Zapominam o straszmem obliczu boga Emma; pamiętam tylko, że ten władca piekieł daje jeden lub dwa dni odpoczynku duszom potępionym. I nie mogę nie kochać pięknej i czystej Kwannon z oczą-

mi smutnemi, bóstwa najpopularniejszego, bogi-  
ni Litości.

## ROZDZIAŁ VI.

### Religie obce: upadek i konflikt.

Szyntoizm i buddyzm oddziaływały na siebie wzajemnie. Szyntoizm złagodził szal budyjski, powstrzymując Japończyków na pochyłościach niebezpiecznych, z których inne narody potoczyły się w przepaść.

Głoszony przezeń kult miłości ojczyzny stał się dla nich oporą w ruchu nieustannym wszechświata. Buddyzm uzupełnił ubóstwo i prostotę kultu pierwotnego. Obie religie, często w tej samej świątyni, robiły sobie ustępstwa wzajemne; jedna się pozbywała prostoty sielskiej, a druga swej okazałości wspaniałej, tętnącej rozkoszą i tęsknotą.

Nasuwa się pytanie, jaki wpływ wywarło na buddyzm i szyntoizm nagłe wtargnięcie idei zachodnich! Wynalazki Europy osłabiają pojęcia szyntoizmu. Drganie przyspieszone życia nowoczesnego psuje ideał buddyzmu. Wiara Japończyków nie zgadza się z ich ustrojem nowożytnym. Harmonia religijna państwa zostaje stargana. Nauka europejska zabawia się wyszukiwaniem przeczuć prawdy w symbolach zewnętrznych dawnego kultu i zachwyca się intuicyą nadzwyczajną metafizyki hinduskiej; ale cywilizacja nasza ze swym niezależnym poglądem na przeszłość, poszanowaniem praw jedności, postępem przemysłowym, chciwością, instynktami demokratycznymi i zuchwalstwem plutokracji, przeczy brutalnie podstawom społeczeństwa japońskiego i zdiera zeń gwałtownie atmosferę religijną.

Dlatego przewrót polityczny kraju, podobnie jak i wszystkie rewolucye, podczas których dusze opuszczone szukają sobie oparcia, wywołał uniesienia mistyczne, wytworzył jasnowidzących i prorokinie.

Pewna kobieta, imieniem Miki, pochodząca z prowincji Yamato zaczęła utrzymywać, że została oświeconą przez bogów i w prędkim czasie pociągnęła za sobą tysiące serc. Chociaż umarła już przed laty 12-u, ale jej „dobra nowina” rozeszła się po wszystkich prowincjach. *Ten-ri-kyô*, zbiór pojęć dziwacznych i wpływów szynotoistycznych, ma swe świątynie, legendy cudowne, księgi objawień, tajemnice, orgie zmysłowe i swych wyznawców. Teorya ta głosi, że przyjdzie czas, kiedy rodzaj ludzki uzna Japonię za swą kolebkę, a proroctwo Miki za prawdę boską. Wtedy rosa niebieska spadnie na wzgórek pokryty zielonością, miejsce zaślubin Izanagi i Izanami, bóstw, od których Japończycy wywodzą swe pochodzenie. Słupy odzyska wzrok, niemy mowę, głuchy słuch, kulawy chód, trędowaty zdrowie, a wszyscy obłąkani zbudzą się ze swego snu złego. Te przepowiednie podniecające są tem niebezpieczniejsze, że w narodzie zachwianym w swych wierzeniach odwiecznych, zawstydzonym zwycięstwem nieprzewyciężonego Zachodu zdradzają nietylko pragnienie nowej wiary i nowego oparcia, ale jeszcze potrzebę zwalczania doznanych upokorzeń przez wynalezienie odwetu mistycznego.

Nadzieja, którą *Ten-ri-kyô* ludzi prostaczków, znajduje echo w pracowniach literatów i filozofów. Wprowadzanie dzieł europejskich popchnęło do studyów religijnych. Prace umysłowe Francji i Niemiec tu i owdzie wyrwały z odrętwienia dygnitarzy buddyjskich.

Równocześnie jednak z głębszą znajomością swej religii, Japończycy zażądali jej reformy. Dawny buddyzm, smutny i zadumany, przestrasza ich



obecnie; zdają się obawiać losu patriarchy Darumy, z sekty Jen, który utracił obie nogi dlatego tylko, że zbyt długo oddawał się rozmyślaniom religijnym. Pragną iść prędzej, biedz, wyprzedzić zwinnego Europejczyka. Marzą o jakimś neobudyzmie demokratycznym, optymistycznym. W tej kwestyi wydano całe tomy.

Zresztą, Japończykom, naśladowcom niepoprawnym, zależy więcej na reformatorze, niż na reformie. Żądza posiadania Marcina Lutra pozbawia ich snu.

„Jeżeli religia stosunkowo niższa, niż chrześcijaństwo—pisze jeden z nich—mogła zostać odrodzoną dzięki wierze nieugiętej Lutra, czegoż możemy się spodziewać po buddyzmie, gdy apostoł, podobny tamtemu, podnieci jego płomienie!”

„Z punktu widzenia religijnego—mówi drugi—położenie Japonii wobec reszty świata podobne jest do słońca. Założyciele religii, niby planety, krążą dokoła naszego archipelagu. Twierdzimy, że będzie on ostatniem polem bitwy, na którem bogowie stoczą ostatnie walki.”

Zatem, neobuddyzm japoński niewątpliwie otrzymał misję opatrnościową zjednoczenia wszystkich wierzeń ludzkich i nadania światu podświetlaczemu wiary ostatecznej. Wolę już rosę *Ten-ri-kyô*, niż ten rodzaj shyntoizmu buddyjsko-lirycznego. Obie jednak teorye wyrażają to samo podrażnienie zranionej próżności i chaos wewnętrzny.

Tylko Japończycy, którzy przyjmują wiarę chrześcijańską, zdają się wprowadzać do swego życia logikę zbawienną.

Towarzystwa dobroczynności, szpitale miejskie, które odwiedza cesarzowa, trybunały, gdzie jednostka dopomina się swych praw, ustawy najsprawiedliwsze, utrudnienie rozwodów, przyzwyczajenia domowe i społeczne, zmodyfikowane pod wpływem uczucia skromności, wszystkie te instytucye i nowe

zwyczaje, przeszczepione z Europy, noszą na sobie piętno chrześcijaństwa.

Zdaje się jednak, że religia zachodnia nie stanie się w Japonii panującą. Najwięcej się temu sprzeciwia analogia zewnętrzna buddyzmu z katolicyzmem i podobieństwo wewnętrzne z niekarnością protestancką. Zauważyliście może, że często jakiś język obcy staje się dla nas tem trudniejszym do mówienia, im więcej się zbliża do naszego języka ojczystego. Misyjonarzom chrześcijańskim nie udaje się zupełnie nawracanie muzułmanów, którzy w liczbie swych proroków umieścili Chrystusa. Katolicyzm przedewszystkiem ma przeciw sobie klęskę krwawą za rządów pierwszych Tokugawów, wspomnienie oplakane mnichów hiszpańskich i nazwę religii rzymskiej, w której duma narodowa Japończyków wieńczy jakąś groźbę niejasną. Tylko dzięki wielkiej roztropności, miłości, zręczności uprzejmej i hojnej, zupełnym przejściem się sprawami k ajowców, udało się naszym misyjonarzom założyć bractwa religijne doskonale. Między katechumenami spotykałem dusze, w których szlachetność chrześcijańska, łącząc się z uprzejmością japońską, tworzyła całość rzadką i wykwiśniętą.

Karność znakomita, za pomocą której kościół nasz w przeciągu dwóch tysięcy lat ujarzmił tyle namiętności, odniósł tyle zwycięstw nad ciałem ludzkim i oparł się tyłu napaściom, natchnęła Japończyków inteligentniejszych chęcią zapożyczenia od katolicyzmu jego okazałości zewnętrznej, godności, procesyi, nawet przepisów dla wzmocnienia powagi zachwianej sekt religijnych. I jeżeli pomysł ten przynosi zaszczyt misyjonarzom francuskim, których Japończycy często stawiają za przykład swym bonzom, to sama chęć skatolicyzowania buddyzmu zasadniczo anarchicznego, jest, bądź co bądź, chimerą dziwną. Protestantyzm zdawał się mieć więcej szans powodzenia.

Duchowni protestancy, Anglicy i Amerykanie zwiastowali Japończykom religię nową, optymistyczną, praktyczną, zastosowaną do potrzeb świata nowożytnego, indywidualistyczną, taką, którąby każdy naród mógł przystosować do swych warunków i urobić podług swej fantazyi.

Anglo-saska pewność siebie i wygląd uczony przyczyniły się na wstępie do ich powodzenia. Pastorowie ci byli to przeważnie ludzie wybitni, profesorowie, historycy, medycy, przyrodnicy. Światło wiary podawali w formie naukowej. Japończycy, zachwyceni, że się zwracano do ich rozumu, rzucili się do wertowania Biblii i obmyślili kościół narodowy, który miał przywrócić chrześcijaństwu jego naiwność galilejską, ucząc równocześnie rozstrząsania subtelných trudności naszej teologii.

Zaszło tu jednak zjawisko ciekawe, że protestantyzm w rękach pogańskich tych niemowląt reformacyi dosięgnął odrazu największego szczebla ewolucyi: racjonalizmu. Z religią protestancką stało się w Japonii to samo, co z parlamentaryzmem.

Zresztą z pomiędzy wszystkich prądów europejskich tylko bezwyznaniowość naszych niedowiarzków zadawalnia w zupełności parweniuszów i nowych władców Japonii. Misyjonarze spotkali się z temi samemi zarzutami, któremi się zasłaniają nasi wolnomyślni.

„Religia, będąc w grucie rzeczy pozostałością wieku barbarzyńskiego i ciemnego, nie może być stosowną dla epoki rozkwitu umysłu ludzkiego. Dopóki kraj jakiś przywiązany jest do swej religii, nie może rościć pretensyi ani do cywilizacyi, ani do potęgi, ani do bogactwa. Wielkie państwa Europy i Ameryki miały zupełną słuszość, zrzucając więzy chrystyanizmu. Można im powinszować tej odwagi. Francya i Szwajcarya zabroniły wreszcie wykładu etyki religijnej w szkołach.”

Kto przemawia w ten sposób? Czy to cień

aptekarza z Youville? A może to antyklerykał z Batignolles lub z Pantin? Nie, biorę te słowa z artykułu „O błędzie zasadniczym etyki religijnej;” artykuł ten pojawił się w r. 1898 w „Przeglądzie Japońskim,” stanowiącym powagę w sprawach wychowania. Zdaje mi się, że autor tego artykułu odznacza się umysłem ciasnym. Podobnie, jak jego współrodacy, politycy uwierzyli święcie na podstawie przykładów z zagranicy, że wystarcza zagłuszyć skrupuły, ażeby się stać dobrym politykiem, tak widok powierzchowny zachodu przekonał go, że dosyć jest wytępić w jakimś narodzie wierzenia religijne, ażeby naród ten stał się wielkim. Przekonanie to dzielają i wyznają prawie wszyscy Japończycy klas wyższych.

Członkowie rządu, szczególnie ci, co nim kierują, z jednakową wzdumą traktują chrześcijaństwo i buddyzm. Doktryny bezinteresowności i poświęcenia krępują ich niewymownie. Śmiertanka umysłowa Japonii codziennie umiera po trochu dla życia wewnętrznego swej rasy.

Religia wszelako przodków, wzmocniona wysiłkiem buddyźmu i szynotoizmu, przechowuje się w sercach tłumu z żywotnością niesłychaną.

Podczas mego pobytu w Tōkyō, w jednej z wsi wschodnich, zaszedł wypadek niezmiernie ciekawy, opowiedziany mi przez świadka naocznego; wypadek ten dowodzi, jak w kwestjach religijnych łatwo zajść może nieporozumienie między Europejczykami i Japończykami i jak bardzo lud, kierowany instynktem zachowawczym, przywiązany jest do kultu zmarłych.

Dwie dyakonisy angielskie przybyły do owej wioski w celu głoszenia prawdziwej wiary; stosownie do rozpowszechnionego mniemania, sądziły, że pewna ilość pieniędzy, umiejętnie rozdanych, usunie trudności na drodze, wiodącej do serc. Isto-



tnie, znalazły młodą dziewczynę, sierotę, obciążoną długami, która za dziesięć franków pensyi miesięcznej dała się nawrócić. Dyakonisy ochrzciły swą zdobycz, śpiewały z nią psalmy i prowadziły z sobą z kazania na kazanie. Pewnego jednak razu znalazły w kącie jej pokoju tabliczki pogrzebowe rodziców, tabliczki święte, których neofitka nie miała odwagi się pozbyć, ostatni ślad i najwyższy przedmiot jej bałwochwalstwa. Protestantki angielskie nie posiadały grzecznej tolerancyi Jezuitów. Oświadczyły zatem swej owieczce, że przestaną jej wypłacać rentę miesięczną, jeżeli tabliczki dyabelskie nie znikną z mieszkania. Wspaniałomyślnie zostawiły jej do wyboru czy ma je zagrzebać, czy też rzucić do rzeki. Dziewczyna, która liczyła na tę rentę, ażeby mózdz spłacić długi, przystała na to poświęcenie najwyższe. Wieczorem wynknęła się w pole; ogarnięta jednak przerażeniem, cofnęła się od jamy, którą zaczęła kopać, bez tchu przybiegła na brzeg potoku i z oczami zamkniętymi rzuciła weń duszę swego ojca i matki. Ktoś zobaczył ten czyn świętokradzki i wkrótce cała wioska dowiedziała się o tej strasznej profanacyi. Nikt nie miał jej za złe, kiedy przyjmowała religię chrześcijańską; od dnia tego jednakże wszyscy się od niej usunęli; nawet dzieci unikały potępionej. Tymczasem dyakonisy, znużone głoszeniem słowa Bożego na pustyni, rzekły do nawróconej:

— Odjeżdżamy ztąd, a ponieważ jesteś już chrześcianką, zrozumiesz łatwo, że zachowamy nasze skromne fundusze na dalsze prowadzenie dzieła świętego.”

Dziewczyna skamieniała. Wkrótce jednak powróciła do dyakonis i tłómacząc im swe położenie rozpaczliwe, oświadczyła, że ponieważ nie posiada nic, prócz swojej własnej osoby, będzie więc zmuszoną sprzedać się dla spłaty długów. Angielki wykrzyknęły ze zgrozą:

— Idź precz, istotą wstrętną, zgubioną na zawsze!

Dziewczyna z uśmiechem skłoniła się do ziemi i poszła wprost do jakiejś herbaciarni. Pomimo jednak piękności nie chciano jej tam przyjąć, wiedziano bowiem o popełnionej przez nią zbrodni i obawiano się, że żaden z klientów nie przestąpi ich progu, jeżeli go przekroczy dziewczyna winna świętokradztwa. Zmuszona więc była udać się do odległej Yoshiwary i tam drży z obawy, że jakiś przychodzień z jej stron pozna ją kiedykolwiek i zdradzi starannie ukrywaną tajemnicę.

---

## KSIĘGA V.

### *Wyobraznia.*

#### ROZDZIAŁ I.

#### Realizm i fantazyja.

Pewnego dnia przy zwiedzaniu zamku Nagoya jakiś stary samuraj pokazał mi w jednej z sal parterowych studnię z cembrowiną bardzo niekunsztowną. „Dawni władcy—rzekł do mnie—przez wielką cześć dla tej wody zdrowotnej powlekli ściany studni farbą złotą.” Stałem się dostrzedz to bogactwo ukryte w cieniu, podziwiając nietylko upodobanie Japończyków w otaczaniu idei najprostszej przepychem nieoczekiwanym, ale i staranność, z jaką przepych ten ukrywają przed oczami widzów, chcąc go tem lepiej wyrzucić w umyśle.

Innym razem podczas podróży z Kyôto do Nara towarzysze moi pokazali mi wzgórze Uji, gdzie niegdyś znajdowały się plantacye herbaty, przeznaczonej dla cesarza. Herbata owa nie odznaczała się bynajmniej zapachem szczególnym, ani smakiem wyjątkowym, a jednak zbierano uroczyście listki

najdelikatniejsze, powiększono liczbę urzędników, odnoszących ją do pałacu, podnosząc prostotę naturalną za pomocą okazałości kosztownej i przyrządzając napój rzadki, nieoszacowany, eliksir szlachezny, rozkosz dla umysłu.

Jakiż to dziwny naród ci Japończycy! Życie ich jest mieszaniną nieustanną skromności i ostentacyi, wytworności dyskretnej i błaznowania wymuszonego.

Japończycy z dziwną umiętnością igrają pozorami. Czyny najzwyczajniejsze nabierają u nich często znaczenia formułki sakramentalnej. Wysiłają swój umysł, by urokiem świetnym otoczyć to, co nie przedstawia żadnej wartości, a bogactwo istotne ukrywają starannie. Wiedzą, że ono istnieje, ale świadomość sama im nie wystarcza, pragną ramek urojonych; staranność, z jaką je ukrywają, dowodzi tylko, że jego rozmiary istotne chcą podnieść w oczach tłumu do wielkości niebywalej. Nie znam narodu, u któregoby wyobraźnia większą odgrywała rolę. Japończycy „poruszają się tylko za pomocą skoków.” Czy udają to, czem chcą być, czy są istotnie czemś, czego nie okazują wcale, zawsze podnieca ich chęć ta sama: starają się usilnie ozdobić swój obraz w mniemaniu innych.

Wyobraźnia, która niegdyś narzuciła społeczeństwu etykietę, wymuszenie, wielkość przerażającą i prostotę pełną tajemniczości, wyobraźnia, która wita cię u progu mieszkań, zabawia w cieniu świątyń, przejawia się w rzeźbie, uśmiecha w malarstwie, rozwija w legendach, wygładza się w ogrodach, ta pani, królowa życia japońskiego, posiada jakieś cechy niezmiennie w swej różnaitości, jakieś rysy surowe na tle bogactwa niezwykłego.

Ideje europejskie zdawały się przenikać pod jakieś sklepienie ze stalaktytów dziwacznych i kunsztownych, wytworzonych odwiecznym kaprysem narodu, dla którego wszystko, co zadziwia, jest słu-



sznem, wszystko, co błyszczy, prawdą i którego fantazje przelotne zmieniają co chwila swe zabarwienie. Wyobraźnia japońska, podobnie jak woda, osadzająca się w kryształach, zdaje się podlegać prawom geometrycznym. Próba określenia tych praw jest pogłębieniem znajomości dusz, które z wyobraźni uczyniły wychowawczynię, pocieszycielkę i skarbniczkę swych cnót.

Wyobraźnia japońska uderza mnie przede wszystkim swą obiektywnością; wpływ buddyzmu odbił się najgłębiej na pomysłach artystycznych i literackich. Jednostka nie zdradza nigdy poglądu oryginalnego ani na przyrodę, ani na ludzkość. Wszyscy Japończycy patrzą temi samemi oczami, odbierają od świata zewnętrznego te same wrażenia, temi samemi barwami malują swe uczucia i zapatrują się na życie pod tym samym kątem widzenia. Młodzieniec, układający pierwsze zadanie stylowe i pisarz rutynowany, umieszczający swe utwory w jakimś znanym przeglądzie, różnią się tylko mniej lub więcej wytwornem zestawieniem kombinacji, zachowując tę samą ostrożność w wyrażaniu uczuć, obrazów, idei.

Minister oświaty, uprzejmy i elegancki markiz Saionji, przysłał mi do przejrzenia ćwiczenia szkolne chłopców i dziewcząt. Pierwsze tłumaczenia, dokonane przez mego sekretarza, zadziwiły mnie do tego stopnia, że zacząłem posądzać nauczycieli o łatwowierność. Nie widziałem nigdy u dzieci podobnie subtelnego odczucia natury i podobnie szczęśliwego wyboru szczegółów. Chłopak dziesięcioletni na temat zadany: *śniegrano*, pisze, co następuje: „Drzewa bezlistne zakwitły w nocy. Świat cały iskrzy się od srebra. Swawolne pieski, wypuszczone ze smyczy, wesoło harcują na białem, puszystym podwórzu. Chodzę po śniegu na szczudłach bambusowych.”

Inny trochę starszy, mówiąc o wschodzie księ-

życa na górze Obasuté, wyraża się w ten sposób: „Księżyc jest pełen melancholii; przypomina podróznym ich ogród zarosły i oddalony dom rodzinny. Sen cichy ogarnia człowieka przy bladym świetle jego promieni. Zwiększanie się i zmniejszanie księżyca jest symbolem życia naszego. A jednak cesarz Godaigo, wygnaniec i tułacz, widząc lśniąca w jego blaskach powierzchnię morza, zawołał: „Księżyc nie ma serca!”

Dwunastoletnia dziewczynka porównała górę Fuji do wachlarza półotwartego, opartego rączką o sklepienie niebieskie. Koleżanka jej w tych słowach odmalowała nadejście wiosny: „Lekka mgła, koloru kwiatu brzoskwini przysłoniła niebo poranku. Ptaki śpiewają, a wierzby splecione z kwiatami opasują miasto złotą brokatelą.”

Mógłbym sądzić, że wypracowania te poprawiał profesor, gdyby dzienniki, poezye, powieści, piosenki i rozmowy z Japończykami nie przypominały mi na każdym kroku tych samych metafor. Dzieci rodzą się z poczuciem instynktowem jednych i tych samych obrazów; przez całe życie wtłaczać będą swe myśli i marzenia w te same formy ozdobne i wykończone umiejętnie; pokolenia zaś późniejsze dodadzą zaledwie kilka nitek błyszczących.

Pewna Japonka towarzyszyła nam często w naszych przechadzkach. Nazajutrz po zwiedzeniu parku Uyeno przysłała nam swój własny utwór poetycki, skreślony na papierze lila-różowym, odpowiadającym tej porze roku: „Rozkosznie jest przechadzać się pod cieniem wonnych drzew ziemi obcej... ale myśl nasza mimowoli wraca do oddalonej ojczyzny... pragnęlibyśmy wiedzieć, czy już powiędły jej kwiaty wiosenne...”

Wkrótce potem przeczytałem w jakiejś antologii japońskiej „Krótką opowieść o losach Isé.” Isé była to zacna i wielka dama, żyjąca w IX w.

na dworze cesarza Uda, który ją ukochał za twarz uroczą i talent poetycki. Kiedy cesarz, znudzony miłością i panowaniem, usunął się do pustelni buddyjskiej, Isé zamknęła się w swym domu, żyjąc od-tąd tylko wspomnieniami. Cesarz Daigo zapragnął razu pewnego, ażeby Isé napisała jakiś wiersz na skrzydle parawanu, wyobrażającym bawoły, ciągnące wóz po ścieżce, otoczonej drzewami wiśni, osypanych kwieciami.

Wysłał więc do poetki jednego z najświetniejszych dworzan; szlachetna samotnica, zdziwiona i zachwycona rysunkiem, tak żywo przypominającym urok cesarski z czasów jej młodości, nakreśliła u spodu swem cudnem piśmem te słowa: „Chciałabym ujrzeć kogoś, kto by widział drzewa wiśniowe mojej ziemi rodzinnej, zapytałabym go, czy kwiaty już opadły.”

Od dziesięciu przeszło wieków biedna Isé spoczywała na łonie nirwany, a damy japońskie, które nie знаły wcale cesarza Uda i które dzisiaj koleją żelazną lub tramwajami odbywają pielgrzymki do miejsc, gdzie się obchodzi święto wiosny, wśród kwiecia wiśni, irysów i złocieni, czują i myślą tak samo, przeżywają jej melancholię, biorąc ją tylko z innego tonu.

Japonia jest ojczyzną odblasków i ech. Niezależnie od pory roku, wiersze dawnych poetów i ich słówka udatne odżywają, szemrzą, przelatują z ust do ust. Kwiaty, ptaki, księżyc, smutek wspomniały jesieni, jodły, które się odbijają na powierzchni wód, liście opadające na śnieg, „niby litery chińskie na papier biały,” wodospady, przypominające sztuki płótna białego, drżące za wiatru powiewem, stada dzikich gęsi przerzynających powietrze w noc jasną, krótkość życia: oto są tematy nieśmiertelne, które nie pozwalają poetom na oryginalność.

I nigdy nie przyszło im na myśl, że mogą opiewać słońce zachodzące, lub gwiazdy na niebie;

nigdy żaden zakochany nie posunął swej śmiałości tak daleko, ażeby wysławiać np. oczy swej bogdanki.

Nawet malarstwo, jedyna sztuka, która się u nich rozwinęła naprawdę, nie umiało uniknąć tych skal podwodnych, jakimi są komunały oklepane. Stały się one prawem, dla którego niema przedawnienia. Sosna nie może istnieć bez bocianna, bambus bez wróbla, a śliwy bez księżycy. Szkoła sztuk pięknych w Tokyo napełniła mnie zdumieniem. Uczniowie przykucnięci, albo leżący na tatami, w milczeniu głębokiem kopiowali i przekopiowywali z jakąś gorliwością religijną stare kake-mona. Profesor ich, jeden z najwięcej znanych malarzy Japonii nowożytnej, przedstawił właśnie, ku wielkiemu zachwyceniu znawców, tygrysa, który od wąsów do ogona wiernie odtwarzał jakiegoś znikomitego tygrysa z wieku zeszłego. Nie wątpiłem zatem wcale o szczerości nauczycieli w kolegiach, kiedy po moich wizytach ofiarowywali mi czasem akwarele swych uczniów, których przedwczesność fantastyczna byłaby mnie dawniej wprawiała w osłupienie. Przestałem się również dziwić, że chłop prosty umiał uchwycić delikatność jakiegoś pociągnięcia pędzlem, albo wdzięk subtelny aliteracji. Japończycy są giętki i różnorodni tylko pozornie. Przy bliższej znajomości jednostki konstatujemy zaraz nieruchomy i odporny grunt rasy. Rasa ta w sferze sztuk pięknych nie wydała geniuszów. Brak inicjatywy i wyobraźnię obiektywną zawdzięcza nietylko ubóstwu filozoficznemu, pozbawiającemu ją widnokręgów szerszych i wychowaniu buddyjskiemu, hamującemu żywość wrodzoną istoty ludzkiej, ale i wpływowi pisma chińskiego, które odegrało rolę tak wybitną w języku japońskim. Pismo to, zwane ideograficznem, znacznie lepiej wyraża przedmioty martwe, nieruchome, konkretne, niż jakąś ideę żywą, lekką, nieograniczoną i nie-



skończoną. Umysł nie umie rozszerzyć materialnego znaczenia przedmiotów. Znaki te wyobrażają tylko wrażenia, budząc pojęcia konkretne i zbyt ograniczone, ażeby się mogły rozwijać swobodnie. Uczniowie, którzy do lat piętnastu i szesnastu uczą się kreślić końcem pędzelka rozmaite sztrychy i zao krąglenia, nietylko nużą swą pamięć, ale i przyzwyczajają się przelewać swe myśli w formy stałe i ciasne. Stają się niewolnikami słów, które my, przeciwnie, mamy zawsze na swoje usługi. Patrząc na tych młodzieńców, trzymających pędzel pionowo, z łokciem w powietrzu, kreślących zapomocą linii delikatnych lub spłaszczonych znaki kabalistyczne, ozdabiane kratkowaniem i kropkowaniem, zdawało mi się, że wyrzynają oni dłutkiem bardzo starannie małe klatki, gdzie myśli ich więdną i wpadają w bezwładność. Kaligrafia jest u nich sztuką, podobnie jak rysunek i malarstwo. I nic dziwnego, że stronica ładnie zapisana ma dla nich wartość obrazu; mówi ona do wyobraźni, zawsze jednak o tych samych przedmiotach i w tej samej formie.

Pewien Japończyk pokazał mi kiedyś dwa pisma, z których jedno było symbolem robaczka świętojańskiego, a drugie śniegu.

Połączone razem wyrażały „zapał do wiedzy.” Nie dziwcie się temu: niegdyś w Chinach byli dwaj studenci tak biedni i obdarcy, jak Amyot, odczytujący w długie zimowe wieczory autorów greckich przy małej lampce płonącej przed Madonną na rozdrożu. Jeden z tych studentów zamykał w woreczku papierowym robaczki świętojańskie i pracował przy ich świetle, drugi studyował klasyków przy blasku śniegu, nagromadzonego na oknie. Język, którego źródłosłowy są symbolami, a znaki rebusami, narzuca nieodmiennie ludziom, którzy nim mówią, obrazy stałe, pogrążając ich w jakiś rodzaj fetysyzmu umysłowego, zabijającego wszelką pomysłowość. Zresztą, nie przeczę bynajmniej, że

właśnie ten brak indywidualności czyni wyobraźnię japońską więcej pociągającą, dostępniejszą, elastyczniejszą. Zamknięta w kole wrażeń świetlnych i dźwięcznych, przekazuje się z pokolenia w pokolenie, nie tracąc nic ze swej świeżości i blasku, rozlewając nawet na maluczkich jakiś wdzięk mimowolny i poezję bezwiedną. Urokowi jej ulegają cudzoziemcy, zawsze skłonni do przypisywania jednostkom poszczególnym właściwości całego narodu. W każdej duszy odbija się cała Japonia. Gospodarz domu wita cię w swych progach, ale przez usta jego przyjmuje cię z uśmiechem życzliwym cały naród, przygotowując seryę niespodzianek, otrzymanych w spadku po przodkach. Wyobraźnia japońska posiada stałość wiatrów peryodycznych, a inwencya jej — prawidłowość zjawisk natury. Nie nuży ona nigdy, podobnie jak natura, będąca jej natchnieniem.

Japończycy, bardzo sumienni w obserwacyi, zachowali jednak ten wdzięk naiwny, płynący z pól, lasów i wód na ludzi, żyjących wśród natury. Język, tak ubogi w abstrakcyę, posiada bogactwo zdumiewające wyrażeń realistycznych i dobitnych. Obfituje w onomatopeje.

Stopniują się one i przeciwstawiają umiejętnie, jak przystało ludziom, których ucho nauczyło się oceniać wartość dźwięków. Naprzykład o trzęsieniu ziemi mówią: „*Gishi-gishi* nie jest niebezpieczny, ale gdy się rozpocznie *gara-gara*, wtedy należy uciekać.”

Posługują się często figurą powtórzenia chcąc wyrazić pośpiech albo rozmaitość. Wyrazy złożone są często tylko skróceniem wrażeń silnych: *Tasogare* „kto jest ta osoba?” oznacza zmierzch, chwilę, kiedy nie można dokładnie rozpoznać kształtów. Powój nazywa się *Asugao* „oblicze poranku.” Ten naród kolorystów niema pojęcia o abstrakcyjnych nazwach rozmaitych barw. Wytworzył je przez po-

równanie, zapożyczając nazwy od roślin, zwierząt, przedmiotów konkretnych. Kolor zielony nazywa się *kolorem trawy*, fioletowy—*kolorem glicynii*, szary—*kolorem myszy*, niebieski — *kolorem nieba*, różowy — *kolorem brzoskwini*. Przyzwyczajenia, postawę, uczucia oddają prawie zawsze zapomocą porównań, wziętych z natury. Człowiek, mający chód miękki, posuwa się naprzód, jak „wierzba płacząca”, to znaczy z pewnym odcieniem znużenia, niemocy, opuszczenia, jak gałęzie wierzby chwiejące się za powiewem wiatru. Słowa płyną z ust mówcy wymownego „niby woda po desce pochyłej.” Człowiek, nie wiedzący gdzie się obrócić, podobny jest do „małpy, spadającej z drzewa, wstrząsanego wichrem”; nędzarz przypomina „bażanta na pustyni spalonej słońcem.” Słowo Shôguna, według starego przysłowia, podobne jest do potu: nie wraca nigdy. Słowa i obrazy wywołują w nas wrażenie rzeczywistości i to rzeczywistości dobrze znanej. Prawem tych samych kontrastów, z których utkane jest życie japońskie, język, osiągając bez trudu jedrność żargonu i zniżając się do warstw najgrubszego pospólstwa, przysłania zwykły brak przyzwoitości licznymi omówieniami; ucieka się do nich nawet wtedy, kiedy my się nie obawiamy nazywać rzeczy po imieniu.

Ruchy i gesty Japończycy umieją pochwycić ze zręcznością zdumiewającą. Zdaje się, że oni pierwsi zrozumieli, iż symetria paczy naturę; kiedy dla nas symetria była jednym z najwygodniejszych środków do osiągnięcia zadowolenia, a umysł nasz przekształcał naturę na podstawie stosunków prawidłowych organizmu ludzkiego, oni szukali istotnej harmonii w świecie zewnętrznym i odnaleźli ją właśnie w braku symetrii. Góry, skały, urwiska, pnie drzew zdają się ożywać pod ich pędzlem. Sylwetki odcinają się ze śmiałością, świadcząca nie tylko o doskonałej obserwacji rys-

wnika, pragnącego zachować jaknajwiększą dokładność, ale dowodzącą jeszcze wiary, że postać zewnętrzna rzeczy odpowiada ich treści wewnętrznej. Ogrodnicy, którzy są w znacznym stopniu malarzami i poetami, używają do ozdabiania ogrodów i parków kamieni, ale wybierają tylko oglądzone, rznięte, ciosane, wyżłobione przez wodę potoków, lub poszarpane przez ogień podziemny. Japonia jest rajem wulkanicznym kamieni. Dziwacznie przez naturę powyrzynane, albo płaskie, sterczą one u wejścia do świątyń, u progu domów, pod drzwiami, przy drogach. Ogrody, usypane głazami i skałami, uderzająco przypominają wybrzeże morskie i zdaje się nam, iż za chwilę usłyszymy szum fal. Kamienie mówią, ruszają się, dają znaki, robią cuda, witają uczniów Buddy. Ludzie je kochają, szanują piękność ich kształtów, dziwaczną zaszębień. To samo da się powiedzieć o pagórkach, brzegach rzek wijących się wężykowato, zakrętach alei, o ścieżkach, po których pełzają stare powykręcane korzenie. Malarz odtwarza, a ogrodnik naśladuje wiernie ich fizyognomię wyraźną, hieroglificzną, żyjącą, rzec można, ruchliwą, tak niestałą bowiem wydaje się nam gra ich kaprysów.

Podobnie jak ciała martwe, wystudyowali Japończycy rośliny i kwiaty. Botanicy europejscy podziwiają wierność naukową ich szkiców. Więcej rozmiłowani w liniach, niż w barwach, jednym śmiałym pociągnięciem pędzla, odtwarzają wybujałość łodygi, nagły rozkwit korony, rozpierzchnięcie się liści, mimikę gałęzi. Hałas olbrzymi wywołała ich umiejętność układania bukietów; Anglik Conder i inni rozwodzili się szeroko nad sposobem układania kwiatów w Japonii; z tego powodu jeden z moich przyjaciół japońskich wyraził się w ten sposób, że kiedyś, bezwątpienia, przyjdzie chwila, że profesorowie jego ojczyzny pisać będą rozprawy uczoune o sposobie, w jaki nasze gryzетки wplatają wstąż-



ki we włosy. Snobizm cudzoziemski zdaje się usprawiedliwiać to porównanie ironiczne.

W każdym razie zgodzić się musimy na to, że trzy gałązki, tworzące bukiet japoński, wykazują w swych zgięciach i skrętach wykwintnych znajomość dokładną wdzięku, z jakim natura może wychylić i zaokrąglić prostą, zwykłą gałązkę.

Drzewo albo gałązka, nakłuta przez robactwo, praca istot nieskończenie drobnych, pociąga wyobraźnię japońską i staje się tematem ornamentacyjnym.

Widziałem ekrany starożytne, ujęte w ramy jedwabne, które zapomocą malowania lub haftu świetnie naśladowały drzewo podziurawione przez owady.

Artysta co do cierpliwości i drobiazgowości kropkowania mógłby śmiało rywalizować z temi gryzoniami, niedostrzegalnymi dla oka. Tysiące istot niewidzialnych poruszało się w siatkach i girlandach jego rysunku.

Od gąsienicy do motyla, od ciemnej mrówki do chrząszcza złocistego wszystkie owady znalazły w Japonii malarzy rozmiłowanych w ich delikatności i blasku jednodniowym.

Pędzle, umaczone w tuszu, zdają się wiedzieć, jaką wartość posiada promień słońca, rzucony na jeden ze stawów łapki szarańczy, albo na skrzydło ważki.

Świerszcze i koniki polne zajmują tyle miejsca w życiu estetycznym Japończyków, że nawet stanowią artykuł handlu; niegdyś wielcy panowie polowali na nie w nocy, przy świetle latarek; dziś jeszcze wyrabiają dla nich mikroskopijne, złoczone klatki.

Poeci zauważyli, że w ciszy zmroku, dźwięki, wydawane przez owady, są czystsze i przenikliwsze.

Jedne z nich przypominają drobne dzwoneczki, inne naśladowują głosy ptaków, albo monotonne psalmy *kyô*, śpiewane przez bonzów, a jeszcze inne wydają dźwięki tak czule i delikatne, że kropla rosy, utworzona z kryształu dźwięcznego, nie mogłaby dzwonić słodziej. Budzą się z wiosną, albo w chwili, gdy koniczyna zmienia swą barwę; napełniają powietrze jesieni swym smutkiem dojmującym, a głosy ich, spotęgowane ciszą wieczorną, w świetle bladych promieni księżyca dziwnie przemawiają do duszy

Nieprzyjaciele ich zawzięci, ptaki, umieją również trafić do serca, np. kruk, którego krakanie zdaje się powtarzać słowo miłości, *ka-ai*, *ka a*. Ale szybkość ich lotu, rozpostarcie skrzydeł przy wzbijaniu się w górę, zachowanie perspektywy skróceń ciała przy zanurzaniu się w wodę, śmiałe zaostrenie dziobów, lekkie i szybkie czepianie się gałęzi, oto co malarz japoński chwyta i utrwała na długich pasach jedwabiu lub papieru. Pozostawia hafciarzom, szmelcownikom, rzeźbiarzom zadanie skopiowania pstrocizny ich upierzenia i oddanie tonów najcieplejszych i odcieni, zlewających się z sobą. Koloryści celują głównie w malowaniu na porcelanie i na ścianach. Świątynie buddyjskie przedstawiają często zdumiewające muzea ornitologiczne. Bekasy, gołębie, kaczki, gęsi, żórawie, czaple, pawie i bażanty igrają wesoło na fryzach ażurowych; na tle krzaków zielonych i równin bezludnych jeszcze jaskrawiej występuje cała świetność tych okazów hieratycznych; zdają się one być modelami idealnemi, na których się przyroda wzorować powinna.

Naśladowanie posunięte jest do niewolnictwa. Ideałem rzeźbiarzy japońskich jest wprowadzenie w błąd widzów; przypominają Zeuxisa, zwodzącego wróble. Zwierzęta domowe zdają się nas ścigać wzrokiem i drwić z nas zarazem. Małpy, przykucnięte na kończynach tylnych, jedną łapą pocierają

kosmate udo, a w drugiej potrząsają dużemi orzechami włoskimi.

Zdają się mierzyć w ciebie: mimowoli spuszczasz głowę! Kot biały, z ciemną kresą węgla na grzbiecie, umieszczony ponad drzwiami świątyni w Nikkô, zdaje się czatować i przymrużać oczy. Myszy tak się go boją, że żadna się nie odważy przekroczyć świętego ogrodzenia.

Japończycy nie ograniczają się odtworzeniem pozy i barwy zwierzęcia. Znają jego zwyczaje i oddają ruchy za pomocą słów i myśli. Bajki ich, a szczególnie kazania popularne bonzów przepelnione są rysami charakterystycznymi, które przypominają nam La Fontaine'a, gdy mu się udaje obserwacya bezpośrednia zwierząt i gdy się nie posługuje ich piórami lub futrem jedynie dla zabawnego przebrania ludzi. Do mieszkania, w którem spokojnie szperały myszy, gospodarz wprowadził kota. Biedne dziewczę z pyszczkiem chytrym udały się do litościwej Kwannon, prosząc ją o ratunek. Gdy zstępowały ze schodów świątyni napotkały ropuchę<sup>1)</sup>. Stary ten mędrzec, specjalista od dobrych rad, ściśle przestrzegający przepisów etykiety, zachowuje zawsze prostotę uniżonego Japończyka, witającego nas na klęczkach, z twarzą pochyloną ku ziemi i rękami rozłożonemi na tatami. Pokrzywdzone damy opowiadają mu całą sprawę, a on słucha z wyrazem głębokiego skupienia na twarzy, otwierając i przymykając oczy; kiedy się wreszcie odwołują do jego mądrości, nadyma się z zadowolenia. Oto scena codzienna z życia japońskiego w całej swej uszczypliwej jaskrawości. Ileż to razy, przebiegając świątynie, widziałem jak szczupłe damy, osypane mąką, w jasnych kimono wybiegały

<sup>1)</sup> W języku japońskim wyraz ropucha jest rodzaju męskiego.

na próg swych celek, ażeby się poradzić starego bonzy; ten zaś, ubrany w szatę koloru ciemnego, podnosił uroczyście i opuszczał powieki, wciągając tyle powietrza, że szyja jego nadymała się, tworząc jakby wole. Myszy, czy damy, bonza, czy ropucha, mniejsza o to!

Ten sam realizm odnaleźć można na modelach, szkicach, ilustracjach, gdzie artysta studjuje ruchy człowieka. Sławny Hokusai, sławniejszy jeszcze w Europie, niż w Japonii, nie był wcale nowatorem; stawiamy go wyżej od jego poprzedników i rywali jedynie ze względu na rozmaitość, ożywiająca jego dzieła, gdzie każdy rzut pędzla posiada ścisłość dokumentu; rodacy zaś cenią go tylko jako ucznia znakomitego wielkich mistrzów. Wytworność samuraj, zręczną mieszaninę sztywności i iście kociej gibkości, nieco zgaszony wdzięk kobiety, figlarność młodej dziewczyny, pychę łachmaniarską ronin'a, minę nieszczęśliwą wieśniaka, zapasy szermierzy ogromnych i rozkarmionych: wszystko to rysownicy japońscy odtworzyli z wiernością zdumiewającą, oddając całą szlachetność i szkaradę, któremi uczucia i przyzwyczajenia napiętnować mogły manekiny ludzkie.

Ten gust realistyczny bardzo silnie i oddawna zakorzeniony jest w całej rasie, już w najdawniejszych początkach sztuki, około XI w. malarz Kawanari wystawił nad drzwiami swego mieszkania obraz przedstawiający trupa; obraz wykonany był z tak przerażającą wiernością, że przyjaciele jego ogarnięci przestraczem, uciekali copędzej. Naśladowanie natury dochodziło do przesady, np. fabrykując lalki, zachowywano ściśle budowę anatomiczną; lalki te przeznaczone dla dzieci, wykończone artystycznie, przedstawiały cesarzy, cesarzowe, bohaterów i tancerki znakomite.

Rzeźbiarze wyzwolili się z despotycznej kon-



wencyonalności chińskiej, jeżeli nie w wyobrażeniach Buddy, to przynajmniej, gdy szło o twarze ludzkie i bogów domowych.

Artyści europejscy nie umieli wlać w drzewo lub kość słoniową więcej życia, wymodelować dokładniej rysów, ani doprowadzić szczegółów do większego wykończenia, niż Japończycy, wyrzynający swych samurajów z długimi rękawami i bonzów, pogrążonych w modlitwie. Bóg Szczęścia, siedzący na dwu dużych workach złożonych, dobry, mały bóg Daikokuten, którego głowa kształtu bani zagłębia się w ramiona, a nikła bródka pieści wydecie ogromnego brzucha, zdawał mi się być wciele niem ludzkości drwiącej, rozkoszującej się jedzeniem, otrzymywanem bezpłatnie. Jakaż pożądlivość maluje się na jego tłustych, wypchanych przysmakami ustach! Nozdrza zdają się wietrzyć zapach dzbanów z saké. Oczy śledzą nas, chwytają, wyśmiewają. Przypomina zarazem Sylenusa i Sancho-Panszę. Znam tę postać. Widziałem ją z pewnością w jakiejś restauracyi albo knajpie, a może na jakiejś stronicy u Rabelais'go.

Tak samo literatura i rozmowa ludowa wywołują co chwila twarze i sylwetki, których czystość konturów i wyrazistość rysów uwypuklają szczegóły niezapomniane: Kobieta stara, zgięta we dwoje, podobna do śliwki suchej, chce zjeść trochę ryżu, a oczy jej, nos, broda i cała twarz zaczynają się chwiać i ruszać.

Często ruchy ilustruje bałwa; frazes upstrzony nabiera tonów wyrazistych sztychu Callot'a. Często przysłowia obrazowe i paradoksalne przesuwają przed oczami naszymi wyszarzaną dumę Japonii feudalnej. Najubożsi samurajowie dumnie ukrywali swą nędzę. Gdy głód im skręcał wnętrzości, udawali, że zjedli obiad przepyszny. I dlatego samuraj, który nic nie jadł, patrzy na ciebie z góry, dłubiąc w zębach.

Zamykanie jednak wyobraźni japońskiej w granicach rzeczywistości, byłoby jej zapoznaniem. Nigdy żaden naród nie przywiązywał większej wagi do fantastycznych piękności natury i nie zespolił się z nią bliżej; żaden też nie upajał się z większą rozkoszą cichym urokiem skupienia i marzeń. Od rana do wieczora przebiegaliśmy pola skąpane w blaskach słońca, gdzie stopy nasze tonęły w powodzi kwiatów i lasy, gdzie światło zalewające ziemię złocistym potokiem, odcinały się ostro od ciemnych dolin. Nie wracaliśmy nigdy tą samą drogą; krajobrazy zmieniały się co chwila. Zasympialiliśmy w powodzi barw, dźwięków, woni, przeobrażeń. Podczas snu, dusza nasza, pracownica tajemnicza, przesiała barwy, zlała dźwięki, oczyściła wonie, wydobyla formy nieśmiertelne, wybierając najważniejszy dla siebie wiatyk z naszego ciężkiego ładunku. I w chwili rozkosznej, gdy umysł zbudzony ze snu wyprzedza rozwarcie powiek, oczom naszym ukazuje się przyroda odrodzona, uproszczona, wyzwolona z praw perspektywy, skąpana w blaskach światła, bez cieni. Odróżniamy tylko kontury obrazów oglądanych i podziwianych.

Wielość roztapia się w jedności; jednostka streszcza w sobie gatunek. Wszystkie kwiaty należące do tej samej rodziny, rozkwitają jedną wspólną koroną; kształty, których barwy jaskrawe bledną powoli, przechodząc w tony niewyraźne, dosięgają najwyższego stopnia doskonałości, do którego doprowadziłyby je natura, gdyby się mogła rozwijać po za obrębem czasu i przestrzeni.

Ten stan półsnu, w którym rzeczywistość łączy się ze światem fantazyi, jest przybytkiem wyłącznym, świątynią wyobraźni japończyków. Pracuje w niej ona nad istotą rzeczy i nad typami; uwiecznia wrażenie, oczyszczając je z cech przypadkowych. Najlepsi artyści rysują i malują tylko z pamięci i są nieporównani w tych razach, kiedy wspomnie-

nie chwyta wdzięk chwilowy: gwałtowne uderzenie ogona rybiego o powierzchnię wody, lot ptaka o skrzydłach rozpostartych, przerzynającego powietrze w noc księżycową, łapę bociana, oświetloną jakimś błyskiem chwilowym, drżenie wiatru w liściach bambusowych.

Są to drobnostki, ale dopóki bambusy drżą za powiewem wiatru, długonogie bociany przechadzają się w słońcu, czaple długim szeregiem ciągną w srebrzystych blaskach nocy, a ryby błakają się w przezroczach wód, będziemy je poznawali po tych cechach nieznaczących, nieuchwytnych i nieśmiertelnych.

Istoty żyjące i przedmioty martwe uderzają nas ogólnymi cechami typu; szczegóły indywidualne służą tylko dla scharakteryzowania gatunku. Jedno z najlepszych dzieł wykwintnego Lactadia Hearne'a traktuje o przedstawianiu twarzy ludzkich w sztuce japońskiej. Tam, gdzieśmy przywykli widzieć tylko maski konwencyjonalne, pozbawione wyrazu, on odnajduje typy o charakterze niezwykłym. Uczesanie włosów i ubranie określają wiek i stanowisko społeczne; wdowy i małżonki nie mają wcale brwi; kosmyk włosów, zabłakany na czole, wyraża boleść i niepokój. Miękkie linie szyi i twarzy cechują młodość. W wieku dojrzałym mięśnie twarzowe zarysowują się wyraźniej. U starców podkreśla artysta pewne ściągnięcie tkanek i rysy zmodyfikowane brakiem zębów. Starość nie jest wstrętą, ponieważ nie nosi piętna oschłości, chytrości, zawiści i skąpstwa. Owiewa ją raczej jakaś rezygnacja życzliwa, słodycz trochę banalna. Młodzieńcy oddychają nieśmiałością i delikatnością. Obraz nie jest nigdy robiony z modelu; wyraża zawsze tylko prawo biologiczne. Lekkie różnice w położeniu pięciu lub sześciu barw zasadniczych wystarczają do obudzenia sympatii lub antypatii. Pamiętajmy, że w przeciągu długich wieków Japończycy pod maską

uśmiechu bezbarwnego zmuszeni byli ukrywać uczucia osobiste, a wtedy zrozumiemy prawdę tych postaci oderwanych.

Zrozumiemy też, że sztuka, która lekceważy właściwości indywidualne, skupiając całą uwagę na cechach typowych, wyczerpuje się prędko, osłabia, wyradza w powtarzaniach jałowych. Pomimo zachowania wszystkich proporcji, malarstwo japońskie typowe przedstawia nam dzisiaj te same objawy upadku nieuleczalnego, jak niegdyś tragedia u zatawardziałych naśladowców Racine'a. Ale gdy oni spadali poniżej poziomu przeciętnego, krótkość kompozycji i nieomylna zręczność pędzla dziś jeszcze pozwala artystom japońskim wywoływać złudzenie świeżości.

Zresztą dokładność ich wykończenia, owiana mgłą marzenia, głębokie odczucie uroku cichych nstroni, konwencyonalność i nawet same wady, na przykład nieznajomość perspektywy, odpowiadają wymaganiom sztuki dekoracyjnej.

Japończycy byli i są dekoratorami nieznównymi. Umieją nas wprowadzić w świat wyobraźni, łączący się ze światem rzeczywistym; skały, góry, rośliny, zwierzęta, postacie ludzkie nie tracą nic ze swej piękności pierwotnej, chociaż wydealizowane są do znaczenia symbolu.

Nigdy natura nie wydała mi się tak cudną, jak w pałacu Kyôto, wśród kryptomeryi, wisien, złocieni, wodospadów i ptaków ogromnych, malowanych na złocistem tle sufitu. Przez fryzy ażurowe przewiewało dziwnej świeżości powietrze ogrodów. Wąttle ściany pozwalały mi słyszeć smer strumyków i szum wichru w gałązkach drzew; zdawało mi się, że natura zawiadnęła tą siedzibą cesarską i zagłuszając swe hałasy, łagodząc blaski, sharmonizowana, spokojna, zbliżała się do mnie w oświetleniu prawdy fantastycznej, taka, jaką ją odnajdą ludzie w przyszłości, w raju budyjskim.



W tym to pałacu należałoby się upajać dźwiękami poezji japońskiej; równie bowiem dekoracyjna, jak malarstwo, poezya ta zdaje się uzupełniać jego efekty.

Tam pragnąłbym ujrzeć w odtworzeniu scenicznym jedną z tych krótkich scen bohaterskich, zwanych *Nô*, gdzie chór odegrywa rolę prawie tak ważną, jak w tragedji greckiej, a których forma należy do najdoskonalszych w literaturze japońskiej:

„Dokąd płyną te chmury ciemne? Wicher nocny ponuro szumi w dal. O, nocy jesienna! Co za widok, widok cudowny porywa serce moje, ściśnięte jakimś dreszczem dziwnym. Na falach wód płyną perły, a oto rosa biała, lśniąca, dziwna, jak Margieryta z mostu Gojô, którego deski skrzypią pod stopami...”

Użyłem tutaj dowolnie wyrazu „Margieryta” dla nazwania kwiatu przepysznego, który był również imieniem kobiety sławnej ze swej urody. Ale gra słów jest prawie odtworzona i nic nie brakuje do wywołania obrazu tej nocy błyszczącej; nawet uśmiech rozjaśniający lica na dźwięk imienia tej kobiety, niby skrzydło ptaka, przerzyna ciszę pogodną. Jeżeli można wierzyć miłośnikom wykształconym, to szerokie natchnienie i powiew liryczny, otwierający nam gwałtownie wrota nieskończoności, mniej są rzadkie w buddyźmie dramatycznym, niż to sądzą powszechnie.

W tych to pałacach, w których prostota łączy się ze wspaniałością, powstawały niegdyś krótkie poezye, pobudzające wyobraźnię japońską. Można te wiersze porównać do wachlarzy kosztownych, które w chwili gdy się je otwiera i zamyka, roztańczają przed oczami urok krajobrazu cudnego. Sugestywne bystre! Czar ich nie da się wyrazić niczem, gdy się przeżyło choć jedną chwilę pod dachem

domów japońskich, małych, nieruchomych naw w oceanie wszechrzeczy; ściany wątle tak niedostatecznie oddzielają nas od otaczającej przyrody, że fale dźwięków, woni i światła przypływają do naszych myśli, ozdabiają marzenie i pozbawiają snu. Dlaczego kwiat ulubiony więdnąc oddziaływa tak silnie na nasze zmysły? Zkąd płynie czar poezyi?

A kiedy poeta mówi: „W nurtach rzek pełno liści czerwonych... łódka moja płynąc przez fale rozcina kobierzec purpurowy...” czemu duszę moją ogarnia melancholia tak głęboka! Widzę łódkę i jej ślad na wodzie — ślad jest czarny, a wiosłarze posępniejsi od śmierci.

I tak artysta japoński wychodząc ze ścisłej i *quasi* naukowej obserwacji natury wznosił się stopniowo do pojęcia typu i drogą fantazyi wyzwolony z tyranii form ciasnych, odtwarza świat zewnętrzny, wywołując wrażenia nowe ze zdumiewającą prostotą środków. Wersyfikacja jego jest równie uboga, jak paleta. Podobny jest do rosy, która — zdaniem jego — ma tylko jedną barwę, ale tysiące odcieni tworzy na liściach jesiennych.

Doszedłszy do punktu granicznego, gdzie się kończy świat rzeczywisty a zaczyna świat idealny, Japończyk niezdolny jest wznieść się na wyżyny; natchnienie go opuszcza; skoro tylko traci z oczu brzegi znane, chwieje się, albo rozbija o skały podwodne. Umysł jego nie może ogarnąć horyzontów szerokich; otrzymuje efekt silny tylko nagromadzając efekty pojedyncze; poszukuje głębin, gubi się w subtelnościach sprytnych, w wielkości, i zdobywa tylko śmieszność. Wiecej przejęty formą rzeczy, niż jej istotą, mniej żądny wzbogacenia umysłu, niż zadziwienia zmysłów, dumny ze swych środków pierwotnych, jak sztukmistrz magiczny ze skrzyni pustej, z której wyjmuje bukiety i gołębie, miesza zręczność artystyczną ze sztuką żonglerską, pomyślość z kuglarstwem. Poezja stanowiła przewa-

źnie rozrywkę artystyczną; niezliczone *concelli*, układane przez dworzan, obracały się dokoła jakiegoś wyrazu dwuznacznego. Madrygały ich, podobnie jak madrygały Voiture'a i gongorystów, odznaczają się często grubiaństwem, stanowiącym odwet niespodziewany natury nad wytwornością przesadzoną.

Poeci, malarze, rzeźbiarze, ogrodnicy błąkali się w labiryncie abstrakcyj drobiazgowych. Lubując się nadmiernie w jednych i tych samych obrazach, nadali im znaczenie alegoryczne. Pragną nawet, ażeby ich ogrody wyrażały *Wiarę, Pobieżność, Radość, Czystość, Szczęście matżeńskie*; zachcianki te przywodzą mi na myśl zbyteczną subtelność i nie-naturalne powaby *Romansu o Róży*

Od ustępów przeładowanych ozdobami do dziwaczności krok jeden tylko. Poszukiwanie rzeczy łądnych doprowadziło ich do zamiłowania śmieszności; miłośnicy starych, powykrzywianych pni drzewnych, rozmówali się w potworach. Ośmieleni przez swych mistrzów Chińczyków, rozwinęli dziwaczność, która się im często wydawała wspaniałością. Nie tylko żołnierzy swych upodobnili do skorupiaków olbrzymich, ale lubowali się w okropnem i wstępnem przekształcaniu twarzy ludzkich. Ci, którzy się ośmielili porównać Japończyków z Grekami, powinni byli przypomnieć sobie przerażającą, ale spokojną piękność Meduzy i odwrócić się z litością od tych masek wściekłych, konwulsyjnie powykrzywianych, których wycie głuche pragnie obudzić trwożę, a wywołuje tylko wybuch śmiechu.

Piekło średniowieczne nie stworzyło zwierząt więcej chimerycznych nad te, które posiada ich menażerya; są tam smoki, lwy uskrzydłone, słonie bez trąby, tygrysy napuszone, tapiry, poczwary dyabelskie, zwane *Oni*, z rogami. paszczą krokodyla i trojgiem oczu sokolich. Przekształcili też zmory senne. Określili ich kontury z taką ścisłością, że ulotnił się pierwiastek grozy; podobne do ptaków

ciemności, schwytyanych i wywleczonych na światło dzienne, stały się zabawkami nieszkodliwymi w rękach dzieciennych.

Idźmy do Nikkô. Na zboczach wzgórz, gdzie spoczywają zwłoki wielkich shôgunów, wyobraźnia artystyczna Japonii nagromadziła swe arcydzieła.

Niezliczone świątynie szintoistyczne i buddyjskie wznoszą się wśród kryptomeryi, nad brzegiem potoku, przerzynającego wąską dolinę i napełniającego ją głośnym szumem; przez potok przerzucono okrągły mostek z laki czerwonej.

Z oddali oko dostrzega tylko cynober i złoto dachów spłaszczonych; zbliżając się do posągów ustawionych bezładnie, odbieramy wrażenie jakiegoś mrowiska błyszczącego.

Weźmy korę drzewa, podziurawioną, ząbkowaną, ponacinaną; wyłóżmy jej deseń koronkowy; pokryjmy cynobrem wszystkie chropowatości; niech każde ukłucie owadu zabarwi się kolorem żywym; otrzymamy fasadę tych świątyń taką, jaka się nam ukazuje, gdy zmrużymy oczy. Jeszcze krok, a cały realizm sztuki japońskiej uderza nasze zmysły.

W środku podwórzów wysypanych żwirem błyszczą głązy płaskie, lśniące; pod upstrzonymi występami arkad wyrastają zwierzęta i rośliny.

Wejdzmy do sanktuarjum; na tle ciemnej zwierciadlanej powierzchni laki, w płowych odbłaskach złota ukazuje się jakaś natura fantastyczna. Ze środka stropów smoki, pokryte łuską błękitną, niby głowonogi olbrzymie, wyciągają swe ramiona, zakończone szponami; drzwi strzegą jakieś paszcze szkarłatne. Wzdłuż ścian wykrzywają się groźnie lwy, z kłębów płomieni unoszą się tygrysy; wszędzie jakiś barok niezwykły, kapryśny; fantazyja chorobliwa, której celem jedynym jest własne zadowolenie, splata kształty urojone, pokrzywione z formami cudnymi typów nieśmiertelnych. Widzę w tem wszystkim jakiś brak jednolitości, uderzającą nieudol-



ność zrozumienia jedności panującej we wszechświecie.

Te skarby rozproszone, z których każdy zdaje się żyć życiem niezależnem i odosobnionem, to bogactwo świetne, ta przesada i monotonność dziwnym smutkiem napełniają mą duszę.

Czy chcemy im nadać jakieś znaczenie? Wejdźmy po schodach kamiennych, prowadzących pielgrzymów na szczyt wzgórza, do grobowca Yeyasu.

Mur granitowy pokrywa aksamit wilgotny, utkany z mchów leśnych. Wciągamy z rozkoszą świeżość drzew olbrzymich, których orszak wstępuje wraz z nami. Pagody toną w zieleni.

Grób samotny tchnie jakąś prostotą uroczystą; zóraw hieratyczny siedzi na żółwiu, zresztą kamienie, cień i cisza. Jaka słodycz! Wszystko zdaje się oddychać ideą śmierci. Dotknęliśmy jej lekko. Panuje ona w świątyniach, a wszystkie ich czary są tylko garstką blasków zwodniczych, zawieszoną u grobu i wychodzącą z nicości.

---

## ROZDZIAŁ II.

---

### Teatr i beletrystyka.

Taką jest zatem owa wyobraźnia japońska, porciągająca nas niby akwarium, w którym świat rzeczywisty zdaje się pływać we śnie. Rozpościera ona swe słodkie promienie na całe życie domowe i społeczne tych artystów, kształconych przez naturę, ale równocześnie subtelnym, jak Bizantyjczycy i dziecinnych, jak barbarzyńcy. Nie żądajcie od niej obrazów epickich, ani fresków odtwarzających gwałtowne przewroty świata. Wielkie tematy nieodpo-

wiednie są dla niej. Z wyjątkiem *Nô*, z których najdłuższy nie przewyższa długości jednej sceny tragicznej, i *Kyôgen'ów*, którym za wzór służyłby mogły nasze farsy, żadnego rodzaju literatury, Japończycy nie doprowadzili do doskonałości.

Zawsze jednak lubowali się w legendach i romansach. Podobnie jak my, gardzili aktorami, ale przedstawienia dramatyczne obudzały ich entuzjazm. Fikcyjne rycerskie i cudowne były dla nich tem droższe, że umysł ich nie posiadał innego pokarmu. Książęta i daïmiô'wie otaczali się ludźmi, mającymi dar opowiadania, szczególnie podczas nocy bezsennych. Dziś jeszcze na wsi wieczorami zbierają się ludzie w jakiejś sali i zapalają tyle świec, ile się zgromadzi osób. Każdy po kolei opowiada jakąś powiastkę, następnie gasi świecę. Przerazenie słuchaczy wzrasta w miarę zwiększania się ciemności; często ten, który opowiada ostatni, wpada w rodzaj obłędu i w samym środku urywa swą historię.

Teatry ludowe urządzone są doskonale. Maszynerya sceniczna stoi bardzo wysoko. Wązka deska, leżąca na jednym poziomie ze sceną wzdłuż parteru, stanowi niby mostek, zwany „drogą kwiatów”: po niej przychodzą i oddalają się główne osobistości, których wejście i wyjście możemy obserwować dokładnie. Scena obraca się za pomocą koła ruchomego. Widzowie obecni są wszystkim momentom dokonywanej zbrodni. Zabójca, dźwigając swą ofiarę, wymyka się z mieszkania, dobiega do wsi, ukrywa się za zasłoną z drzew, schodzi do rzeki i wrzuca tam trupa; obrazy następują po sobie nieznacznie, jak w życiu. Nawet prostota surowa domów japońskich, ścieżka z głazów płaskich, ogrody maleńkie, odtworzone są z taką wiernością, że możnaby poznać życie domowe Japonii, nie ruszając się z teatru.

Bardzo staranni przy wystawianiu sztuki na

scenie, Japończycy odczuwają potrzebę dekoracyi zawsze, w swych marzeniach, czytaniach samotnych. Dekoracya ich mieszkań zmienia się zależnie od miesiąca, dnia, pogody, stanu duszy. I—ponieważ umieją jednym pociągnięciem pędzla zmienić wyraz twarzy—forma bukietu, koloryt kakémono, wybór wazy lub kwiatów, kolor papieru, wystarcza do przekształcenia harmonii otoczenia, w którem się obraca ich umysł romantyczny.

Na jakiej podstawie snuli swój wątek? -Niezliczone legendy buddyjskie, przepelnione zjawiskami, snami i głosami nadziemskimi, odnoszą się przeważnie do budowy jakiejś świątyni albo poświęcenia jakiegoś zakątka przyrody. Gdyby nie oschłość wyrażen i ubóstwo poezyi, przypominałyby nieraz nasze legendy chrześcijańskie. Możemy pominąć literaturę trywialną, która zakwitła w XVIII wieku pod tyrańskim rządem Tokugawów i której najbogatsze zbiory znajdują się w Londynie.

Przedewszystkiem chciałem poznać te bajki i powieści, z których dzieci uczą się pierwszych zasad cudowności. Jakże małą krainą jest nasza ludzkość! W Japonii, podobnie jak i u nas, wróżki i zwierzęta odgrywają rolę niezmiernie ważną. Bask, który słysząc po wylądowaniu w Kōbé, że kurumaya wymówił jakieś zdanie w jego języku, nie więcej się zdziwił od Anglika, zdumionego opowieścią Japończyków o przygodach garbatego Lusmore'a, któremu wróżki odcięły garb za pomocą piły z masła. Niemiec rozciągnięty na tatami, odkrywa balladę germańską pod dachem herbariarni.

Małeńki, ale roztropny samuraj—wielkości małego palca—z przypasaną do boku igłą, której pochwę stanowi źdźbło słomy, porzucony przez rodziców, udaje się do Kyōto, gdzie zaślubia córkę ministra Sanjō. Zupełnie analogiczna historia z naszą powiastką o Tomciu Paluchu.

Rybak Urashima wraca swobodę żółwiowi, którego pojmał na wędkę; około północy jakaś kobieta cudnej piękności budzi go ze snu, bierze za rękę i zawiązuje oczy. Wkrótce uczuwa rybak szybkie kołysanie się barki. Jeżeli chcecie wiedzieć, dokąd ona przybije, otwórzcie księgę powieści arabskich. Księżniczki nie grają tam może ani na *koto* ani na *biwa*, ale zamieszkują pałace złote, wysadzone kamieniami drogiemi, leżące za mostem kryształowym i nie są wcale okrutne dla biednych śmiertelników.

Raikô z czterema ochotnikami wyprawia się na wojnę przeciw straszному demonowi, jest to rodzaj ludożercy czy minotaura; pożera on młodych chłopców i dziewczęta z okolicy. Stanąwszy przed obliczem potwora, wysokiego na sto metrów, z oczami w środku czoła, jak u argusa rzucającemi na wszystkie strony spojrzenia błyszczące, co robi Raikô? O cieniu chytrego Odysseusza! Usypia go winem cudownem i odcina mu głowę, głowę ogromną, która się unosi w powietrze, zgrzytając zębami; nagle olśniona widokiem płomiennego hełmu Raika, zatacza koło i upada do stóp bohatera.

Walki z dyabłami, znikającymi o wschodzie słońca, z hydrami, z pajakami olbrzymiemi; przemiany lisów w księżniczki i pracowitych prądek w koniki polne; pałace podwodne, w których smok z wysokości wież błyszczących panuje nad węzami i krokodyłami; dzieci, znalezione w korze bambusów; widma zwierząt i drzewa czarodziejskie; boginie, wygnane z nieba, przybierające postać ziemianek i zawracające głowy książętom i królom; starzy małżonkowie, w których domu przebywa bóstwo i których miłość jest kwiatem nieśmiertelnym; nieszczęśliwe Cendrillon y u ogniska macochy; kapelusz słomiany, czyniący człowieka niewidzialnym, podobnie



jak pierścień Gygesa <sup>1)</sup>: Japonia nie wymyśliła nic takiego, czemby nasze matki, piastunki, Owidyusz, Perrault, Andersen, Tysiąc nocy i Jedna nie umiliły kolebki naszego dzieciństwa.

Jeżeli *Romans o lisie* jest zwierciadłem społeczeństwa średniowiecznego, a bajki La Fontaine'a w. XVII, to feudalizm japoński ze swemi maskami krwawemi, podstępami, wiernością rycerską, vendettą i poświęceniem, przegląda się z zadowoleniem w historii alegorycznej o *Kagane maru*; jest to pies wierny, który się mści za śmierć ojca, pożartego przez tygrysa. Przyjrzyjmy się bliżej osobistościom. Oto tygrys, wasal feudalny, siedzi w głębi swej kniei, z oczami świecącemi, z brodą najeżoną, przypominającą pęk igieł. Dworzanin jego, lis, który utracił ogon w napadzie na podwórko, zakrada się cichutko, otulony miękkim futerkiem, stępując lekko po śniegu. Dwa psy, z których jeden wyobraża rônin'a wychudzonego, a drugi samuraj'a wypasione-go na dobrej służbie u myśliwego, gryzą się ze sobą o jakąś kość w obecności rannego bażanta, podczas ich walki, a krokiem miękkim, aksamitnym, zbliża się kot, porywa zdobycz i unosi ją w zębach. Nieco później słodki ten tartuffe zaleca się do myszy, którą jego pazury uczyniły wdową. W jej obronie występuje pies, ale biedna dama umiera wkrótce, ratując swego obrońcę; umiera ze skromnością bohaterską Japonki. Poza temi typami spotykamy też jednostki dzielne, uczciwe, pragnące ulżyć niedoli świata; do nich należy krowa, dobra matka i wół sprawiedliwy.

Tematy noweli i romansów są niemięniej dziwne. W Japonii dawnej, podobnie jak i w Ameryce przemysłowej, rodzaj sentymentalny uprawiany był przeważnie przez kobiety. *Genji Mo-*

---

<sup>1)</sup> Gyges—pasterz lidyjski, według podania greckiego posiadał pierścień, który go mógł uczynić niewidzialnym.

*nogateri*, utwór znakomitej powieściopisarki z XI wieku czytałem z niemniejszą przyjemnością od *Astrei* <sup>1)</sup>). Właśnie po rządach tyranii krwawej i podczas wojen domowych dusza ludzka w każdym narodzie wytwarza ideał oazy szczęśliwej, gdzie jedyną ambicyą serc jest kochać i być kochanemi.

Gdy zapanował pokój pod rządami Tokugawów, *przygody płaszcza i szpady* wyparły dawne romanse dworskie. Romansopisarz narodowy, Bakin, wynosił pod niebiosy świetne czyny samurajów, tych muszkieterów japońskich. Nietylko pisał historję na sposób Dumas'a, ale uciekał się nawet do sposobów praktykowanych przez naszych felietonistów najwięcej niezmordowanych; naprzykład, chcąc się zorientować pośród swych licznych bohaterów, ustawiał lalki dokoła stołu; razu pewnego służąca, niemniej przerażona od pokojówki Ponson du Terrail'a, usłyszała taki okrzyk: „czas już, żebym zabił służącą!”

Dramaturgowie czerpali z tego samego źródła, co i Bakin. Jeżeli pochodzenia religijnego *Nô* zachowały swój charakter święty i legendowy, teatr otwarty dla tłumu dał mu melodramaty bohater-skie i komedję realistyczną. Zemsty, poświęcenia macierzyńskie, zdrady ukarane, zbrodnie wykryte, ofiary wdzięczności, podstawianie dzieci, Genowefa z Brabantu i piekielny Golo, nauczyciel, poświęcający własne dziecko dla uratowania syna książęcego, szaleństwa księcia zakochanego w zalotnicy, antyteza abnegacyi wzniosłej w sercu dziewczyny upadłej, sceny sądowe, i pewne upodobanie kornelowskie w długich monologach, zasilały w przeciągu dwu wieków dramat japoński; przedstawienia odgrywały trupy wędrowne, złożone z mężczyzn, ko-

---

<sup>1)</sup> Romans pasterski z XVII wieku przez Honoré d'Urfé.

biet, dzieci, a nawet i małp; koło świątyni bowiem Asakusa małpy przedstawiały najwięcej wzruszające sceny z wojny Taïrskiej: rozpruwały sobie brzuchy na sposób samurajów i golily głowy, jak starzy wojownicy, na których spłynęła łaska buddyjska.

We wszystkich sztukach, na których byłem obecny, kazawszy je poprzednio przetłómaczyć i rozebrać krytycznie, sytuacje przypominały mi teatr hiszpański, angielski lub francuski, zaczynając od Calderon'a, a kończąc na D'Ennery'm i nie wyłączając Szekspira. Widziałem na scenach japońskich lasy ruchome, Mackbeth'ów ściganych wyrzutami sumienia za popełnione zbrodnie, ronin'ów, opanowanych żądzą zemsty, którzy dla uśpienia czujności wroga charakteryzowali się za hulaków, wystawiając na plwociny swe pijane maski, przypominające twarze Lorenzaccia. To samo da się powiedzieć o komedjach i farsach: kupcy niesumienni, rycerze-włóczęgi, złodzieje ujmującej powierzchowności, bonzowie tonący w hulankach, lichwiarze, stręczycielki, głupcy zazdrośni, zakochani, rozrzutni i lekkomyślni, są to typy dobrze nam znane.

Analogia typów powyższych tem silniej uwydatnia różnice umysłowe, dzielące nas od Japończyków. Są one bardzo znaczne i wszystkie przemawiają na ich niekorzyść.

Kiedy u nas filozofia zalewa wszystko, teatr i powieści japońskie zdradzają opłakane ubóstwo myśli.

Chęć wyciągnięcia sensu moralnego z ich bajek byłaby stratą czasu; brak im myśli głębszej. Gdy autorowie nie alegoryzują swych własnych opowieści, moralność, którą wyciągają z przygód swych bohaterów, wydaje się nam równie oschłą, jak nieprzewidzianą.

U Bakina zwykle czarne charaktery prawią czytelnikom kazania. Anegdoty najwięcej tłuste i pieprzne, za pomocą których nasi kaznodzieje

średniowieczni starają się pobudzić do cnoty swe owieczki, dałyby nam słaby obraz dziwnych wykre-  
tów, któremi się posługują bonzowie dla popchnię-  
cia do Raju trzody wiernych.

Znam tylko jeden utwór, odznaczający się fan-  
tazją istotnie bujną. Pochodzi on z XVIII w.;  
Japończycy zapomnieli o nim zupełnie, gdy uczony  
i subtelny profesor filologii uniwersytetu w Tôkyô,  
p. Bazyli Chamberlain odnalazł ją u jakiegoś anty-  
kwaryusza. Jest to opis cudownych podróży Wa-  
sobyoe, Guliwera japońskiego. Łódka uniosła go  
daleko od Nagasaki; po trzechmiesięcznej podróży  
burza wyrzuca go na brzegi krainy Wiecznej Mło-  
dości i Wiecznego Życia. Mieszkańcy tej wyspy  
zaczarowanej, z których zaledwie jeden umiera  
w przeciągu dwu, czy trzech tysięcy lat, rozmawiali  
i rozmyślali tylko o śmierci. Całą duszą dążyli do  
tej krainy niedostępnej. Stoły bogactw zastawio-  
ne były truciznami i potrawami jadowitemi; ci wy-  
dziedziczeni grobu w zawrocie głowy i anestezji  
szukali lekarstwa, kojącego ich pragnienie śmierci.  
Podobne ustępy, w których forma nowa i porywa-  
jąca przystosowuje się do myśli prostej i silnej,  
są niezmiernie rzadkie w literaturze japońskiej; po-  
mimo całą wyjątkową oryginalność, Wasobyoe stoi  
znacznie niżej od Guliwera.

Japończycy opowiadają i piszą tylko dla za-  
bawy. Nie dowodzą niczego i nie pragną nikogo  
przekonać. Fantazja ich wystarcza sama sobie, ca-  
łe jej bogactwo zużywa się bowiem w czezej wybu-  
jałości, wyjaławia się dziwacznościami. Wszelkie  
nieprawdopodobieństwa, obniżające wartość artysty-  
czną dzieł, uważają się za piękności niewątpliwe  
i nie krępują ich bynajmniej. Brak miary w po-  
myśle artystycznym uważa się w oczach Japończy-  
ków za oznakę geniuszu.

Ci badacze natury wpadają na każdym kroku



w śmieszności marzycieli. Bajkopisarze wymyślają bez najmniejszego powodu zabawy królika z krokodylem, rozmowy małpy z rybą. Dramaturgowie łączą wypadki najzupełniej nieprawdopodobne, stojące na wierzchołkach piramid akrobatycznych. W znakomitym dramacie „Koniczyna z Seudai,” służący staro- go lekarza zabija i ograbia swego pana, chowa swą zdobycz pod progiem domu i wymyka się z mieszkania dla urządzenia sobie jakiegoś alibi; tymczasem pies, bawiąc się w progu mieszkania zabitego, wyciąga z kryjówki rulon ze złotem i zanosi go do kosza ogrodnika, którego córka zostaje obwinioną o morderstwo. Muszę jeszcze dodać, że scenę tę znacznie uprościłem.

Powieści japońskie zachwycają nas tylko w dziełach Mitforda i Lafcadio, t. j. wtedy, gdy są obcięte, oczyszczone i nanowo ułożone przez artystów europejskich.

Możnaby chętnie wybaczyć Japończykom wielką płytkość ich wyobraźni i bardzo liczne nieprawdopodobieństwa, gdyby tylko umieli przygotować nas do nich i osiągnąć efekty logiczne. Przedewszystkiem jednak brakuje im zupełnie umiejętności układania materiału. Zasadnicza prawie niemożność ułożenia całości, przeprowadzenia jakiegoś tematu, ustanowienia stosunku właściwego między częściami dzieła, harmonijnego oświetlenia i rozwinięcia każdej z tych części, nie powinna bynajmniej zadziwiać nas w narodzie, dla którego perspektywa była nauką nieznaną; wady te mniej nas uderzają w powiastkach krótkich, występując najjaskrawiej w romansach i sztukach dramatycznych.

Wypadki, natłoczone w melodramacie japońskim, nie mają z sobą nic wspólnego, prócz pierwszego impulsu, popychającego bohaterów do akcji. Dramaturg zapomina o bohaterze pierwotnym dla innych, których wprowadza później; romansopisarz gubi się w zboczeniach, a deklamator z profesyi

traci czas na zdania nawiasowe! Utwory ich zwykle nie mają punktu oparcia; jedność akcji jest tu rzeczą drugorzędną.

Przyczynę tego stanowi niewątpliwie niewolnicze naśladowanie rzeczywistości. Nigdy się nie nudziłem ani na chwilę w teatrze japońskim; chociaż bowiem uwaga moja rozpraszała się na mnóstwo szczegółów najrozmaitszych, byłem wdzięczny autorowi za drobiazgowe wskrzeszenie etykiety i barbarzyństwa czasów feudalnych, za ukazanie mym oczom dokładnych obrazów życia codziennego. W teatrze dowiedziałem się, jak samurajowie rozpruwają sobie brzuchy i w jaki sposób dobre gospodynie przyrządzają potrawy z ryżu. Byłem obecny na lekcjach nauczycieli szkolnych w dawniejszych *Tera-koya*; przekonałem się, że uczniowie nasi, przyczepiając baletnice papierowe do pleców swych towarzyszków, zachowują się zupełnie tak samo, jak nigusy japońscy.

Poeci dramatyczni odsłonili mi wspaniałości Yoshiwary, miasta, poświęconego Afrodycie, leżącego u bram Tôkyô. Wiem, ile czasu potrzebuje załotnica dla wykonania swej fryzury misternej, wiem, jak chodziła niegdyś na wysokich getach, w szerokim pasie na biodrach, okryta płaszczem odświeżnym, ze strzałami złotymi we włosach. Skonstatowałem, że zabójcy w Japonii zachowują te same ostrożności, co i u nas przy wykonywaniu swych dzieł zbrodniczych, tak samo gaszą światło niedyskretne i zdejmują sandały, ażeby nie zostawić po sobie śladów krwawych.

Jakże daleko od tych arcydzieł stoi nasz teatr realistyczny! Jaka tam panuje dokładność! Japończycy odznaczają się uczciwością nieubłaganą: nie oszukają nas nawet co do ilości minut, potrzebnych do przyrządzenia jakiejś potrawy.

Tancerze, kłowni, aktorzy nieporównani w ruchach i gestach, komedyanci, wszyscy mówią false-

tem, jak nakazuje tradycja i w ten sposób, żeby w gruncie rzeczy nic nie powiedzieć, zupełnie jak zwykli śmiertelnicy. I jeżeli ich pojedynki i bitwy ujęte są w pewne stałe przepisy, bądźcie pewni, że ludzie dla wzajemnego mordowania się w rzeczywistości używają nie mniejszych wysiłków. Umieją przedłużać agonię, blednąć, zielenieć, oddawać duszę z powolnością, która nam nie daruje ani jednego kurczu mięśni.

Płyn czerwony tryska i płynie strumieniem z ich gardła lub pasa. Edyp z oczami wyłupionymi nie potrafiłby zakrwawić twarzy z większą umiejętnością. Aktorzy japońscy, podobnie jak nasi, troszczą się o zachowanie kolorytu miejscowego; uprawiają prawdziwy kult anegdotyczny, manię wskrzeszeń, zwanych historycznemi.

W Tōkyō odgrywano komedię, której bohaterka, gejsza Kashiku, dobra dziewczyna, bardzo lubiana, umarła wskutek nadmiernego używania trunków i spoczywa na cmentarzu w Osaka. Dowiedziałem się z dzienników, że aktor, grający tę rolę, udał się do miejsca rodzinnego Kashiku, gdzie święcono sto pięćdziesiątą rocznicę jej śmierci, ażeby zabrać wszystkie dokumenty, odnoszące się do historii tej szanowanej pijaczki.

Pomiędzy fragmentami z życia, które aktorzy japońscy wysuwają na pierwszy plan swej sceny, niektóre mogłyby swym blaskiem i malowniczością zranić serca naszych romantyków. Jedne zachwycają nas swym kolorytem potężnym, inne szarpiają nas, jak kleszczami, wrywając okrzyki niepokoju nerwowego. Książę Yorikané pragnie kupić gejszę Takao, chociażby na wagę złota. W sali, gdzie się odbywa uczta, wśród ścian złocistych, ozdobionych kwiatami śliw, w gronie błaznów i dworzan przykucniętych siedzi książę, ubrany w szatę jedwabną koloru lila-różowego, z łokciem opartym o poduszkę, wachlując się niedbale; służba przynosi wa-

gi olbrzymie, z szalkami z czarnej laki, a Takao, umalowana jak posąg bóstwa, ciągnie z trudnością ciężki płaszcz z jedwabnej brokateli, do którego pasorzyci bezwstydni poprzyczepiali sztabki z ołowiu.

Mamka Masaoka strzeże od trucicieli młodego księcia, ostatnią latorośl krwi drogiej; dziecku jej nakazano kosztowanie wszystkich potraw. Damy pałacowe wdzierają się do ich ustronia i ofiarowują dziecięciu królewskiemu pudełko z łakociami zatrutemi; mały towarzysz, posłuszny nakazowi, porywa z pośpiechem, jedno ciastko zjada i nogą odtrąca pudełko. Śmierć jego wykryje zbrodnię.

Trucicielki tracą głowę, chwytają chłopca i w oczach matki zarzynają, niby za karę obrazy majestatu. Masaoka, nieruchoma, na klęczkach w milczeniu patrzy na straszną agonię jedyne dziecko.

— To nie był twój syn — wrzeszczą zmieszane zbrodniarki. — Zamieniłaś dzieci, ażeby nas lepiej oszukać. Książę umarł!

Masaoka milczy. Milczenie jej równa się wyznaniu. Jędze się oddalają, Masaoka ściga je wzrokiem, zrywa się z kolan; pierś jej się wzdyma, twarz ściąga kurczowo; gdy pozostaje sam na sam z uratowanym księciem, rzuca się na ciało ofiary z takim wybuchem rozpacz, że wszystkie kobiety, które piastowały dziecię u łona, poznają w niej matkę.

Czytając bajki szynonizmu, nieraz myślałem, ileby mytów cudownych mógł z nich zaczerpnąć taki Platon; będąc w teatrze w Tōkyō, powtarzałem sobie często: „Co za świetny materyał dla Szekspira!” Ale Japończycy nie wydali ani Szekspira, ani Platona. Nigdy w ciemnościach ich umysłu nie zapłonęła lampka Psychy; brak psychologii, tak często stanowiący klęskę literatur buddyjskich i konfucyańskich, obniża ich teatr do poziomu sztuki cyrkowej. Ktoby ich zresztą mógł nauczyć poznawania serc? Doktryna Konfucjusza zamyka życie ludzkie w formy nietykalne, nie dając pola do walk i buntu. Bud-



dyzm zaś dąży do upodobnienia dusz, zlania ich w jedną całość i pozbawienia wszelkich odrębności. Porównajmy bezbarwnych uczniów Buddy z naszymi apostołami męczonymi, żądnymi czynów, gwałtownymi marzycielami! Kazuistyka bonzów nie wyszła po za obręb ich klasztorów; rozprawy teologiczne nie wzbogaciły wiedzy wewnętrznej.

Język i składnia są najlepszym tego dowodem. Japończycy nie znają właściwego stopniowania przymiotników. Stopień wyższy i najwyższy tworzą za pomocą przysłówków; stopnia wyższego używają niezmiernie rzadko. I jeżeli—jak mi tłómaczono z całą naiwnością—jest to oznaką szlachetności, nie stawiać stopni między złem i dobrem, pięknem i brzydkiem, dozwołonem i zakazanem, szlachetność ta, granicząca z barbarzyństwem, nie zna analizy i nie rozumie odcieni myśli. Więcej mnie jeszcze uderza to, że podmiot w zdaniu japońskim odpowiada nie tyle pierwszemu ile drugiemu przypadkowi gramatyki łacińskiej. Częstka, która idzie za nim, ma znaczenie przyimka *de*.

U nas czynność wyraża się w formie osobowej, np. *idę, słońce świeci*, u Japończyków zaś stwierdza tylko jakiś fakt, np. *leje, śnieży, zmierzcha się*. Fakt ten pochodzi z pewnością od podmiotu, ale ścisły związek między przyczyną i skutkiem nie jest widoczny.

Podmiot nie wywołuje czynności; raczej czynność spływa na niego. Słowo jest więc zawsze nieosobowe, czas przyszły wyraża się z powątpiewaniem. Dodajmy jeszcze, że brak zaimków osobowych zmusza Japończyków do używania zwrotów skomplikowanych i kunsztownych rzeczowników i przymiotników szczególnych, partykuł wyrażających uszanowanie, form słowa, oznaczających całą hierarchię etykiety.

Nic nie wykazuje lepiej bierności duszy. Jednostka istnieje tylko w stosunku do innych. Lu-

dzie mianują się i odróżniają zapomocą formulek, wyrażających ich stosunek wzajemny.

Nie powinniśmy się zatem dziwić, że bohaterowie dramatów działają za popędem przyczyn zewnętrznych. Charakter ich nie rozwija się wcale. Bohaterstwo jest tylko wysiłkiem fizycznym. Nie są to jednak, Bogu dzięki, figurki tekturowe, poruszające się na sprężynach za pomocą nitek. Są to tylko automaty obowiązku, zdrady, honoru, zbrodni, wdzięczności albo niewdzięczności, warunków społecznych i megalomanii. Gdy się rzucają na scenie, chór reprezentowany przez starego hierofantę, wygolonego jak mnisi, siedzącego w łoży zakratowanej, przy dźwiękach shamisenu wyśpiewuje monotennie swą partyę, tłumaczy nam pantominy, nie wtajemniczając nas wcale w walki duchowe bohaterów. Jeżeli bowiem w naszych oczach walki i wahanie się podnoszą wartość człowieka, w ich oczach obniżyłyby go stanowczo. Miłość, która w ich komediach zajmuje tyle miejsca, ile w naszych i która zawsze, nawet w Yoshiwara pozostaje uczuciem czystem, jest w gruncie rzeczy oklepanym komunalem, którego efekt jest obrachowanym z góry. Ofiary znoszą spokojnie, co los im przeznaczy.

Uczucie osobiste i zamiłowanie natury ustępuje wobec zobowiązań abstrakcyjnych jakiegoś nakazu.

Ta prostota i ubóstwo uczuć, te istoty, opalone jedną ideą, te dusze przejrzyste i błyskotliwe, w których myśl, daleka od wszelkiej ewolucji, przybiera formy stałe, mają w sobie coś z epepei; zachwycam się szczerze temi *Nô*, rapsodami w formie dyalogów, które zręcznie ułożone przez genialnego aojda, mogłyby rasie japońskiej przekazać w spadku swoje ideały.

Osobistości legendowe, których rysy wyrzeźbiła fala pokoleń, wznoszą się wszędzie, jak posągi

rozproszone, oczekujące na swój panteon. Doliny ronsewalskie nie oddychają głębszą melancholią, niż wzgórze Yamato, gdzie młody, sławny i me-szczęśliwy Yoshitsuné, zdradzony przez swoich i ści-gany przez rodzonego brata, rozstaje się ze swą ukochaną. Najpopularniejszy z bohaterów japoń-skich jest równocześnie najniezszczęśliwszym, bo niezmierna litość zawsze była pierwiastkiem uszla-chetniającym marzenia wszystkich ludów.

Obok Yoshitsuné stoi olbrzym Benkei, mnich w hełmie, tęgi, dziki, zuchwały, odważny, z szerokiemi ustami, dobrze śpiewający wigilie i wielki rębacz.

Benkei walczy i umiera w obronie Yoshitsu-né, który pod zasłoną jego trupa ucieka w świat, popuściwszy cugli, i ginie w dali bajecznej, a lud niepokieszony wskrzesza go później pod imieniem Czyngis Hana.

Japończycy posiadali wszystkie warunki twór-czości epickiej: piękną przyrodę, osobistości wybi-tne, wypadki cudowne, język naiwny i malowniczy, obrazy zastosowane do pojęcia wszystkich; brakło im jednak potęgi umysłu, szerszego poglądu, jedno-ści kompozycyji, jednym słowem tego, co jest niez-będnem do wydania Homera lub Rabelais'go.

---

## ROZDZIAŁ III.

---

### Humorystyka japońska.

Liczne utwory wyobraźni japońskiej, nie ujęte w formę literacką, zostały wypowiedziane słowem żywym; powtarzają je codziennie. Słowo ma u Ja-pończyków większą wartość, niż litera drukowana, a ten, który opowiada, znaczy więcej, niż autor.

W Tokyو, po wsiach i miastach, lud zbiera się tłumnie przy drzwiach *yosé*. Jest to równocześnie arena błaznów, kawiarnia, sala konferencyjna, teatr improwizatorów. Mężczyźni i kobiety, klęcząc na tatami przed małą estradą, wsłuchują się w słowa deklamatora, który również na klęczkach, z wachlarzem w ręku, ciągnie swą opowieść, ilustrując ją pantominami. Deklamatorzy ci oszołomili mnie szybkością swej mowy, ruchliwością rysów twarzy, intensywnością wyrazu anegdotycznego, komicznego, dramatycznego, malującego się na ich ustach. Zda się z nich tryskać jakaś werwa pełna komizmu, którą purytanizm samurajów i surowość warunków feudalnych mogły stłumić, ale której zagłuszyć nie zdołały.

Werwa ta jest tłustą i często ucieszną.

Słyszałem jak aktorzy z *Yosé* stawiali słuchaczom pytania błazeńskie, np.: Co jest lepsze, czy mieć wzrok tak krótki, jak nos, czy nos tak długi, jak wzrok? O tej kwestyi mogliby rozprawiać równie uczenie, jak nasi kuglarze jarmarczni. Dowiedziałem się od nich, że Japonia posiada czterdzieści osiem gatunków głupców, których głupota mierzy się zwykle wzrostem. Spójrzycie na kościół w Asakusa: przybytkiem ślicznutkiej bogini Kwannon, nie większej od ręki dziecka, jest świątynia obszerna; stróże zaś stojący u drzwi, są wzrostu olbrzymiego i dotykają czołem sklepienia niży.

Zarciki ożywione i często satyryczne rozlegają się dokoła łóżek chorych. Nie wiem z kąd się bierze u Japończyków tyle humorystyki. Język ich odznacza się grzecznością nawet w ustach kurumajów; nie posiada żadnych zaklęć; nie upiększają go nasze malownicze przekleństwa; tylko wesołość i krotchwilność w rodzaju Pantagruel'a rozwija się bujnie w ojczyźnie złocieni. Kobiety i duchowni traktowani są podobnie, jak we francuskich *fabliaux*.



Plotki, obmowy, lotrostwa kumoszek, świętoszkowata pożądlliwość kaznodziejów buddyjskich, zręczność starych bonzów w łapaniu za słówka, oszustwa mnichów i giejsz, kłopoty małżeńskie i zazdrość teściowych wprawiają publiczność w taką radość, że skacze z radości;—mimowolnie przychodzi na myśl ekspansywna, drwiąca ludność Turenii.

Tłum japoński lubi odpowiedzi żywe, nieoczekiwane, dowcipy zręczne, żarty swobodne.

Czy mam przytoczyć historię o błaznie Kisa-burô, który siedząc obok sklepu ze smażonemi węgorkami zajadał ryż, oddychając wonią pieczystego? Za woń tę zapłacił nie brzęczącą monetą, lecz widokiem swych pieniędzy. Doprawdy, anegdota japońska przyponina więcej rysunek wykonany sepią, zapożyczony prawdopodobnie w XVI w. przez podróżników japońskich z jakiegoś zbioru włoskiego, niż jaskrawo i silnie odmalowany obrazek z Rabelais'go.

Ile jednak opowiadanie japońskie traci na wartości literackiej, tyle zyskuje na grze fizyognomii mówiącego.

To samo da się powiedzieć o słowach i gestach znakomitego bonzy Ikkyû, mnicha z XIV w., który pod maską gburowatości kryje tyle finezyi i uczuć humanitarnych.

Pewnego wieczora, kiedy był jeszcze uczniem, młodym bonzą, przechodząc koło pokoju swego nauczyciela poczuł zapach smażonej ryby. Zdumiał się niezmiernie, wiedząc, że reguła zabrania bonzom spożywania ryb i szybko wszedł do pokoju.

— Nikt cię nie wołał — wykrzyknął nauczyciel, który się właśnie obliżywał.—Idź precz!

— Odchodzę — rzekł Ikkyû — ale chciałbym wiedzieć, co pan zajadasz?

— Łososia solonego.

— Ha! A na jakim drzewie go pan zerwałeś?

— Łosoś nie jest owocem—odburknął mistrz zniecierpliwiony.—Łosoś jest ryba.

Ikkyū przybrał minę zdumioną.

— Tak? Doprawdy? Łosoś jest rybą!

— A więc teraz bonzowie mają prawo jeść rybę?

— Nie, ale mnie osobiście jest to dozwolone, ponieważ obchodzę święto *indo*, to znaczy, wprowadzam duszę do innego świata.

— Doprawdy? *Indo*?

— Tak, *indo*—odpowiada mistrz z coraz większą irytacją. — Ryba ta nie żyje, a po śmierci podobna jest do uschłej gałęzi. Gdybym ją nawet wrzucił do wody, czy mogłaby pływać? *Indo* polega na tem, że się jej mówi: „Lepiej jest dla ciebie, ażebyś weszła we mnie, albowiem ze mną osiągniesz szczęśliwość wieczną”.

Tu nauczyciel złożył dłonie i pogrążył się w modlitwie przed rybą, której woń mile drażniła jego powonienie:

— *Namu-amida-butsu! Namu-amida-butsu!*

A dziecię pochylone rzekło:

— Zrozumiałem cię panie i składam dzięki!

Nazajutrz, zaraz po wstaniu, Ikkyō łowi w stawie karpia, wchodzi do kuchni i nożem zaczyna zeń zdzierać łuskę. W całym klasztorze następuje wzburzenie. Przybiega przełożony.

— Nie bój się, panie—krzyczy mały bonza.— Nie obrażam bogów! *Indo* już dokonane!

— Ach! łotrze!—Jakież to *indo*, powiedz mi.

— Rzekłem do tego karpia—odpowiada uroczyście Ikkyū: „Żyjesz i może nawet osiągnąłbyś zbawienie. Ale woda w stawie jest brudna i dlatego lepiej jest dla ciebie przejść do mojego żołądka..”

Jednak konwulsyjne ruchy karpia zdradzały, że nie podzielał wcale zapatrywania Ikkyō.

Deklamatorzy w *Yosé* podkreślają treść swych

powiastek za pomocą akcentu, mimiki i gestów. Posługują się językiem bardzo giętkim, z natury swej rozwlekłym, który, pomimo braku zaimka względnego, może ze zdumiewającą łatwością i swobodą rozwijać się w okresy. Podnieceni przez publiczność, której uwagę muszą umiejętnie oszczędzać, a której łzy i śmiech pobudzają ich twórczość, improwizatorzy ci na szerokiej drodze swej fantazyi napotykać najrozmaitsze uczucia i wzruszenia, jakich nam często odmawia teatr i romanse klasyczne. Intonacją głosu bohaterom konwencyonalnym nadają życie; osobistości drugorzędne zarysowują się wyraźniej. Jeżeli opowiadający potrzebuje wzorów, sto modeli żywych pozuje przed jego oczami. Słuchacze pracują z nim razem. Tłum zgromadzający się stale co wieczora tworzy dlań tło, na którem roninowie, gejsze, kupcy i pijacy używają życia.

Zdaje mi się, że literatura japońska, nie posiada nic oryginalniejszego nad te romanse mówione, umiejętnie podzielone na części, które deklamatorzy opowiadają na posiedzeniach następujących po sobie kolejno. W rozmowach tych żywioł komiczny łączy się z bohaterskim, okrucieństwo z uprzejmością, cynizm z wyrafinowaniem, Japonia gminu z Japonią przepychu. Jest to zarazem nowelka Boccaccia i romans łotrowski; obok osób i twarzy, jakby zapożyczonych z dawniejszych fars galijskich, spotykamy sztywność postawy, kurtoazję wymuszoną, napuszenie junaków, nędzę udrapowaną punktem honoru, krezy hiszpańskie i kaftany w stylu Ludwika XIII.

Niezawodnie, nie trzeba posuwać porównania zbyt daleko! Wiem dobrze, o ile nasze pojęcie życia, a szczególnie miłości, różni nas od Japończyków. Ostatecznie jednak stoją oni bliżej nas w tych opowiadaniach, będących do pewnego stopnia wyrazem duszy ludowej, niż w romansach, gdzie pisarze na-

śladują nas i kradną nasze typy. Ci autorowie najnowsi mają tylko to znaczenie, że podtrzymują tradycję malowniczą i realistyczną dawnej Japonii. Ich przystosowania często niezręczne utworów europejskich uwypuklają tylko brak równowagi, w jakim się dzisiaj znajduje umysł japoński; niewykształceni zaś twórcy, zabawiający tłum szyderski i romantyczny, przedstawiają najlepszą stronę geniuszu narodowego.

---



## KSIEGA VI.

### *Kobieta i miłość.*

#### ROZDZIAŁ I.

##### Kobieta u narodu kobiecego.

Nie uważajcie słów moich za paradoks: najlepszą rzeczą w Japonii są Japonki. Dawna Japonia artystyczna i religijna nie tylko nie wydała nic więcej skończonego, jak dusza kobiet japońskich; ale idea, którą wytworzyliśmy o kobiecie z jej wadami i zaletami, jest najistotniejszą treścią cywilizacyi starożytnej tego kraju.

Ten naród dzieci, jak go tylokrotnie nazywano, jest przedewszystkiem narodem kobiecym. Wejdźmy do mieszkania japońskiego: woń nieokreślonych perfum, wybór kwiatu, jakiś gracyk kosztowny i rzadki, kapryśny i ruchliwy wygląd przedmiotów otaczających, wszystko zdaje się zdradzać obecność kobiety. Gospodarz wychodzi na nasze spotkanie; w powitaniu, w ruchach, w uśmiechu, w sposobie mówienia, w jakimś nieokreślonym, ale nieprzepartym wdzięku, w dziwnej, doskonałej mieszaninie etykiety z prostotą, zdradza wychowa-

nie kobiece, nabyte pod okiem matki lub kochanki. Przyjrzyjmy się ich rękom, arcydziełu rasy: małe, szczupłe, nerwowe, miękkie, młodzieńcze, zachowują do późnej starości elastyczną wytworność i delikatność, upodabniając się do przedmiotów sztuki, któremi tak lubią się bawić. Jaka zdumiewająca umiejętność władania wachlarzem! Z jaką rozkoszą dotykają gładkich tkanin! Z jaką lekkością i pewnością ręce te, nieraz tak okrutne, przewiązują rany przyjaciela! Lekkie, ostrożne, usługne, ze zręcznością zdumiewającą zastawiają sidła naszej miłości własnej; próżność bowiem Japończyków, chociaż olbrzymia, nie zaślepia ich nigdy do tego stopnia, ażeby zapomnieli o naszej i nie starali się jej pochwycić.

Podobnie jak kobiety odznaczają się nieprzeartą chęcią podobania się wszystkim, nawet tym, których zdobycie mogliby lekceważyć. Kokieterya ich nie potrzebuje specjalnego interesu; wystarcza im to, że małe zwycięstwa podtrzymują w nich dobre mniemanie, które mają o sobie samych. Zresztą zapewniają im tę harmonię w otoczeniu, harmonię niezbędną dla ich zmysłów wydelikacyonnych. Nie drwijmy z ich teologów, jeżeli lepiej się znają na estetycznem ułożeniu fałd ubrania, niż na księgach świętych, ani z filozofów, że jednakową wagę przywiązują do ułożenia bukietu, jak do genialności jakiejś nowej myśli. Właśnie dzięki tej finezyi taktu, rozkosznego albo bolesnego pojmowania zmysłami szczegółów najsubtelniejszych są oni głęboko oryginalni i zdradzają rodzaj umysłu kobiecego.

Pomyślmy również o tem, że oni sami nie tworzą nic, a tylko pomysły cudze przystosowują do swego usposobienia, czasem bardzo wykwintnego. Historia ich rozwoju umysłowego, podobnie jak często historia kobiet, jest właściwie historią ich miłości. Rozmiłowali się w Chińczykach i w przeciągu całych wieków japonizowali chińszczyznę. Dzisiaj

zawrócił im głowę Europejczyk. Bystrość przyswajania nadaje ich ciekawości pozór sympatii i zupełnego poddania się wpływowi innych. Słodczyz pozor-na pokrywa powolną pracę paczenia.

Dodajmy do tego dziwny amalgamat naturalności i sztuczności, niestałość, uprzedzenia, ciągłą zagadkowość uśmiechu. Przenikając do ich mieszkań i do głębi dusz, odnajdujemy tam wszędzie kobietę niewidzialną, która nas tak pociąga ku sobie.

Księga święta samurajów głosiła, że „kobieta stoi na poziomie ziemi, a mężczyzna na wysokości nieba.” Szukam daremnie na czym ci mężczyźni, wyznający zasady Konfucjusza, opierali swą pychę. Nie mogli się chlępić wyłącznie z powodu tylu śmierci bohaterskich; kobiety ich potrafiły umierać z tą samą dumą i godnością. Aż do dnia naszych chłopcy i dziewczęta ze sfer wyższych odbierali prawie to samo wychowanie; i dziś jeszcze, jeżeli starzy wychowawcy zmuszają nieraz młodzież do wychodzenia w zimie o świcie na dziedziniec i do fechtowania się boso na śniegu, to z pewnością o tej samej godzinie wstają też młode dziewczęta i drżące z zimna, klęcząc, ściskają zsiniałymi palcami osypane szronem struny *koto*.

Hartowanie się nie było nigdy w Japonii przywilejem mężczyzn. Nie wprowadzili nic osobistego do słodkiej teorii buddyizmu, prócz subtelności wyszukanych i melancholii zmysłowej. Literatura narodowa, romanse i madrygały zaledwie mogłyby istnieć, gdyby kobiety nie były im dały wzorów, dotąd podziwianych.

Dwie kobiety w XVI w. otworzyły pierwsze teatry i zorganizowały pierwsze sceny, na które wkrótce purytanizm samurajów zabronił im wstępu.

Mężczyźni dla nabycia wdzięcznych ruchów i postawy uprawiali pseudo-piękne sztuki, w których się zwykle doskonalili młode dziewczęta.

Jakto, więc pogardzacie kobietami, a jednak łamiecie głowy nad sposobem ofiarowania kwiatu, albo podania filiżanki herbaty! Chociaż odznaczacie się uprzejmością wyszukaną, wolimy jednak wasze kobiety, posiadają one bowiem wasz wdzięk, który nawet jest im więcej odpowiedni i wasze cnoty, ale nie mają waszej zarozumiałości.

W każdym razie pamiętajmy, że Japończycy są wielkimi artystami. Nie ujarzmili bynajmniej kobiety; utrzymując ją na stanowisku podrzędnym, dali sposobność do wykazania zalet, które cenią najwyżej i podłożyli cienie dla jaskrawszego ich uwypuklenia.

Zręczną polityką urzeczywistnili w niej ideał życia ciasnego, ale w wysokim stopniu harmonijnego. Jest ona obrazem tego, czem byliby oni sami, gdyby ich pleć nie kazała im uważać oschłości duszy i swobody obyczajów za pewnego rodzaju obowiązek. Naturalna i sztuczna zarazem, kobieta jest żyjącą alegoryą ich cywilizacji.

O damach Japonii Perrault nie mógłby powiedzieć, że zerwano dwanaście sznurowadeł, ażeby je ścisnąć mocno i zrobić ich figurę szczuplejszą. Paczą naturę w tym samym stopniu może, co i nasze kobiety, ale w celu wręcz przeciwnym. Biust i biodra, okryte długą, prosto spadającą fałdzistą szatą, nie powinny zatrzymywać oczu. Przyzwoitość wymaga, ażeby kształty kobiece zacierały się z tą samą skromnością, z jaką się ukrywa dusza, która te kształty ożywia. Suknię z lekkiego materiału, bez żadnych zapięć, rozciętą z przodu, z zachodzącymi na siebie połami, przytrzymuje pas szeroki, ale przytrzymuje tak lekko, że mimo krótkiej spódniczki, nogi ich zwrócone do środka zmuszone są stąpać nie odrywając się od ziemi. Skromność ich zależy więc od zachowania wykuintnej miary w ruchach i gestach, a co zatem idzie, od zupeł-



nego panowania nad sobą. Potrzebna tu jest, podobnie jak na scenie, zręczność czysto fizyczna, wywołująca w Japończykach, rozmiłowanych we wszelkiego rodzaju sztukach żonglerskich, jakąś radość tajemną.

Piękne ich suknie objęte są walkiem jedwabnym, wypchanym watą, który poszerza figurę, nadając sylwetkom kobiet kształt dzwonu, albo ulatujących w górę dymów. Szlak ten za każdym krokiem się rozwija, układa wężykowato albo w zygzaki: symbol fantazyi japońskiej, zawsze falistej i zawsze równo płynącej. Tę samą fantazyę, ale z odcieniem malowniczości dziwacznej, odnajdujemy w węźle pasa, który zwiesza się niedbale na plecach, niby owoc zbyt ciężki.

Twarz kobiety, podobnie jak ubranie, nie powinna wykazywać zmysłowości. Każdy rys twarzy w typie piękności japońskiej nabiera znaczenia artystycznego, albo moralnego. Twarz ta powinna być długa, szczupła i spłaszczona około oczu, dlatego, ażeby robiła wrażenie większej słodyczy. Brwi umieszczone wysoko, zaledwie zarysowane, uwydatniają jeszcze bardziej łagodność uprzedzającą i uległą. Nos, trochę niski u podstawy, zwęża się później, tworząc wygięcie delikatne i nie zdradza wrażliwości żywszej. Usta małe, pełne, ponsowe, wiecznie rozkoszy pocałunku nieświadome, jaśniają niewinnym blaskiem wisien japońskich, które dojrzewają tylko dla przyjemności oczu. Cera jasna posiada przejrzystość kości słoniowej, z której Japończycy wyrzynają tyle ślicznych cacek. Szyja wygina się i wydłuża — prawdziwa szyja łabędzia — harmonizując z linią falistą wzgórzy na horyzoncie. Pod puklami włosów czarnych, jak laka świątyń, czoło wysokie, szersze u podstawy, zwęża się dalej, jak biała, boska piramida Fuji.

Przyroda rzadko bardzo urzeczywistnia ten typ delikatności idealnej. Uzupełniają go więc za-

pomocą ubrania, uczesania, kosmetyków, różu i bieliłła. Jedna kreska różu, położona umiejętnie, daje złudzenie, że usta są mniejsze; policzki maskują swe rumieńce zapomocą farby bielszej, niż kość słoniowa, prawie kredowej. Widziałem na wsi twarze okrągłe, rumiane i tak śmieszne, że ogarniała mnie chętka wziąć taką twarz w dłonie i pokryć węglanem ołowiu to świeże jabłko runiane.

Ten jedyny ideał piękności, według którego od wieków już modelują się wszystkie kobiety japońskie, łagodzący i poprawiający to, co twarz jakas ma oryginalnego i właściwego sobie, nadaje pewien wdzięk nieosobisty i figlarny malowanym maseczkom. Na Europejczyków wywierają one wrażenie lalek, i to lalek trochę niekształtnych, jeżeli będziemy je sądzili z punktu widzenia naszej estetyki; stany są zbyt długie, biodra zbyt wąskie, kolaną prawie skrzywione ku sobie.

Ale te lalki płaczą łzami prawdziwemi.

Pod werniksem układnej uprzejmości dusze ich nieraz staczają walki ciężkie. A ich rękawy, długie i szerokie rękawy, spadające prawie do ziemi, tłumią nieraz westchnienia i łkania, których etykietałna Japonia usłyszeć nie chce.

Jak ważną rolę rękawy te odgrywają w życiu Japonki!

Są one nietylko składem, z kąd się wydobywa wszystko, co może być wydobytem z kieszeni, z mufki, torebki podróźnej; nietylko ekranem wygodnym, za którym młoda dziewczyna ukryć może śmiech szalony, a młoda kobieta łzy gorzkie. Zdaje się, że twarze zrzucają tam swą maskę urzędową; że wyznania usłyszane, rumieńce i bladeść ukryte, łzy otarte, napoiły je jakąś litością prawie ludzką. Poezya buddyjska i ludowa dała im duszę, mówiąc, że wystarcza je potrząsnąć, aby łzy popłynęły strumieniem.

Konający, przywoływany przez matkę umarłą

do świata lepszego, doznaje wrażenia, że rękawy matczyne tak dobrze znające całą nędzę życia, ułatwiają mu wyzwolenie i dostęp do nieskończoności, podobnie jak niegdyś na drogach tułactwa ziemskiego przynosiły mu pomoc i ratunek. Kochankowie przy rozstaniu mówią, że rękawy ich będą rozłączone wiecznie; często jednak w chwili, gdy wypowiadają te słowa, rękawy litościwe i zapominające uraz zczepiają się ze sobą u progu drzwi. Zdają się one pojmować zmysłami myśli nieobecnych i rozpoznają po samem dotknięciu rękawy już dotykane w istnieniach poprzednich. Rękawy zatrzymują przy gałęziach drzew nieopatrzoną kochankę, śpieszącą w nocy na spotkanie miłego. Do nich się zwraca z błaganem ręka młodego człowieka, jakgdyby to one właśnie posiadały dar przekonywania i przelewania pragnień miłosnych.

Od urodzenia do samej śmierci stąpa Japonka między dwoma cieniami, które w miarę zbliżania się ku wieczorowi życia rosną i wydłużają się przed nią, aż wreszcie zlewają swą tajemnicę z tajemnicą grobu.

## ROZDZIAŁ II.

### Wychowanie bohaterskie.

Mówiono nieraz, że Japończycy nie traktują życia poważnie.

Tymczasem uderzony byłem niezmiernie widząc, że wszystko w ich wychowaniu dawniejszem wykazywało przekonanie głębokie, że życie nie jest nam dane tylko dla przyjemności. Podziwiać można umiejętność subtelną, z jaką ich wychowawcy umieli najcięższemu przymusowi nadać łatwość ru-

chów, wyraz naturalności i złagodzić wdziękiem instynktowym—przynajmniej u kobiety—twardość *quasi* spartańską.

Zadnej surowości pozornej, żadnej szorstkości, żadnych, a przynajmniej bardzo mało, kar cieleśnych, uczuciowość hamowana, zawsze równa; wydaje się, że dzieci wychowują się zupełnie same i że Japonia jest dla nich rajem, w którym niema wcale owocu zakazanego

Ale Jan Jakób Rousseau nie obmyślił z większą umiejętnością i pewnością domu, wioski, ogrodów, wsi, gdzie się jego Emil uczy sztuki życia, niż stara cywilizacya japońska, która bez sztuczek specjalnych, bez teatralnych efektów utworzyła dla dzieci ten raj, mając na względzie utrzymanie dawnej tradycyi.

Jakaś ręka niewidzialna prowadzi dzieci do celów stałych. Nie zdają one sobie sprawy z dyscypliny, której ulegają: instynkty ich kształtują się albo wypaczają zupełnie nieświadomie. Nie sądzę, ażeby nasze dziewczęta miały życie szczęśliwsze i swobodniejsze, niż małe Japonki. A jednak porównajmy je na przelomie wieku młodzieńczego i dojrzałego: Europejki nie myślą jeszcze wcale o wielkich obowiązkach, oczekujących na nie w przyszłości, ale niepokoją się już tajemnicą uczucia; często niezgrabne, nieśmiałe, czasem wymuszone, prawie zawsze wzorują się na bohaterkach romansów; Japonki zaś mają naturę mniej złożoną, inteligencyę ciaśniejszą, wrażliwość uboższą, ale zato są czynne, zręczne, pozbawione udanej nieśmiałości, umiejące dać sobie radę w każdym zdarzeniu, przygotowane do przyszłych obowiązków matki i małżonki, zdolne do wyrzeczenia się zupełnego.

Nie przeczę, że osobiście wolę brak skończoności naszych młodych dziewcząt, ich urok nieświadomy siebie, ich entuzjazm, żarliwą pobożność,



nawet wiele dziwactwa, niż umiarkowaną i bez zarzutu ostrożność japońską, które im zresztą nie ustępują ich w prawości i czystości. Podziwiam jednak, że młode szesnastoletnie dziewczęta umieją się utrzymać w odpowiednich granicach, nie przekraczają ich nigdy, umieją w potrzebie umrzeć i cierpieć przez posłuszeństwo prawom wyższym. Skromność tak pewna siebie zdumiewa mnie w równym stopniu, jak i malarstwo japońskie, gdzie prostota środków nietylko dorównywa doskonałości efektów, ale je nawet podnosi.

Wychowanie japońskie robi wrażenie, że się zdaje w zupełności na łaskę przyrody; czyniąc to jednak w gruncie rzeczy posługuje się naturą dla swych celów. Niemowlę wzrasta w swobodzie prawie dzikiej. Nie znosi męki powijków, ale też nikt się nie wzrusza jego krzykami. Elastyczna słoma tatami przedstawia teren wyborny do gimnastyki; kiedy ma użyć przechadzki, przywiązują go w postawie stojącej na plecach matki, która pracuje, albo siostry, która się bawi; włóczonemu po upale i po śniegu dzieciakowi, którego głowa się chwieje, a oczy mrużą, świat musi się zapewne wydawać czemś dziwnie nierównym, a sztuką największą utrzymanie równowagi.

W ten sposób uczy się nietylko rezygnacji, ale i zręczności. Jest to kot i zarazem filozof. Umie już teraz zachowywać milczenie i z czasem z dziwną łatwością potrafi wypełnić wszystkie przepisy etykiety. Japonka od lat najmłodszych, powinna się strzedz niezręczności i być zawsze, nawet przy potrąceniach nieoczekiwanych, naturalną i giętką. Ta giętkość fizyczna jest pewnego rodzaju przygotowaniem, jeżeli nie do życia moralnego, to przynajmniej do życia przyzwoitego.

Skoro tylko nauczy się używania get, a stopy jej, równie zręczne jak ręce, uchwycą sznurki łyżew i będą się mogły na nich utrzymać, wkładają

jej na plecy młodszą siostrę lub brata, obarczając ją w ten sposób odpowiedzialnością za życie drugiej jednostki. Ulice miast, dziedzińce domów, wioski przepelnione są dziećmi o dwu głowach, z których jedna jest uśmiechnięta, a druga na pół śpiąca. Te śliczne potworki jasno poubierane, biegają, skaczą, grają w piłkę i wolanta, tak przyzwyczajone do swego ciężaru macierzyńskiego, że ani jego waga, ani odpowiedzialność, nie zdają się krępować ich ruchów, ani psuć humoru. Nie przypominam sobie, żebym kiedy widział u nich wybuchy gniewu lub rozpacz, tak częste u naszych dzieci,

Mała Japonka prędko się uczy panowania nad sobą bez wszelkich pięknych przepisów i bez podniecania wrodzonej kokieteryi. Nikt jej nie mówi, że trzeba panować nad sobą, ani, że zbrzydnie prędko, jeżeli będzie płakać często—co my zwykle powtarzamy naszym dzieciom z gestami i wykrzywianiem ust, których komizmu i niekonsekwencji zdajemy się nie odczuwać wcale. Przedstawiają jej, że dobre wychowanie wymaga żeby w obecności rodziców i ludzi obcych nie zdradzała najłżejszego wzruszenia, któreby się im mogło niepodobać, albo ich zachmurzyć — i dają dobry przykład. Ojciec nie kompromituje nigdy uroku pana domu brutalnymi wyskokami; matka, której smutki i cierpienia zrozumie później, ukazuje zawsze oczom męża twarz, tchnącą zadowoleniem, a ze służbą postępuje zawsze grzecznie i łagodnie. Dziewczynka słyszy tylko wyrażenia uprzejme i wymówki łagodne. Pod formułką uprzejmą może się kryć uraza i złośliwość; ale wychowanie japońskie nie zmierza do leczenia dusz, tylko do uczynienia ich znośnymi w życiu towarzyskiem.

Nie wiem, czy odpychając wszelkie wzruszenia bolesne, nawet najgodziwsze, kosztują one tej szczęśliwości, którą nam obiecuje moralność stoicka.

Zresztą nie idzie tu weale o ich własne zadowolenie: celem jest zadowolenie innych, a nic na to lepiej nie wpływa, jak widok uśmiechniętych twarzy całego otoczenia. Szkoła hipokryzyi, szemrze Europejczyk! Czyż nazwiemy hipokryzyą ciche i uważne zachowanie się dziecka w pokoju chorego? W domach japońskich doznaje się zawsze wrażenia, że w jednym z pokoiów drzemie prababka, którą nieumiarkowane wybuchy życia mogłyby obudzić—prabaką tą—to natura.

Ale za to gaje i ogrody stoją otworem; młoda dziewczyna może się w nich błąkać bez najmniejszej obawy: nie dotknie jej żaden powiew niezależności. Buddyzm i sztuka usadowiły się w samym środku tego państwa cudownego, zagarnęły podstępnie wszystkie źródła, ożywiły kamienie, ubóstwiły kwiaty, uświęciły drogi; tam, gdzie się materya wymykała z pod ich władzy, przystawały się do niej z taką finezyą, że to ona właśnie wydaje się być ich dziełem. Od szczytów gór do głębi dolin, wszystko oddycha jednym i tym samym rodzajem piękności. Dla fantazyi nie ma tu pola; przodkowie ujęli wszystko w formy określone i stałe.

W stosunku do drzew i roślin dziecko japońskie nie pozwala sobie nigdy, jak nasze dzieci, na zachcianki dzikusów. Widoki przyrody, które nas podniecają do marzeń fantastycznych, im wbijają w głowę zasadę porządku i harmonii. Malowniczość widoków oddziałują na ich dusze, podobnie jak malowniczość maleńkich ogródków, urządzonych z wielką starannością, sztuką i znakomicie naśladowujących naturę; dla Japończyków wdzięk starych i pokrzywionych sosen wynika nietyle z ich kaprysu, ile z długiego poddania się prawom nieśmiertelnym. Zmiana pór roku spowodowuje w oznaczonym dniu i godzinie święto wisien, irysów, glicynii, azalii i złocieni.

Ziemia japońska obudza w swych dzieciach

litość czułą dla wszystkiego, co jaśniejże życiem. Chłopcy, których unosi krew szlachetna, zabawiają się nieraz dręczeniem zwierząt; siostry ich lepiej rozumieją ostrzeżenie buddyjskie: „Odrodzisz się na cierpienia, jeżeli będziesz popełniał okrucieństwa.”

Mała Japonka, goniąc za motylkiem i zapraszając śliczny świecący owad do odpoczynku na swej dłoni, widzi w nim nietylko zabawkę delikatną i kruchą, jak np. nasze dzieci, ale bezwiednie sympatyzuje z tem życiem tajemniczem, którego sama stanowi małą cząsteczkę.

Buddyzm zastawił już na nią swe słodkie siła w postaci płatków kwiatowych, kory drzew, snu złocistego kamieni, spoczywających na łonie wód brylantowych, szmeru owadów, piosnek rozlegających się dokoła. Dusza jej, olśniona blaskiem metampsychozy, posiada świadomość swego osamotnienia i znikomości w wirze dusz, które ją otaczają.

Poezye dziecinne Japonii tchną melancholią Eklezyasty. Ich piosenki lekkie i błyskotliwe pozostawiają smak popiołu na ustach zaledwie rozkwitłych. Nie sądzę, ażeby gdziekolwiek na świecie istniała dziewczynka tak głęboko przekonana o własnej nicości w stosunku do wszechświata, jak mała Japonka.

Tem chętniej zgadza się ona na stanowisko, zależne. Etykieta jest w gruncie rzeczy tylko znajomością i zachowywaniem stosunków, które łączą ludzi z sobą; ale w ustroju społecznym, gdzie jednostka istnieje tylko względnie do tych, które ją otaczają, uzyskuje istnienie osobowe. W Japonii nawet poufałość związków rodzinnych, nie mogłaby usprawiedliwić jej niezajomości, albo zapomnienia. Od lat najmłodszych Japonka przyzwyczaja się do odczuwania swej zależności nietylko względem osób, ale i względem rzeczy, które, przekazywane szere-



giem wieków, świadczą o myśli zmarłych. Dzieci Sparty nie okazywały nigdy większego poszanowania dla starców, ani szacunku względem swych rodziców. Japonka usługuje gościom, przyrządza im herbatę, nalewa saké, gra na koto dla uprzyjemnienia biesiady. Należy do wszystkich, z wyjątkiem samej siebie.

Rozrywki jej, poddane stałemu regulaminowi, powtarzają się z tą samą niezmiennością, jak miesiące i pory roku; towarzyszy im ta sama ceremonialna etykieta, nieodłączna od wszystkich ważniejszych czynów jej życia.

Lalki jej przypominają obrazy świętych, na których cześć odprawia się nabożeństwo z wielką okazałością. Dwie przedstawiają zawsze cesarza i cesarzową; otacza ich zwykle pięciu muzykantów w kostymach dworskich. Lalki zawsze ustawione szeregiem na etażerze z laki czerwonej, otrzymują ofiary w postaci ryżu i kwiatów, podobnie jak cienie przodków. Porównajmy te obrządku quasi liturgiczne z chrztem naszych lalek, kiedy bobo porcelanowe przechodzi z rąk do rąk i często jeszcze przed końcem zabawy rozbija sobie głowę. Nasze dzieci są strasznymi barbarzyńcami! Przywłaszczają sobie władzę nieograniczoną nad temi udającymi życie manekinami, które bardzo udolne ręce ubrały i wymalowały. Aniołki z oczami błękitnymi biją biedne lalki, skalpują je, rozcinają na części, rzucają się na nie z ciekawością studentów medycyny i kaprysami czerwonoskórych.

Ale małe Japonki w osobach swych laleczek rozkosznych oddają hold fantazyi przodków i zręczności artystów. Mają świadomość swojej małości wobec dzieła sztuki i przenoszą na przedmiot nieożywiony względy należne ich twórcy. Nasze dzieci rwą i walają swe książki; małe Japonki zaś poczytywałyby za świętokradztwo niszczenie kartek, wyrabianych, drukowanych i ilustrowanych przez robotników i mędrców więcej wartych, niż one.

Postawmy przed jakąś wieśniaczką ciemną i nieokrzesaną lalkę książęcą; otwórzmy na jej kolanach księgę wspaniałą. Lalka będzie się jej wydawała bożyszczem świętem, a książka skarbem nietykalnym. Szacunek jej graniczy z nieśmiałością i znika w miarę tego, jak się przyzwyczajają do tych przedmiotów cudownych. Japonka zaś nie doznaje żadnej obawy, ale też nigdy nie spoufała się do tego stopnia, żeby zapomnieć o stosunkach, które ją poddają pod zwierzchnictwo ludzi i rzeczy. Nasza wieśniaczka nie ma poczucia swej niższości.

Poczucie to tworzy niewolników, jeżeli nie jest uszlachetnione jakąś ideą piękności estetycznej i moralnej.

Dusza artystyczna i kult obowiązku ratują Japonkę, czyniąc z jej poddaństwa jakiś rodzaj służenia ideałowi. Podwładna mężczyźnie, ponieważ tak nakazuje prawo i religia, nie poniża się nigdy wobec samej siebie. Stojąca tak nisko „jak ziemia,” ponieważ tak postanowił Konfucyusz, nie ma w swej duszy nic niskiego. Niema pracy tak skromnej, którejby nie mogła osiągnąć wielkiej nagrody. Czyż shôgun Yeyasu, przeglądając pewnego dnia połatanne rupiecie, nie uczuł się dumnym, że panuje nad krajem, gdzie stare kobiety starają się z tak wielką doskonałością naprawiać zniszczone ubrania? Utrzymanie domu japońskiego przedstawia niewątpliwie mniejsze trudności, niż utrzymanie w porządku domów naszych, a kuchnia ich, ograniczona i pierwotna, nie wymaga długiego doświadczenia.

Jednak czy chodzi o wytrzepanie z kurzu taktami, czy o oczyszczenie balkonów, przyrządzenie zupy, albo ugotowanie ryżu, zawsze każda z tych czynności wykonana jest w sposób roztropny, zręczny i wolny od zarzutu.

W skromnem jej mieszkaniu niema zupełnie szychu. To, co przedsięwzię, umie wykończyć; wykończenie posiada prostotę roboty prze-

ciężnej, ale mimo to zbliża się do arcydzieła. Ileż razy widziałem Japonkę, rozkładającą na bambusach zwilżoną odzież i przeciągającą po niej swe palce tak długo, aż się wygładziły wszystkie fałdki! Jak brutalnem wydało mi się nasze żelazko, nieznanne w Japonii wobec tego sposobu prasowania, tak delikatnego i uważnego!

Wysilamy się na obniwienie narzędzi, któreby rozgrzeszyły nasze ręce od obowiązku sprytu i zręczności; Japończycy zaś wysilają się na rozwinięcie zręczności w rękach, któreby mogły nadać inteligencyę narzędziom najpierwotniejszym.

I jeżeli młoda gospodyni od pierwszej chwili, gdy zacznie spełniać swe obowiązki, przyzwyczaja się nie gardzić niczem, nie robić nic połowicznie, ponieważ niema rzeczy ani czynów obojętnych, we wszystkich chwilach życia dalszego, błahych i ważnych, zachowa to poszanowanie, nie powiem swej duszy, ale funkcji, którą spełnia i której cel leży po za nią samą. Życie się roztacza przed jej oczami, niby przedstawienie ceremonialne przed świętymi tabliczkami zmarłych. Ona też odgrywa rolę w tem przedstawieniu; powtarzano jej wielokrotnie, że chociażby rola ta była drugorzędną i mogła być wypełnioną równie dobrze przez kogoś innego, powinna ją wykonywać starannie, wszystkie szczegóły bowiem składają się na wytworzenia piękna całości. Z poczucia niższości w domu i godności osobistej, którą powinna zachować zawsze, wyradza się bezwiednie idea poświęcenia.

Pomyślmy teraz, że całe społeczeństwo japońskie oparte jest na honorze; teatr przedstawia przed oczami dziecka tylko przykłady wierności rycerskiej i wyrzeczenia się szczytnego; dzieła historyczne, powieści, romanse, wynoszą pod niebiosy poświęcenie się jednostki dla interesów rodu i ojczyzny; ziemia, po której stąpa, przesycona jest wspomnieniami podniecającemi, widoki, które podziwia, przepojone

sławą; nawet na kartach do gry, zamiast naszych figur, wypisano wierszyki, przypominające nieustannie tradycje odwieczne; nawet stojący nad grobem pamiętają o etykiecie i umierają z uśmiechem na ustach. Nie mogę zatem być posądzonym o przesadę, jeżeli powiem, że Japonka wzrasta w atmosferze bohaterskiej.

Heroizm jest jej cechą wybitną. Mogą mi zarzucić, że heroizm ten jest dziedzicznym i dlatego ma wartość tylko odruchową, a wola osobista jednostki nie odgrywa roli żadnej. Cóż jednak dziedziczność tę wytworzyło? Czyżby egoizm, a może troska o wygodę? Niema niebezpieczeństwa, nędzy, ani wypadków tragicznych, którymby Japonka, córka, żona, matka lub babka, nie mogła sprostać; dzięki swej skromności i wielkości duszy.

Przed Restauracją, jeżeli umierał samuraj, nie pozostawiwszy dziedzica płci męskiej, wdowa jego traciła majątek i, doprowadzona do nędzy, uchodziła z miasta. Pewnego razu jakiś podróżny, zabłąkany w górach, zapukał do ubogiej chałupki, prosząc o gościnność; przyjęły go dwie ubogie kobiety; ich ruchy i zachowanie się pańskie zadziwiły podróżnego. Kobiety opowiedziały mu swą historję: mąż i zięć ich zginął na torturach w obronie honoru swego księcia; ponieważ małżeństwo było bezpotomne, obie kobiety poszły na wygnanie i teraz pędzą życie ciężkie w tem dzikim ustroniu. Ale matka oświadczyła, że nie jest to cena zbyt wysoka za sławę zięcia, a córka ze łzami w oczach potwierdziła jej słowa.

Przykład ten odnosi się do czasów dawniejszych; ale i dzisiaj jeszcze mamy dowody, że chociaż obyczaje straciły już surowość feudalną, duch jednak pozostał ten sam.

Będąc w Japonii, poznałem młodego oficera, należącego do jednej z najznakomitszych rodzin dańmiō'w. Podczas wyprawy na Formozę, oficer



ten był tam wysłany ze swym pułkiem i bił się dzielnie. Tymczasem matka jego odbywała pielgrzynki do świątyń najślawniejszych, ażeby wymodlić ocalenie jedynaka. Po kilku miesiącach przyniesiono jej syna, ciężko chorego na gorączkę niszczącą. Udało się jednak uratować ukochane dziecko; a kiedy przyjaciel domu składał jej z tego powodu powinszowanie, stara księżna, klęcząc przy łóżku, na którem rekonwalescent zaczął się uśmiechać, z oczami spuszczone, ale rozkazująca i dumna, odparła z prostotą: „Gdyby syn mój był zginął w bitwie, byłabym z niego dumna; ale gdyby mi go zabrała gorączka, umarłabym z boleści”.

Niemniej wzruszającą jest babka jednego z moich przyjaciół japońskich, staruszka uboga, mieszkająca przeważnie na wsi. Gdy wnuk jej odpływał do Europy, zaniepokojona w najtajniejszej głębi swej duszy, dała mu sztylet mówiąc: „przeszyj nim każdego zuchwalca, któryby się ośmielił znieważyć Japonię, chociażbyś nawet miał utracić życie!”

Stara kobieta przy całej swej naiwności była mniejszą bohaterką od księżnej.

Zdarza się jednak heroizm jeszcze trudniejszy. Stary bonza wygłosił pewnego razu kobietom parabolę następującą:

„Pewien wdowiec, mający ojca, matkę, trzech braci, trzy siostry, i troje dzieci, chciał się ożenić z dziewczyną dwudziestosześcioletnią. Ta, pomimo chęci do małżeństwa, czuła się onieśmioną tak liczną rodziną i poszła po radę do pustelnika, który w promieniu dziesięćmilowym cieszył się sławą największego mędrca w świecie.

— Nie mogę ci nic poradzić—rzekł pustelnik — zanim się dowiem, jak masz zamiar postępować z dziećmi, siostrami, braćmi, ojcem i matką twego przyszłego męża. Namysł się dobrze i przyjdź za kilka dni.

Dziewczyna się namyślała przez cały tydzień, wreszcie przyszła do starca i powiedziała mu, że ma zamiar żyć z nową rodziną w stosunkach najlepszych.

— W takim razie—odparł mędrzec—nie wychodź zamaż, albo przynieś mi odpowiedź inną.

Znów dziewczyna wysilała swój umysł nad obmyśleniem sposobu znośnego pożycia, wreszcie wróciła do starca i rzekła doń głósemi pewnym, z odcieniem dumy:

— Obiecuję kochać ich wszystkich tak, jak gdyby byli krwią mojej krwi i kością moich kości.

— Nie wychodź zamaż! Nie wychodź! — wykrzyknął mędrzec z przestraczem—albo znajdź sposób lepszy.

Po jakimś czasie dziewczyna zjawiała po raz trzeci:

— Czegóż więc żądasz—zapytała starca—jeżeli ci nie wystarcza dobra wola, czułość i poświęcenie?

— Córko moja—odparł pustelnik—proszę cię tylko o cierpliwość.

A więc prosił ją o to, ażeby była bohaterską, każdego dnia i każdej godziny poświęcała się nieustannie, nie robiąc wrażenia, że się poświęca, i to nie dla jakiejś sprawy świętej, której piękność wynagradza nasze wysiłki moralne, ale dla pracy niewdzięcznej, dla kaprysów, ślepych i nie dających się usprawiedliwić. Tę rezygnację czynną i milczącą, najmniej naturalną z pomiędzy cnót naszych—jeżeli są cnoty naturalne—Japonka posiada w stopniu najwyższym i nigdy z drogi prostej nie zbacza. Dziewczyna, czy kobieta zamężna, nie kwestyonuje nigdy rozkazu ojca lub męża. Z uśmiechem na ustach znosi ich dziwactwa, kaprysy, zdrady i okrucieństwa.

Podczas moich podróży po Japonii zadziwiała mnie zawsze służące w hotelach i oberżach; najczę-

ściej były to córki domu: od rana do wieczora na nogach, albo na kolanach, zawsze umiejące sobie dać radę, zawsze usłużne i wesołe. Nieraz o północy słyszałem jak się kąpały w sali dolnej, a już o piątej rano szmer otwieranych okiennic budził mnie ze snu, podczas którego zdawało mi się, że słyszę ich kroki lekkie i posuwiste. Zkąd się bierze ta ich żywość, której żadne zmęczenie nie osłabia, ta słodycz, której nie mąci nigdy nadmiar pracy, ta uprzejmość, której żadna obojętność nie mrozi?

Płacą im bardzo niewiele, ale żadne bogactwa świata nie mogłyby wytworzyć tej cierpliwości buddyjskiej, wzmocnionej etykietą towarzyską, wysubtelnionej poczuciem estetycznym. Ona mi upiększyła cały pobyt w Japonii; ona nadała jakiś urok niewypowiedziany gościnności, której doznawałem prawie we wszystkich domach japońskich; piękność jej odczuwałem pod kimono bawełnianem służących, zarówno jak pod kimono jedwabnem pań szlachetnie urodzonych. Dostrzegałem nawet jej głębia u biednych, wykolejonych zalotnic, często tak mało stworzonych do swego rzemiosła, a których ruchy i zachowanie się zawsze nacechowane były skromnością.

Sprzedaż dziewcząt przez rodziców, chociaż obecnie zakazana prawem, faktycznie jednak istnieje dotychczas.

Po upadku dawnego porządku rzeczy, kiedy samurajowie stracili grunt pod nogami, wielu z nich goniąc ostatekami, sprzedawali swe córki; znam takie przykłady, że już po zawarciu umowy i wzięciu zadatku dźwięk złota obudzał w rodzicach manię wielkości; urządzano ucztę; spraszano przyjaciół, a młoda dziewczyna ostatniego wieczora swojej swobody zabawiała wszystkich dźwiękami *koto*.

Nie potrzebujemy jednak iść tak daleko; równie charakterystyczną jest odpowiedź pewnego szlachci-

ca japońskiego, dana Europejczykowi, który mu składał powinszowania z powodu małżeństwa córki:

— Nie winszujcie mi—mówił ten ojciec, uwielbiający swe dziecko — wiem; że ona nie może być szczęśliwą!

Wiedział o tem dobrze, a jednak dla interesu rodziny, dla konwenansu, dla zaszczytów nakazał poświęcenie, a biedna ofiara podziękowała mu z uśmiechem na ustach.

Uśmiech ten, *koto*, formułki grzeczności, konwenanse, ozdabiające i podtrzymujące te cnoty tak trudne, jak zaparcie się samego siebie, poszanowanie praw jednostek innych wśród cierpień naj-sroższych, gwałcenia systematyczne swej natury, wszystko to obudza mój podziw. Widzę tam tyle piękności i prawdy ludzkiej, ile w wybuchach naszej energii. Przypomnijmy sobie to, co pisze Taine o Ifigienii Racine'a. Ze kobiety japońskiej, kwiaty delikatne cywilizacji sztucznej, przypominają nam czasem Ifigenię i Monimę, że niezależnie od czasu, odległości, różnicy między światem buddyjskim i chrześcijańskim, odnajdujemy w duszy małej Japonki, mającej zaledwie pojęcie o tem, co to jest dusza, coś swojskiego, jakby pokrewieństwo z naszymi bohaterkami najczystsze i najwięcej uwielbianymi, wystarcza, żeby się nasze marzenia zatrzymały tam, gdzie padły ich cienie i z lubością wracały do tych wspomnień.

Bez wątpienia nie dosięgają one nigdy tej pełni świadomości, ani ciepła miękkiego, które tylko chrześciance nadaje duszom wybranym. Ale Japonki rozwijają się w promieniach słońca, nie w atmosferze burz i deszczów. Jakaś czułość rozumna otacza i ogrzewa ich pełne skromności zaparcie się siebie; ztąd pochodzi ten niezwykły wdzięk prostoty boskiej, którego nie umiała odtworzyć w całej pełni poezya dawna.



Na ostatniej stronie jakiegoś romansu japońskiego, mąż, któremu się nareszcie otworzyły oczy, mówi do swej młodej żony:

— Podobną jesteś do kwiatu śliwy, ponieważ drzewo śliwowe daje owoce, a ty mi dałaś dzieci.

Młoda kobieta odpowiada:

— Nie zasługuję zupełnie, żebyś mnie, panie, porównywał z kwiatem śliwy.

Wtedy mąż, kładąc lekko swą rękę na jej ramieniu rzecze:

— A więc porównam cię z drzewem figowem, które także przynosi owoce, ale kwiaty swe *kryje* w cieniu liści.

---

## ROZDZIAŁ III.

---

### Pojęcie miłości.

Idea miłości, która zawładnęła wychowaniem naszych córek, zaledwie dotyka wychowania Japońnek. To uczucie indywidualne nie daje się ułożyć w ramki społeczne: wojska regularne nie przyznają się do znajomości z tym wolnym strzelcem; słusznie ktoś powiedział, że życie indywidualne Japończyka rozpoczyna się z chwilą jego śmierci. Egzystencja jednostki zaczyna się wtedy, gdy śmierć ją wyzwoli. Na ziemi życie jest tylko atomem tej molekuly społecznie niepodzielnej: rodziny.

Łatwo zrozumieć, że rodzina, w której wszyscy członkowie są ściśle poddani jedni drugim, zapatruje się na miłość, jak na pierwiastek rozkładowy i nie opiera nigdy swej harmonii na najmniej stałym, najróżnorodniejszym i często najegoistyczniejszym z pomiędzy naszych uczuć. Troszcząc się przede wszystkim o przechowanie gatunku, zmuszona

nieraz za pomocą adoptacji uzupełniać gasnące pokolenie, obawia się miłości namiętnej, której charakter wyłączny i nieuczynny w stosunku do całej grupy mógłby każdej chwili zagrażać jej istnieniu.

Nigdy słowa Św. Pawła: „*sine affectione*”, zwrócone do rodzin pogańskich, nie były użyte właściwiej. Szacunek dziecka przybranego względem jego ojca nie jest wyrazem miłości. Nie miłością też powoduje się młody człowiek szukając żony i nie miłość nakazuje żonie posłuszeństwo mężowi; nieśtałość bowiem, właściwa ludziom i inne uczucia mogłyby wtedy stawiać przeszkody w spełnianiu tych obowiązków i odwracać od nich duszę. Kieruje tem wszystkiem interes wyższy, interes całego rodu: jednostka wypełnia jego rozkazy. Uczucie jest dozwolone, ale tylko uczucie bierne, podobne do rośliny pasorzytnej i w takim stopniu, żeby nie zmieniała niczem zewnętrznych form konwenansów surowych.

Młoda dziewczyna tworzyłaby zatem dziwne złudzenia, gdyby w chwili małżeństwa—małżeństwa tak nieuniknionego, jak sama śmierć—marzyła o jakiejś samotności we dwoje i czulej zażyłości. Dom, który się przed nią otwiera i za nią zamknie, uznałby podobne pragnienie za coś równie potwornego, jakgdyby chciała naprzykład roztrwonić na swe fantazyje dobro całej gromady. Drzwi jego strzeżone są starannie: czuwają pilnie, aby cudzoziemka, razem ze swą wyprawą, nie wprowadziła tego demona miłości, który raz wypuszczony na wolność, idzie „chwiejąc się, utykając, igrając” i którego zachowanie się, pełne niepokoju, roztargnienia i pomyłek, naruszałoby etykietę, znieważając majestat zmarłych. W oczach Japończyków małżeństwo z miłości, jest rodzajem upadku dla tego, który je zawiera, a w każdym razie przyznaniem się do słabości zasługującej na pewną wzgardę. Pewien Europejczyk opowiadał mi, że był obecny przy spotka-

niu się narzeczonych po długiej rozłące; młody człowiek zapomniał się do tego stopnia, że ścisnął dłoń swej ukochanej; obecni przy tem rodzice i przyjaciele uznali czyn ten za skandaliczny.

Małżeństwo nie otacza się w oczach Japonki tajemniczością i nie kryje dla niej żadnych niespodzianek. Z wyjątkiem klas najwyższych, kobiety wczesnie bardzo zaznajamiają się z praktyczną stroną życia. Kroki przedwstępne małżeństwa załatwia zwykle jakaś wspólna przyjaciółka obu rodzin, przejęta wyłącznie tem, żeby się wszystko odbyło podług ustalonych przepisów. Podarki od czasów niepamiętnych składają się ze sztuk jedwabiu. Wyprawę młodej małżonki tworzą małe stoliki z laki, kałamarz, pudełko do roboty, ubrania na wszystkie pory roku, nawet na całe życie, mody bowiem są tak niezienne, jak i zwyczaje. Ceremonia, wiążąca los jej z losem człowieka nieznanego, ceremonia, obywatąca się bez udziału kapłana lub urzędnika, nie daje pola nawet do lekkiego chwilowego tryumfu. Wypija trochę sake z tej samej czary, co i jej przyszły mąż — skąpy symbol wspólnego znoszenia złej i dobrej doli—i oto młoda dziewczyna zdana na łaskę i niełaskę nowej rodziny, zmuszona przyjąć jej zwyczaje, obrządki, pojęcia i przodków.

Nie jest ona przedmiotem ukochania swego małżonka: jest tylko jego żoną, to jest sługą całej rodziny i rodzicielką przyszłego pokolenia. Jeżeli się niepodoba teściowej choćby dlatego, że się zbyt podoba mężowi, odprawiają ją i biorą inną. Choć dzisiaj rozwody ograniczono, nie mniej zdarzają się one bardzo często u ludu i w sferze mieszczańskiej. Dzieci odziedziczają zawsze majątek i szlachectwo po ojcu, pochodzenie matki nie odgrywa żadnej roli; mąż więc odtrąca żonę, a dzieci zostają przy nim. Nieszczęśliwa, zagrożona rozłąką z dziećmi, woli znosić najgorsze cierpienia, niż zerwanie z domem męża.

Ale potęga gromady polega na tem, że z czasem wywyższa ona tych, którzy byli poniżeni, otaczając ich pewną aureolą sławy za bezgraniczne poświęcenia i wyrzeczenie się szczęścia osobistego.

Kiedy Gryzelda <sup>1)</sup> japońska po przebyciu ciężkich, bolesnych prób małżonki i matki zostaje teściową, otoczoną szacunkiem powszechnym, może wreszcie osiągnąć nagrodę długoletniej cierpliwości i swoją koleją uczyć innych. Nie pozbawia siebie bynajmniej tej rozkoszy; surowość, zastępującą u niej dawniejszą słodycz, przypisać należy nie tyle chęci odwetu, ile zasadniczej podstawie społeczeństwa japońskiego, według której wszystkie uczucia jednostki wypływają z jej stanowiska. Z chwilą, kiedy otrzymuje tę władzę, której dotąd ulegała sama z posłuszeństwem ślepe, wyrzekając się wszelkich aspiracyj właściwych młodej kobiecie, wymaga dla siebie szacunku i posłuszeństwa bezwzględnego. I nie może być inaczej. Gdyby choć na chwilę zwątpiła o prawdzie wyższej, którą teraz uosabia, wszystkie cierpienia przeszłości wydałyby się jej oszukaństwem wstrętnem.

Zaszczyt ten, zapoznawany przeważnie przez Europejczyków, okupiony zupełnem zaparciem się siebie w latach młodości, przypomina nieraz jemiołę zieloną, zakwitającą na uschłej gałązce.

Daremnie jednak starożytna Japonia odmawiała uczuciu miłości wstępu do rodziny; natura, szydząca z naszych konwenansów, nie wyzwoliła Japonek z tej słabości, która czyni je więcej pożadanymi i ułatwia ich zadanie. Kochają i zdarza się nawet, że umierają z miłości.

W pierwszym tygodniu pobytu mego w Tôkyô odbył się pogrzeb córki jakiegoś dygnitarza. Mąż

---

<sup>1)</sup> Gryzelda markiza de Saluces, postać legendowa, wzór cnót małżeńskich.



jej pod pozorem błahym oddalił ją od siebie po kilku miesiącach wspólnego pożycia i wszyscy wiedzieli, że młoda kobieta umarła z miłości. Wiedziano o tem, chociaż klasy wyższe unikają zwykle podobnego rozgłosu. W sferze biedniejszej ileż to serc łamie kaprys, obojętność, albo pogarda męża.

Prawda, że w klasie robotniczej, a szczególnie na wsi, gdzie potrzeba pracy zaprowadza większą równość obu płci, a bieda czyni mężczyznę rozsądniejszym, kobieta często kieruje interesami całego domu, rozwijając nieraz więcej rozsądku i inicjatywy, niż jej pan z urzędu.

Prawdą jest także, iż małżonka wzgardzona może siłą swej miłości odzyskać uczucie męża. Przysłowia i piosenki ludowe pozostawiają jej tę nadzieję. Jedno z nich głosi; „Jeżeli się przez trzy lata pozostaje na tym samym kamieniu, kamień się rozgrzewa.” Druga powiada, że „przedmiot miłości, nawet nie odwzajemnionej, jeżeli jest kochanym w przeciągu trzech lat, staje się kochankiem szczerym.”

Z ust japońskich dowiedziałem się starego przysłowia, że „włosy kobiet są dosyć silne, żeby związać słonia.” Romansopisarze i poeci, rzeźbiący tylko obrazy subtelne, porównywają dusze trawione wielką miłością z pustemi, zeszlęmi powłokami koników polnych.

Buddyzm odrzucił w otchłanie tajemnicze istnień poprzednich początek tych sił ślepych, które wywołują uczucie namiętne. Japończycy znają ból i potęgę miłości, ale nie zaznali jej godności.

Miłość u nich nie uszlachetnia kobiety. Uważają za rzecz całkiem naturalną i słuszną, że uczucie niższego rzędu, właściwość istoty upośledzonej rodzi się pod wpływem mężczyzny, który zdaje się go nie podzielać. Wprawdzie ulega mu czasem i to nadspodziewanie silnie, ale ta sama wstydlivość, która go powstrzymuje od ekstazy religij-

nej, zamyka jego usta i serce przy wyznaniach miłosnych. Wobec ukochanej zachowuje sztywność etykiety, a kiedy wreszcie odrzuca swój pancerz, jego uniesienia przejmują chłodem i robią wrażenie ustępstwa. Wogóle miłość jest dla niego epizodem obstawionym ładną dekoracją, urozmaiconym muzyką, podniesionym odrobiną melancholii. Cała poezja miłosna Japonii tchnie galanterią i zmysłowością.

Ani wobec przygody chwilowej, ani wobec uczucia poważnego mężczyzna nigdy się nie pozbywa obojętności wyniosłej. Nigdy nie robi pierwszych kroków, ale oczekuje ośmielenia ze strony kobiety; chcąc przyspieszyć jej zabiegi, nie stara się być uprzedzającym, tylko zachowuje się brutalnie. W towarzystwie poznać można zakochanego po braku grzeczności względem tej, którą kocha. Zauważyłem nawet w teatrze, że wyznacności czynią zwykle nie mężczyźni, ale kobiety i dziewczęta. Nie do piastunki, ale do samego Romea zwraca się Julia japońska ze słowami; „Małżeństwo z tobą, albo śmierć!”

Nietylko z początku mężczyzna odgrywa rolę obojętną, ale nawet w chwili uniesień miłosnych udaje, że ulega raczej wpływowi wina, niż uczuciu.

Kiedy rybak Urashima przychodzi do królowej wróżek, stara się go ona przedewszystkiem upoić. Księżniczka Kesa, postanowiwszy umrzeć, ostatniej nocy przed śmiercią upaja swego męża, ażeby w nim wzbudzić większą czułość. Miłość japońska ma w swym kołczanie kubek saké. Wybuchy miłości ze strony mężczyzny uważają się za pewnego rodzaju upadek, wytłómaczony tylko upiciem się. Podchmielony samuraj staje na poziomie kobiety.

Brak odpowiedzialności ze strony mężczyzny uczynił niewierność małżeńską częstszą, niż to przypuszczają powszechnie nawet u klas wyższych. Wśród ludu i małego mieszczaństwa, gdzie zdarza

się dosyć często, zawsze sama tylko kobieta ponosi jego skutki. Mężczyźni godzą się z sobą jej kosztem z łatwością zduniewającą. Zasługuje na uwagę, że chociaż kobieta często jest zazdrosną, namiętność ta nie doprowadza jej nigdy do zabójstwa. U Japonek namiętności rzadko bardzo prowadzą do zbrodni.

Ale gdy kobieta długo się opiera, w sercu wielbiciela wzrasta uczucie, którego już stłumić nie ma siły; wtedy się rozpryskuje stary werniks cywilizacji japońskiej, podobnie jak w ogniu zbyt silnym emalia zdobiąca ich ściany i odsłania barbarzyńcę. Zraniona miłość własna wyrzuca potok obelg. Widziałem w teatrze i to nawet w sztuce nowożytnej, jak kochanek odrzucony, człowiek inteligentny, posiadający nawet stopnie uniwersyteckie, żuje powoli cygaro i pluje w twarz młodej dziewczynie, która go nie chce zaślubić. Brutalność tej sceny mniej mnie zadziwiła, niż obojętność apatyczna i szyderstwa publiczności.

Zresztą rzeczywistość przewyższa nieraz utwory literackie.

Z tego, że miłość poniża mężczyznę, nie wypływa bynajmniej, iż upadła ona kobietę. Nawet frymarząc uczuciem, które nie podnosi piękności moralnej małżonki, kobieta poniża się mniej, niż w Europie. Pogarda dla kobiet lekkiego prowadzenia jest zawsze proporcjonalna do szacunku, który mamy dla miłości.

Pewien romansopisarz japoński mówił: „U nas żona legalna jest *toko* domu, jego kolumną z drzewa surowego lub polerowanego; kochanki zaś i gej-sze są to *kakemono*, które zawieszamy w naszych alkowach, stosownie do naszego kaprysu chwili, dnia, lub roku.”

Japończycy mają duszę zbyt artystyczną, aby gardzić *kakemono*, albo nie zbierać, o ile możności największej ich kolekcji.

Najładniejsze i najkosztowniejsze z pomiędzy tych *kakemono* są niewątpliwie gejsze. Malarstwo, taniec, muzyka, poezya, etykieta, wszystkie sztuki piękne Japonii przyłożyły się do wytworzenia tych kobiet. Dla nich to jedwabniki wysnuły swój jedwab najcenniejszy; dla nich tkacze utkali materye najbogatsze; dla nich malarze dokoracyjni wymalowali najpiękniejsze pasy; dla nich górnicy wydobyli z łona gór największą ilość złota. Mają więcej swobody w wyborze kochanka, niż młode dziewczęta w wyborze męża.

Tancerki te i muzykantki, okrutne i czule zarazem, posiadają często całą bezinteresowność prawdziwego uczucia, oraz jego wybiegi i wiarołomstwa. Wiedzą, że gdy serce kobiety przypomina roślinę, kwitnącą na powierzchni wody, serce mężczyzny zmienne jest, jak pogoda jesienna. Kiedy lis, którego Japończycy się boją, ale równocześnie uwielbiają, chce przepełnić miarę swych przestępstw, przemienia się w gejszę. One doprowadzają do bankructwa synów zacnych rodzin; one wyciskają łzy z oczu matek i małżonek. Spotkać je można wszędzie: na ulicach, po których przewożą je prędko szybkoegacze; w restauracjach, na zebraniach prywatnych i ucztach urzędowych dokoła młodych ludzi i osobistości wybitnych. Niżej od nich stoją zamknięte w ciasnych ścianach, wyłożonych wielkimi zwierciadłami lub parawanami w złote i srebrne blaszki, umalowane i świetnie postrojone oirany; zajmują one całą część miasta, a czasem nawet jego środek. Była krótka chwila, kiedy chciano skasować tę menażeryę.

— Gdyby podpalono Yoshiwarę — wykrzyknęli liryczni Japończycy — łzy nasze ugasiłyby ten pożar!

Miasto, oblane potokami światła, z ulicami szerokimi, balkonami, z jasną boazeryą, lśniącą w blaskach elektryczności, ma swe przywileje, swój



język, swe uroczystości i symbole. Każdej wiosny poselstwa kobiet zasadzają drzewa wiśniowe, które wyrywają z korzeniem, gdy już przekwitną.

Byłem kiedyś w Yoshiwara w sierpniu wieczorem. Urządzono tam sklepienia z liści i wzniesiono galerye powietrzne dla uczczenia boga szczęścia. Z łona tego dziwnego miasta wznosił się ku niebu kolos olbrzymi, z oczami ukośnemi, twarzą rumianą i okrągłą, policzkami krwią nabiegłemi. Tułów jego był tak potężny, jak tułów brązowego Buddy, przygniatającego swym ciężarem ogrody w Kamakura; ale usta szeroko otwarte śmiechem serdecznym odsłaniały jedyne dwa zęby szczęki górnej. Był to właśnie sam Bóg.

Przed tym Molochem bezzębnym, okrutnie jowialnym ciągnęły się szeregami wystawy, otoczone kratką drucianą; tam, na wspaniałych tatami, w postawie klęczącej ustawione były żywe posągi na sprzedaż. Od czasu do czasu jedna z tych kobiet strząsała popiół z fajeczki niklowej i opierała się o kratę, niby ptak rajski o druty swej klatki. Uderzony byłem ich zachowaniem się skromnem, słodyczą prawie nie ziemską i młodością. Na dwa tysiące siedemset kobiet w Yoshiwara pięćdziesiąt za ledwie ma lat trzydzieści.

Japonka zstępuje nisko, ale nigdy nie upada. Może być zepsuta, ale nigdy wyuzdana. Zawsze posłuszną jest etykiecie, która ją utrzymuje na pewnej wysokości. Japończycy gardzą miłością, ale nie poniżają istot, dostarczających im wrażeń. Dawny ceremoniał, zachowywany przy kupnie gejszy, który moglibyśmy uważać za urągawisko małżeństwa, dowodzi, że nigdy nie przestają się troszczyć o pewien ideał grzeczności i poprawności.

To święto nieustanne z rozlegającymi się daleko dźwiękami shamisen'ów, zwłaszcza w porze kwitnienia wisien, upaja sklepikarzy i drobnych mieszczan, którzy zlatują się tutaj ze wszech stron,

czasem nawet ze swemi żonami; niekiedy znów przychodzą tu same kobiety bez mężów, pragnąc przyrzuć się bliżej zalotnikom, albo kupić od nich tajemnicę podobańca się mężczyznom; uroczystości te wywarły na mnie wrażenia jakiejś zabawy artystycznej i zmysłowej, raczej swawoli wyrafinowanej, niż orgii.

Namiętności niczem tu nie są hamowane: samobójstwa częste jak wszędzie, gdzie nędza i używanie zlewają swe strumienie. Ale nigdzie, ani w tych oszańcowanych obozach miłości, ani pod koczowniczym namiotem gejsz, ani w dramatach życiowych, ani w przedstawieniach teatralnych, ani w tańcach, ani w malarstwie, ani w romansach rozbieganych krytycznie, ani w zwierzeniach otrzymanych poufnie, nie znalazłem nigdy obrazu rozkoszy zupełnej i tych zachwyków wzajemnych, w których się pogrążają jednostki, zapominając o świecie całym. W zakątkach serc japońskich pozostaje zawsze coś cierpkiego i lodowatego, coś, co nigdy nie taje. Pewien rezydent europejski, którego życie od lat trzydziestu ściśle się splatało z ich życiem, mówił mi, że Japończyk ma więcej zmysłów niż duszy, a Japonka więcej duszy niż zmysłów. To jest zupełnie możliwe i tłumaczy nawet po części jej rolę wiecznej ofiary. Zresztą byłoby nawet dziwnem, gdyby naród, który o ile się zdaje nie rozumiał nigdy najważniejszego i czystego piękna miłości, doznawać mógł najwyższych jego zachwyków.

## ROZDZIAŁ IV.

### Japonka przyszłości.

Przewaga w walce między mężczyzną i kobietą, w walce, w której Japończycy zapewnili sobie wszystkie stanowiska korzystne, przechyła się obecnie w kierunku przeciwnym. Wpływ Europy wywo-

łał rewolucję w obyczajach, której skutki są nieobliczalne; burzy ona stosunki istniejące między dwiema płciami i przenosi środek ciężkości życia społecznego. Robak naszego indywidualizmu dosięgnął już korzenia szlachetnej rośliny, która wkrótce znacznie zółknąć. Etykieta zmniejsza się w miarę wzrostu tego indywidualizmu; z etykieta, która jest jej oznaką zewnętrzną, zmniejsza się poczucie hierarchii i poszanowanie innych. Japończycy nie zeznają jeszcze tego zupełnie jasno, ale jeżeli dzisiaj odróżniamy wyraźniej szkody niż korzyści ich odrodzenia, jeżeli nieprzyjaciele zaniepokojeni, doradzają im przyjmować nowości europejskie ostrożnie, niemniej jednak jest prawdą, że szlachetność, nieznaną na Dalekim Wschodzie, przeniesiona na naszych okrętach, zaczęła rozszerzać serca skrepowane wiekową etykieta. Świeży powiew uczuć humanitarnych najwidoczniej oddziałał na kobiety, których umysł i położenie przekształcają się powoli pod wpływem przykładów cudzoziemskich, wychowania nowożytnego, rozszerzenia pola do pracy i nowej literatury.

Traci na tem dużo. Zetknięcie się z europejczykami narusza delikatną harmonię jej duszy. Przynieśliśmy jej nasze klejnoty, nasze złoto i tombak, brylanty i sztras. Widzimy złoto fałszywe na palcach służących. Nieraz księżniczki, nie wiedząc jak wkładać naszyjniki brylantowe, ozdabiały nimi kunsztowne budowy swych włosów.

Nie jesteśmy zadowoleni z obudzenia i spazenia jej kokieteryi; zepsuliśmy jej uprzejmość wrodzoną. Podczas, gdy duchowni—którzy bezwątpienia nigdy nie zwiedzili niektórych części Londynu, Berlina i New-Yorku—grzmieli trąbami Jozuego na Yoshiwarę, rzucili się tam kupcy i turyści zachodni, wprowadzając zepsucie, które zgorszyło Japończyków i odjęło szacunek Japonkom. W Yokohama, Kōbe, Nagasaki, nawet w Tōkyō, wszędzie, gdzie się tylko wkręcił cudzoziemiec, zalotnica utraciła

swą dystynkcyę odwieczną, a prawdziwe gejsze stanę się wkrótce tak rzadkie, jak w Paryżu legendowe gryzетки. Europejczycy mają wysoki brutalne, które dźwięczą jak dysonanse w słodkiej atmosferze Japonii; do stosunków małżeńskich jednak wprowadzili więcej czułości przyjacielskiej i zaufania niż synowie samurajów. Zauważono, że Japonki, które były zaślubione Europejczykom, albo dłużej się z nimi znały, nie chciały już wracać do dawnej owczarni. Są one stracone na zawsze dla rodu.

Z drugiej strony, rodziny osiedlone w Japonii, dyplomaci, profesorowie, pastorowie, kupcy, dowodzą im nieustannie, że miejsce kobiety w małżeństwie nie jest o pięć lub sześć kroków po za mężem, i że mędrzy chińscy wyrzekli niedorzeczność, uważając małżonków za istoty sobie obce. Damy japońskie, które stanowisko społeczne zmusza do składania wizyt Europejkom, nabrały upodobania w wypełnianiu tych obowiązków towarzyskich. Zbierają się teraz u siebie, urządzają *five o'clock'i* i posiedzenia dobroczynności, rozprawiają o strojach i mężach. Urządzenie szkół, poczt, telefonów i innych instytucji naśladowujących europejskie, stworzyło kobiecie prawo do życia swobodnego i niezależnego. Japonki wyzwolone poznać można z łatwością nawet wtedy, gdy metodyzm nie oszpeca ich parą okularów; mają one chod śmielszy, i jako symbol swej emancypacji, noszą warkocze niedbale upięte na wierzchu głowy, zamiast uczesania tradycyjnego, którego budowa skomplikowana obejść się nie mogła bez pomocy obcej. Ulicznicy nie omylą się nigdy i przechodząc mimo, rzucają im zaczepki pełne pogardy.

Ten mały światek ma jeszcze granice dosyć ciasne, ale ponieważ składa się przeważnie z nauczycielek, może się rozszerzać i rozgałęziać w nieskończoność. Japończycy nie mieli nigdy wstępu do uczenia kobiet i niewątpliwie Japonki są najwięcej wykształcone z pomiędzy Azjatek.



Dawniejsze wychowanie dziewcząt niczem się nie różniło od wychowania chłopców: rozwijano prawie wyłącznie zręczność i pamięć; nauczyciele przychodzili zwykle do domów i uczyli sztuki władania pendzlem i alfabetu ojczystego, studyowanie bowiem pisania chińskiego pozostawione było wyłącznie mężczyznom. Dzisiaj, na wszystkich ulicach spotkać można dziewczynki małe i podlotki, śpieszące na lekcję z paczką książek delikatnie owiniętych w tkaninę, której deseń wyobraża lot ptaka, gałązkę wiśni, mysz gryzącą szkielet kota i t. p. Zwiedziłem szkołę dla dziewcząt szlachetnie urodzonych, Saint-Cyr cesarzowej, szkołę Normalną wyższą i szkoły początkowe. Jakże piękne są gmachy szkolne i jak dziwne same szkoły! Wyobraźmy sobie korytarze napełnione miluchnymi istotami i duże pokoje, pełne ciszy, w których nauczyciele i nauczycielki szeptem wykładają lekcje; klasy, w których uczennice piszą na stołach europejskich i refektarze, w których jedzą na tatami; sale, gdzie naładowują butelki lejdejskie i pokoje, gdzie analizują ceremonię podawania herbaty; odczyty o chemii i lekcje układania bukietów; ręce, które rozpoczynają po raz dwudziesty pismo chińskie i usta, bąkające stronice francuskie; figury geometryczne i kopje kakémono; biust gipsowy Alkibiadesa i głowa Konfucjusza; piskliwą muzykę na *koto* i *lancier*, wykonany na fortepianie Eurarda; tańce, w których wszystkie wachlarze składają się jednym ruchem z szumem wiatru, poruszającego liście zeschnięte i manewry wojskowe, marsze flankowe, zwroty szeregów, rozwijanie się w tyraljerkę, podczas której, małe stopy w pończochach z osobnem wgłębieniem na wielki palec z trudem trafiają do staro obuwia.

Programy są równie często zmieniane, jak nasze i równie przeładowane balastem niepotrzebnym, rozsadzającym mózgi. Nielogiczność i niezgodność

z położeniem obecnem Japonii, przewyższa nawet ich zarozumiałość. „Uczcie się powolności w ruchach, szepce młodym Japonkom etykieta macierzyńska.“ — „Raz, dwa! Hantle do ręki. naprzód krokiem przyspieszonym! woła gimnastyka europejska“ — „Japonia jest najpiękniejszym krajem na świecie, uczy historia, a jeżeli nie wydała wielkich myślicieli, to tylko dlatego, że wielcy myśliciele są zawsze reformatorami, a Japonia nigdy nie potrzebowała żadnej reformy.“<sup>1)</sup>

— „Wprowadzajmy reformy! Wprowadzajmy reformy! — powtarza dokoła echo. — Japonia powinna się wznieść na poziom Europy i Ameryki.“ — „Czczycie mędrców chińskich!“ — „Czytajcie Szekspira i Woltera!“ — „Pochodzimy od bogów!“ — „Człowiek pochodzi od małpy!“ — „Jesteśmy praktyczni i chcemy mieć dobre gospodynie. Kończąc szkoły, będziecie umiały przyrządzać potrawy kosztowne i wykwintne; — tylko większość z pomiędzy was nie będzie nigdy miała sposobności spożywania tych dań w swej własnej rodzinie. — Rozpoczynamy z wami studia uniwersyteckie, wymagające, żebyście im poświęciły co najmniej waszą młodość; — ale rodzice wasi wydadzą was zamaż w piętnastym lub szesnastym roku życia!”

Kto wie, czy nie należy przyklasnąć podobnej niekonsekwencji? kobieta, jeżeli nie zgłupieje ostatecznie, wzmocni niezwykle swój dar inicjatywy. Przejście przez szkołę, da jej lepiej odczuć anachronizm życia rodzinnego; cierpi z tego powodu jeszcze więcej może, ale lokalizuje swe cierpienie, a dyagnoza choroby ułatwia leczenie. Najlepiej to rozumieją uczennice szkoły Normalnej, rozpoczynające nowicyat w szkole macierzyńskiej.

Z przekonania, czy też dla rzemiosła, dla do-

---

<sup>1)</sup> To dziwne dowodzenie wzięte jest z wypracowania dorosłej uczennicy szkoły Normalnej.

bra publicznego, czy też dla potrzeb „manuskryptu“ dziennikarze są strasznymi reformatorami. Niech sobie stary radca dworu, spóźniony wyznawca Konfucjonizmu, lamentuje w kilku szpaltach nad tem, że kobiety z klasy Samurajów, uchylają się od surowego posłuszeństwa, a Restauracya pochłonęła ich cnoty w szarej miernocie sfer niższych podobnie „jak kropla wody czystej, ginie w kadzi wody brudnej;“ cała wymowa starego radcy nie będzie mogła przeżyć tego prostego faktu:

*Wczoraj podczas uroczystego obchodu święta bogini Kwannon, trzy młode dziewczęta opuściły swe domy rodzinne i utopiły się w stawie. Na brzegu znaleziono ich gety i list, w którym oznajmiały o swem postanowieniu, wywołanem chęcią uniknięcia cierpień w narzucanych im małżeństwach.*

Wiadomość o tym fakcie tak dziwnym przeniknęła wszędzie, ostrzegając i podbudzając młode dziewczęta, wywołując w kobietach wspomnienia gorzkie, a w mężczyznach głębszą rozważą.

Na czele ludzi, rozważających tę kwestyę i biorących stronę kobiety stanął Fokusawa, autor, dziennikarz, prezes największej instytucji wolnej; rozwinął on gorączkową działalność kaznodziei i zapalał dawnych ligistów.

Osobistość tem więcej wpływowa, że nigdy nie przyjmował żadnego stanowiska ani mandatu urzędowego; a jednak liczy w parlamencie od dwudziestu do trzydziestu dawnych aczniów. Przejęty duchem anglo-saskim, posiada całą jego surowość, ciasnotę prezbiteryańską i upór. Podobnie jak niegdyś wstrząsał przywilejami samurajów, dzisiaj wykazuje rany społeczne nie zdając sobie sprawy, że teorye, które spopularyzował zawczasie, mogły się przyczynić do ich powiększenia i zajątrzenia.

Jeżeli niezliczone dzienniki, których śmiałość wzrasta z dniem każdym, obudzają w kobiecie myśl o niezależności, to literatura nowoczesna ją podtrzy-

muje i doprowadza do zrozumienia praw miłości. Mnożą się romanse, czytane przeważnie przez kobiety; teatry, do których dawniej uczęszczał tylko lud, otworzyły się dla ludzi klas wyższych.

Obfita, ale jeszcze uboga literatura ta jest tylko mniej albo więcej udolnem przystosowaniem uczuć europejskich do środowiska japońskiego. Pozostawiam na stronie próby stworzenia poematu epicznego, jak na przykład *Gwiazda biała*, w którym uczniowie próbowali tematowi chińskiemu nadać formę poematu angielskiego lub niemieckiego. Nieco lepiej udała się przeróbka „Nędzników” i romanśów rosyjskich; zaznaczyć trzeba szczęśliwy bardzo przekład Grazielli, który zawdzięczamy jakiejś młodej dziewczynie. Dzieła ich są więcej zajmujące dla publiczności japońskiej i więcej pouczające dla nas, gdy zapożyczają i rabują nasze tematy, nie mówiąc o tem ani słowa.

Od wieków dramaturgowie i romansopisarze rozwadniali te same uczucia w tych samych przygodach. Daliśmy im nowe tematy. Być może, iż słabość ich wykonania pochodzi nietylko z braku doświadczenia, ale i z braku szczerości; autor kończy zawsze na tem, że zamiast przekonać o czemś innych, przekona siebie, a powodzenie dzieła jest dlań dowodem wystarczającym.

Niedawno teatr założony przez grupę aktorów młodych, wystawił sztukę przerobioną z romanśu realistycznego Koyô, który wydzierają sobie wszystkie kobiety i który się nazywa: *Pieniądze i szatan*, albo *Miłość i pieniądze*. Tam słyszałem krzyk prawdziwej namiętności:

*O Miya, Miya san mówił młody ubogi człowiek do swej narzeczonej. którą chciał mu odbić bankier bogaty, czy pomyślisz kiedy o biednem sercu, które odrzuciłaś dla pieniędzy? Wszystkie bogactwa świata nie okupią chwilki miłości szczerzej i goręcej! Czyż ptak który*



potrzebuje do życia dziesięciu ziarenek ryżu może zjeść cały worek zboża? Ze mną nie masz potrzeby się troszczyć o te dziesięć ziarenek niezbędnych. Patrz, oto gniew mój przechodzi w żal. Jeżeli mnie porzucisz, stanę się twoim złym duchem, który stać będzie przed tobą po za grobem i szarpać twe serce ..

Zręczniejsi od dramaturgów romansopisarze, szczególnie noweliści, opisują przeważnie wady ustrój rodziny i klęski płynące z rozwodów. Krytycy japońscy żądają od nich zrobienia *Chaty Ojca Toma*. Pomimo całej rozwlekłości, prawda drobiazgowa ich opowiadań dosięga często patosu.

Ostatecznie z tego półhuroku sztuki, gdzie prześlakają blaski obce, wyłaniają się powoli dwa typy nowe.

Jeden z nich to typ młodej dziewczyny, która pragnie sama sobie wybrać męża; wydaje się nam ona niezręczną, czasem nawet nieprzyjemną i zbyt śmiałą. Niezależność, nieznająca dobrze granic, w pierwszych swych krokach zakrawa często na cynizm; dowodem tego jest opowiadana zupełnie poważnie historia młodej i ładnej kobiety, która się rozwodzi siedm razy, aż wreszcie napotyka człowieka, godnego miłości i zaufania.

Drugi typ, to kochanek nowoczesny; nosi on wąsy i ubiera się po europejsku, umie jednak pogodzić kult zwyczajów nowych z poszanowaniem tego, co powinno być zachowane ze starych obyczajów japońskich. Uniwersytet nadał mu dyplom i otoczył go urokiem, jaki posiadali nasi młodzi inżynierowie, pierwsi, którzy ukończyli szkołę politechniczną. Jest urzędnikiem, najsumienniejszym z urzędników i wybiera sobie zwykle karierę polityczną. Jeżeli się ukazuje w feljetonie dziennika opozycyjnego, wiemy że nie przyjmie teki ministra, nim parlament nie otrzyma władzy rozwiązywania ministerów. Zasady jego zmieniają się stosownie do dziennika, ale ma je zawsze. Jest uroczystry

trzyma się zdaleka od kobiet, które szepcą do siebie, gdy przechodzi мимо:

— Jakiż to człowiek dystyngowany! Z pewnością przyszedł poseł, a może nawet senator!

Nie stara się o ich względy, ale właśnie dla tego tem większe wywiera wrażenie. Żeni się i w postępowaniu z żoną daje dowód, że czytał dzieła pisarzy zachodnich, traktuje ją bowiem po europejsku. Na wstępie ofiarowuje jej podróż poślubną: pomaga wejść do wagonu i nie zapomina podać ręki przy wysiadaniu. Wtajemnicza ją w swe plany, a wieczorem pracuje w jej towarzystwie...

Zlebyśmy jednak znali kobietę, gdybyśmy wyobrażali sobie, że ten pierwszy kochanek, którego śmieszności nieszkodliwe i zresztą najczęściej przez Japończyków niedostrzegane wynagradza hojnie szlachetność zamiarów; winien się tylko ukazać, aby pociągnąć ku sobie wszystkie serca. Wyprzedza on jeszcze nieco swój wiek.

Japonka, przyzwyczajona uważać szorstkość za ciętą męża za oznakę mękości, nie ulega bez wahania nowemu rodzajowi miłości, tak sprzecznemu z panującymi konwencjami. Nie powiem, żeły tęskniła do bicia, gdyż Japończycy zwykle nie biją swych żon; sprawia jej jednak przyjemność uczuwać przewagę swego pana, chociażby wyrażoną w sposób brutalny.

## KSIĘGA VII.

### *Spółeczeństwo nowe.*

---

#### ROZDZIAŁ I.

---

#### Dwór i arystokracja.

Przybyłem do Japonii podczas przesilenia ministeryalnego i w wigilię okresu wyborów; zaraz więc po uporządkowaniu pierwszych wrażeń starałem się zbliżyć i zapoznać lepiej z nowonarodzonym potworem: parlamentaryzmem japońskim. Nie wystarczał mi jednak sam obraz fantastyczny; chciałem wyjaśnić jego powstanie, zwróciłem się więc do przeszłości, która z dniem każdym coraz większej ulega zmianie pod wpływem warunków dzisiejszych. Dawne prawa, dawne zwyczaje, dawne zaszczytne tradycje, rząd feudalny a zarazem scentralizowany: wszystko to wywarło na mnie wrażenie, że jeżeli istotnie rewolucja polityczna w Japonii była mniej niezwykłą, niż się nam zdawało początkowo, to w każdym razie skutki jej religijne, umysłowe i moralne przewyższyły znacznie zakres naszych przypuszczeń. Studyowałem więc dawne pojęcia japońskie

o bóstwie, sztuce, rodzinie i miłości, chcąc je lepiej porównać z ideami zachodnimi, rozlewającymi się falą szeroką. Pragnąłbym wykazać, dlaczego w łonie tych konfliktów społeczeństwo zorganizowało się prowizorycznie, a przede wszystkim jak żyją jego członkowie — zaczynając od cesarza, kończąc na biedocie — miotani tyłu przekonaniem sprzecznymi.

Widok społeczeństwa japońskiego przedstawia nam kontrast szlachty, którą miłość własna zmusza do przyjmowania teorii odrzucanych przez instynkt zachowawczy, burżuazyi, odnoszącej się do tych teorii z nieufnością rutyniczną, ale przystosowującej się do nich dla względów materialnych, i klasy niższej, której przyzwyczajenie do posłuszeństwa ustępuje powoli przed nieznaną miary niesfornością.

W Japonii dzisiejszej wszystko jest zdarzeniem i antytezą.

Warstwy niższe, które zachowały wygląd więcej japoński, dążą do cudzoziemczyzny śmielej, z większą otwartością i naiwnością. Najniższy urzędnik z ministerjum na drodze reform wyprzedził swego ministra; robotnicy w strojach narodowych, wyśmiewający cesarza i jego wannę srebrną, podobniejsi są do proletaryatu europejskiego, niż samurajowie w czarnych surdutach do szlachty angielskiej i francuskiej.

Nowości doszły wprawdzie aż do wiosek skromnych; ale właściwie w Tokyo, stolicy nowoczesnej, miście ambicyi i chciwości, gromadzą się i ścierają z sobą wszystkie dziwaczne żywioły Japonii przyszłej. Tam się szkicuje groźna przyszłość.

U szczytu społeczeństwa nowego, ukazującego się nam w niewyraźnych barwach półmroku, stoi cesarz i jego dwór, tworząc plamę ciemniejszą.

Życie ich osłania jakaś tajemniczość niedostępna.



Co robi w murach swego pałacu ten władca azyatycki, ukazujący się od czasu do czasu w mundurze jenerała na paradzie wojskowej? Jakich ma doradców? Jaką rolę odgrywa przy załatwianiu spraw państwowych? Przyjmuje ciało dyplomatyczne według wszystkich przepisów formularza. Wprowadził nowość niezwykłą, obchodząc uroczyste srebrne wesele z cesarżową; podczas ceremonij pałacowych, przedstawień Nô i tańców staroświeckich siedzi nieruchomo obok swej boskiej małżonki, z rękami założonemi jedna na drugą, nie mówiąc ani słowa.

Któryś z książąt panujących europejskich, po dosyć długiej wizycie, doznał wrażenia, że władca japoński „podobny do europejskich, tylko trochę znużony.”

Czy mamy wierzyć tym, którzy go przedstawiają jako pracownika upartego, pracującego przy biurku od ósmej rano do trzeciej po południu, czy też innym, twierdzącym, że jest to człowiek dosyć ograniczony, bardzo łagodny, zamilowany wyłącznie w sporcie i psach? Czy się otacza uczonymi, czy szermierzami? Czy woli bordeaux, czy saké?

— Gdybyście się poznali z szambelanami cesarza — zwierzał się nam pewien dworzanin japoński—zdumielibyście się, że okazywał się on zawsze tak poprawnym i liberalnym, otaczają go bowiem ludzie straszliwie zacofani.

Marszałek zaś Yamagata, zwycięzca Chin, podobno jeden z tych, którzy się cieszą łaskawemi względami cesarza, twierdził nieraz:

— Jego Cesarska Mość troszczy się o najdrobniejsze sprawy państwa, ale nie lubi wcale systemu parlamentarnego.

Dzienniki, zupełnie słusznie, wychwalają jego takt, skromność, oględność i patriotyzm. Nie sądzę, ażeby człowiek mierny mógł się tak roztropnie

trzymać na uboczu, albo też umiał odgrywać rolę tak niezwykłą z taką godnością.

Obok niego cesarzowa, mniej enigmatyczna, ale równie skryta, obudza w narodzie poszanowanie pełne czułości. Nikt nie kwestyonuje jej cnót, ani inteligencji. Wszyscy Japończycy zgadzają się na to, że rozum jej równa się dobroci. Wychodząc zamaż miała lat szesnaście, a małżonek jej tylko trzynaście—rodzina bowiem Ichijô, z kąd zwykle pochodzą cesarzowe, chciała sobie w ten sposób zapewnić wpływ na cesarza — utrzymała podobno dotąd resztki tego znaczenia, które przewaga wieku i urok niezwykły nadały jej w pierwszych latach pożycia. Interwencya jej nie przekracza nigdy ciasnego kółka, w którem się zamyka zwykle kobieta japońska. Zawsze uważna i lepiej wspierana przez swe damy dworu, niż cesarz przez swych dworzan, przewyciężyła nieśmiałość uważanej za świętość królowej małego państwa, ażeby się ukazać oczom Europy jako wolna władczyni Dalekiego Wschodu. Zmieniła kostyum i ruchy w latach, kiedy już ciało z trudem się poddaje wszelkiemu przymusowi; w sercu swem odnalazła zapasy uczuć subtelnych, których formularz nie mógł jej podyktować. Zresztą cywilizacya nowoczesna, której cechy zewnętrzne przyjęła z łatwością, nie upoiła jej bynajmniej. Ta wątpliwa Japonka robi wrażenie, że jakąś miłością religijną ukochała zwyczaje swej ojczyzny. Za każdym razem, kiedy się podnosi okrywająca ją zasłona, znajdujemy ją u rodzinnego ogniska, zajętą robotami domowemi, które stanowiły dumę i ozdobę kobiet jej państwa.

Następca tronu, który jest synem przybranym cesarzowej, a którego matka zamieszkuje pałac oddzielny, mniej się obawia światła i nawet zrobił już kilka kroków po za obrębem świętego półmroku. Kiedy przy dojściu do pełnoletności odbierał hołdy od reprezentantów zagranicznych, minister francu-

ski, pan Harmand, zdumiony był jego powitaniem wypowiedzianem zupełnie poprawną francuzczyzną całą rozmowę prowadził bez pomocy tłumacza.

Sztab oficerów i gubernatorowie pracują pilnie i oględnie, ażeby zrobić z niego monarchę, jeżeli nie więcej konstytucyjnego, to przynajmniej więcej wykształconego, niż cesarz panujący obecnie.

Przyzwyczajony do ciągłej baczości, książę posiada jakiś wdzięk młodzieńczy, przemawiający do wyobraźni tłumu.

Po za nim mrok się zwiększa: książęta krwi cesarskiej z domu Arisugawa i Kannin'owie, ewentualni następcy tronu, pomimo swego pobytu w Europie, przejścia przez szkołę w Saint Cyr, stopni wojskowych i odwagi rycerskiej, odosobnieni w swych pałacach, prawie nieznanymi, nie wpływają zupełnie na ożywienie lojalizmu japońskiego; wstąpiliby na tron otoczeni zimnym szacunkiem i jakąś nieufnością nieokreśloną.

Dokoła nich, dawni daimi'owie, przeredzeni, obojętni, albo wyłamujący się z pod rządów rewolucyi, spędzają ostatnie chwile swego istnienia w ciszy odosobnionej, a starzy służący zachowują gorliwie ceremoniał dawniejszy. W zapomnieniu i niemocy zagrzebują się pod gruzami przeszłości i dziwacznych wytworów cywilizacyi nowoczesnej. Gdy jeden z nich umiera, zabierają go z grobu doczesnego, aby pochować na cmentarzu Uyeno. Pogrzeb jest dlań zmartwychwstaniem, a gawiedź zatrzymuje się na chwilę wzdłuż bulwarów, gdzie jego trumna drewniana, wysokości lektyki, rzuca odblask słońca na czoła tłumu.

Przed umarłym, ułożonym w postawie siedzącej, z głową opartą na kolanach, posuwa się oddział żołnierzy i orszak ludzi ubranych biało, niosących w ręku lotosy złote. Orszak poprzedza konwój kwiatów i dań pogrzebowych; za nim idzie procesya fraków i surdutów z białymi papierowymi ko-

kardami w butonierkach; przechodzą park wiśniowy, gdzie z pomiędzy drzew błyszczą świątynie buddyjskie; u wejścia do nekropolu, pod trybuną jodłową, za stołem najeżonym lampionami i kadzielnicami, składają zwłoki; kapłani w mitrach z dwoma skrzydłami, spadającymi na ramiona, zwalniają i przyspieszają swe monotonne śpiewy; dziesięciu bonzów przykucniętych na ziemi, z głową ogoloną, wygrywa na piszczalkach, fletach, gongach i bębenkach melodyę piskliwą, przerywaną wyciem wichru; trzej przedstawiciele wygalonowani: cesarza, cesarzowej i następcy tronu posuwają się wolno drogą, pokrytą zwykłemi matami i po kolei palą kadzidła, oddając honory nieboszczykowi, odgrzebanemu ze świata na zawsze znikłego.

Pewnego dnia, będąc obecnym na pogrzebie książęcym, zapytałem jednego z Japończyków, należących do orszaku, o bliższe szczegóły, dotyczące przeszłości zmarłego.

— Zdaje mi się — odparł mi z całą powagą — że w młodości swej grał on znakomicie w kule.

Najinteligentniejsi z potomków tych daimiów ogłupiałych i zaplesniałych pogodzili się z rządem nowoczesnym. Zrozumieli, że dla szlachty zdetronizowanej jedynym sposobem uniknięcia upadku ostatecznego jest wywalczenie zapomocą zasługi osobistej tych stanowisk, które zajmowali niegdyś dzięki swemu urodzeniu. Komendę wojskową książęta dzielił z dawnymi przywódcami samurajów; wojsko więc pozwoliło tym potomkom daimiów wymienić przywileje feudalne na godności więcej osobiste i unikając zamieszek politycznych stworzyć sobie nowe tytuły do utrzymania powagi w kraju. Zaznajamiali się oni z Europejczykami w samej Europie; studyowali nas pilnie; zgromadzili i zważyli swe doświadczenie, a po powrocie do Japonii okazali się więcej Japończykami, niż uprzednio.



Gospodarz nasz nie odtwarza przeszłości: on ją przedłuża.

Nowa cywilizacja jej upiększenia i strona zewnętrzna rzucają na osobę patrycyusza japońskiego jakiś cień tęsknoty. Nawet wtedy, gdy ruchy jego nie zdradzają żadnego zakłopotania, a wesołość jest zupełnie naturalną, nie przestają przypominać przechodniów albo wygnańców.

Zbytek europejski, roztaczający się dokoła jest tylko smutnem przypomnieniem abdykacji. Tytuły honorowe, któremi ich na nowo przyozdobiono, nie mogą zakryć przed oczami rozpaczliwej pustki przyszłości.

Ambicya wprawdzie popycha ich do przedłużenia swej egzystencji; pomimo upadku kasty, do której należą z urodzenia, widzą jednak jasno, że zadanie ich z dniem każdym staje się coraz niewdzięczniejszym.

Daremnie stają w pierwszym szeregu reformatorów; reformy, które zalecają, kierowani miłością kraju, albo chęcią pozyskania względów podwładnych, obudzają przeciwko nim ducha nieufności i niechęci.

Lud znosi ich, gdy stoją na uboczu: z chwilą, gdy zaczynają działać, wpadają w podejrzenie. Pamiętać należy, iż zawsze działali w duchu rewolucyjnym i że między twórcami swobody Japonia liczyła arystokratów, jak na przykład Iwakura. Mniejsza o to! Znaczenie, które posiadali w przeszłości, wystarcza dzisiaj do obudzenia niechęci i podejrzeń.

Skłaniam się do przypuszczenia, że idee demokratyczne odpowiednie są tylko dla dusz wybranych, przenikając bowiem do tłumu te piękne teorie obniżają się, wcielając się częstokół w instynkty najniższe. Pod wpływem zasady równości, wesołość rubaszna gminu japońskiego stała się grubiańską. Potomkowie rodzin książęcych, których

wychowanie europejskie i żądza popularności, popychały ku warstwom ludowym, ostygli w swym zapale nierozważnym, zmrożeni taktownemi wysokami młodych demagogów.

Chcecie przykładu? Przed laty dziesięciu jakiś młody markiz japoński po dosyć długim pobycie w Europie, postanowił w obronie nieśmiertelnych zasad Zachodu założyć dziennik, zwany „*Wolnością Wschodnią*”. Znajomość naszej historii oddziaływała nań w ten sam sposób, jak w XVII wieku na nas czytanie Plutarcha. Poszukiwał redaktora naczelnego i poradzono mu zwrócić się do Nakayé. Nakayé był to człowiek postępowy, utalentowany, jak mówiono powszechnie, znany szeroko ze swej śmiałości i ironii.

Tłómacz Rousseau'a, urzędnik dosyć dobrze płatny, pozujący na cynika i filozofa, zaniedbany w stroju, odwiedzał najchętniej drugorzędne tawermy kurumayów, gdzie hojność zdobyła mu wielkie uznanie. Na zaproszenie markiza odpowiedział, że nie chce się fatygować; odmowę jego cechowało zuchwalstwo, jakie przejęty swą godnością sankiulota przeciwstawia grzeczności sfer wyższych.

Markiz zaślepiony swą chimera, naiwny i nieodświadczony, jak wszyscy Japończycy z arystokracji, wywnioskował z tej odpowiedzi, że Nakayé jest wielkim uczonym; rozkazał zaprzędz do karety i wybrał się na poszukiwanie nowego Dyogenesa.

Nie odrazu go znalazł; noc ciemna zaskoczyła całą wyprawę w błotnistej dzielnicy Shiba. Wreszcie, na znak policyanta, założyciel „*Wolności Wschodniej*” wysiadł z karety i skierował się ku maleńkiej chatce, przytulonej do najciemniejszego zakątka ulicy ślepej. Niewątpliwie Nakayé nań oczekiwał; oparty o małą beczułkę saké, otoczony beczkami pustemi, nie raczył nawet odpowiedzieć na ukłon gościa, rozkoszując się myślą, że w jego oso-

bie upokorzył całą dawną szlachtę Yamato. Jednak, gdy minister wyłożył mu swe plany:

— Przystaję—odparł—ale jestem bez grosza. Zapłać mi pan z góry.

Zapłacono mu natychmiast i dziennik wypuszczono w świat, ale Nakayé nie pokazywał się wcale w redakcyi. Wyemigrował do Yoshiwary i tam gońcy zdyszani gromadzili komentarze do *Praw człowieka*, w miarę tego, jak wychodziły one z ust naczelnego redaktora.

Pewnego pięknego dnia zawiesił swe współpracownictwo i oświadczył, że wycofuje się zupełnie, jeżeli właściciel pisma nie zgodzi się na przestawanie z ludem.

— Dotąd — mówił — chodziłeś, markizie po obłokach, nie mając pojęcia o tem, co się dzieje na ziemi. Dziennik twój żąda swobody dla wszystkich, a jednak nigdy cię nie spotkałem w żadnym klubie demokratycznym? Wprowadzę tam ciebie.

Oznaczono dzień i godzinę. Wieczorem Nakayé zaprowadził markiza do *izakaya*, znajdującej się w drugim końcu miasta. Była to mała rudera, miejsce schadzek wyrobników.

Tu się zatrzymuje kurumaya, kładzie na ziemię hołoble powoziku, obwija się kocem czerwonym i dąży wprost do beczki, aby wychylić dwie lub trzy czarki sake.

Widok zupełnie nowy, śmiechy, żarty uszczypliwe, przykra woń alkoholu onieśmiały łatwowiernego i awanturniczego szlachcica; pod obojętną maską obywatela cyganery Nakayé doznawał żywej radości:

— Oto jest lud—mówił—ten lud, który pan tak ukochałeś. Czyż go pan niczem nie poczęstujesz?

Podczas gdy codzienni goście tawerny hulali na rachunek tajemniczych przyjaciół, Nakayé odda-

lił się niby na chwilę pod pozorem jakiegoś małego sprawunku i nie wrócił więcej.

Po wypiciu beczki saké gospodarz *isakaya*, nie mając już nic do sprzedania, chciał zamknąć sklep i poprosił nieznanego o załatwienie rachunku.

Podobnie jak większość ludzi z jego sfery, markiz nie ruszał się nigdy z domu bez licznego orszaku służby; nie miał więc w swych rękawach ani jednego *sen'a*. Zapewnia więc, że towarzyszy jego wróci za chwilę; czekają nań czas jakiś. Noc zapada, gospodarz się gniewa; kurumayowie pewni, że nikt im nie odbierze tego, co wchłonęli w siebie, zwracają się przeciw swemu amfitryonowi; do ich grona przyłączają się nowi goście, żądający saké, których spotyka odmowa; uważają się więc za pokrzywdzonych. Kończy się na tem, że ku wielkiemu zdumieniu tych twarzy groźących i szyderskich, wyśmiewany markiz musi powiedzieć swe nazwisko i przyznać się do tytułów.

Farsa licha, a jednak znakomita! Jej smętny autor zdobył popularność.

Opowiadanie to słyszałem nieraz i nigdy się nie omyliłem co do intonacyi mówiącego; radość wyzwoleńców, obrzucających błotem dawnego pana, malowała się na tych twarzach pomarszczonych. Nie wątpię, że gdy Japończyków ogarnie „posągomania”, odleją w bronzie postać pierwszego posła socjalistycznego: Nakayé.

Arystokracja Japonii redukuje się dzisiaj do kilku jednostek; wygalonowane widma dawnej wielkości, pałac kadzidla u stóp swego pana, zdają się jeszcze oddychać lekkim dymem sławy, albo w milczeniu starają się zachować jakąś cząstkę dawniejszej ojcowizny. Zasłabi są jednak, aby mogli wpływać na losy kraju. Nie mówiąc już o sprawach nieczystych, w których się skompromitowało kilka nazwisk wybitnych, trzydziestoletnie oddziaływanie Zachodu wystarczyło do obalenia powagi tej arystokracji rodowej.



## ROZDZIAŁ II.

## Parweniusze i młodzież.

Oryginalne środowisko przedstawia salon ministra japońskiego podczas przyjęć urządzanych na cześć gości europejskich i różnorodnej zbieraniny z towarzystwa miejscowego. Nazajutrz po naszej Wielkiej Rewolucyi nie mogliśmy zapewnić widzom kontrastów więcej rażących.

Markiz Itō, prezes Rady, ożenił swego syna z córką jakiegoś kupca i zamykając seryę uroczystości, wydawał bal w swej rezydencji urzędowej Nagata-chō.

Z wyjątkiem księżnej Arisugawa, markizy Itō i żon kilku wybitniejszych dygnitarzy, damy japońskie nieporzuciły kostyumowi narodowego. Młoda małżonka, stojąc przed szeregiem swych ciemno ubranych szwagierek, z cudnym uśmiechem na ustach różowych, wyglądała jak mała wróżka, wychylająca się z kory bambusów. Minęły już dawno te czasy, kiedy babki dzisiejszych Japonek odslaniały swe chude ramiona i zadawały sobie dobrowolne tortury, ściskając się tak mocno, że fiszbiny gorsetu wpijały się w ciało; a mężowie stanu, robiąc z siebie błaznów cywilizacji wybijali takt podczas tańca dam dworu. Dzisiaj te osóбки melancholijne, niedopasowane do całego otoczenia, kręcą się między czarnymi frakami, dekorując ściany, poza którymi ukryłyby się chętnie, gdyby barwne ich obi nie przykuwały do siebie oczu zgromadzonych.

Rasa biała pozostaje panią woskowanej posadzki. Towarzystwo miejscowe, przypomina publiczność zgromadzoną przypadkowo przed estradą jarmarczną—kobiety w haori, a ich mężowie we frakach, stoją od siebie w tych sztucznych salonach jeszcze dalej, niż w życiu rzeczywistym. Robią wrażenie ludzi zupełnie obcych, ludzi, którzy się nawet nie znają.

Możnaby rzec, że przyszli tutaj przez grzeczność albo przez próżność, popatrzeć jak tańczą i uczują Europejczycy; dla widoku tego opłaci się narazić na sąsiedztwo niemiłe. Pod zwodniczą pokrywką równości, którą im narzuca nasza obecność, przebija się jeszcze pogarda i niechęci kastowe.

W chwilach tragicznych dla Restauracyi, gdy rząd w przeciągu dwudziestu czterech godzin zorganizować musiał obronę, mianowano nieznaczących samurajów oficerami marynarki, dlatego tylko, że umieli pływać; inny został pułkownikiem, dlatego, że dobrze jeździł konno. Niektórych wprowadzie jakiś przypadek niepomyślny stracił prędko do nicości, lub wysadził z siodła; lecz w kraju tym, gdzie rewolucya wyprzedziła rewolucjonistów, stanowiska rozdają się na los szczęścia.

Wszyscy dyplomaci, przebywający w Japonii, zdumiewają się nagłym upadkiem ludzi zajmujących stanowiska a wybitne, których prosty kaprys polityki brutalnie wycofuje z obiegu.

Markiz Itō jest jednym z tych, którzy od lat trzydziestu urządzają i kompletują scenę polityczną. Przepada za hulankami w ciasnym, dobranym kółku, a przyjaciele jego nigdy się nudzą słuchaniem odysei tego małego człowieka, urodzonego na nizinach społecznych, który jednym skokiem dosięgnął szczytu władzy.

Prezydent rady przybocznej, prezes senatu, pełnomocnik, pierwszy minister, przywódca partii, przeskakiwał ze szczebla na szczebel, tworząc wszędzie urzędy i dając przykład innym. Przez ćwierć wieku był duszą Japonii.

Z długą bródką, wąsami opuszczonemi, okiem żywym pod powieką nabrzmiałą, chytrym uśmiechem na ustach, posuwał się szybko naprzód, pomimo niepopularności, jak gdyby miał do swego rozporządzenia buty siedmiomilowe. Zręczniejszy w korzystaniu z okoliczności, niż w ich przewidywaniu

lub stwarzaniu, po rozbrojeniu swych wrogów dążył raczej do wyzyskania zwycięstwa, niż do zaspokojenia uraz. Hojny aż do rozrzutności, bez głębokich zasad, ale i bez ciasnych przesądów, z jednakową szybkością i zręcznością załatwiał sprawy sercowe, jak sprawy państwa.

Innym zupełnie jest hrabia Okuma, *leader* postępowców, także parweniusz. Przyznać można bez wahania, że dawny samurai, który nigdy nogą nie ruszył po za granice Japonii, który za lat młodych umiał kilka słów po holendersku, ale je prędko zapomniał, jest najwybitniejszym typem nowożytnego polityka, japońskiego. On to leżąc w przedsiönku ministryum, z nogą zdruzgotaną przez bombę wybuchową, zboczony w krwi, odpowiedział bez cienia ironii na kondolencyę i pożegnanie dyplomaty europejskiego: „Przepraszam pana najmocniej, że go nie odprowadzam.” Obok tych cnót spartańskich, jak wielkie poczucie konieczności reform nowych! On pierwszy może rozpoznał jasno, że w zmaconych wodach parlamentaryzmu odradza się dawny feudalizm, zwracając się na korzyść ambitnych. Jeden z pierwszych zrozumiał, że upadek Shōguna pogrzebał czasy bohaterkie, oddając władzę w ręce tych, którzy posiadali złoto. Pewien Japończyk mówił mi: „Pytasz mnie panie, jakie jest moje zdanie o hrabi Okuma?”

Otóż myślę, że jest on bardzo wpływowym w *Rice exchange*.” Istotnie ten wyznawca Konfucyusza, pochodzący ze sfery nieumiejącej rachować i nie znającej wartości pieniędzy, wniósł do finansów śmiałość i panowanie nad sobą człowieka genialnego. Bogactwo, które gromadzi, jest dla niego tylko dźwignią, za pomocą której pragnie poruszać opinię publiczną. Daje subwencye dziennikom i podtrzymuje jedną z największych instytucyi wolnych Japonii.

Na samym krańcu miasta, po za przedmie-

ściami, wśród widnokregu rozległego, prawie w czystym polu, w Waseda, założył swą rezydencję: duży dom książęcy, którego jedno skrzydło jest w stylu japońskim, a drugie w europejskim, otoczony ogrodami i obszernymi oranżeryami; nieco dalej znajduje się kolegium, gdzie przeszło tysiąc podwładnych uczy się historyi, literatury, prawa i polityki. Szkoła literatury funkcjonuje już dobrze. Parlament i giełda roją się od jego dawnych uczniów.

Spójrzmy na tego człowieka, zawsze żadnego potęgi, kiedy rozmawia z Europejczykami. Nie rozumie języka obcego, ale oczy jego zdają się śledzić wszystkie dźwięki. Gdy tłumacz zaczyna je przekładać, Okuma, jak wielki ptak drapieżny, przymykając źrenice, czyha na każdą ideję nową, ażeby ją uchwycić w przelocie, unieść do swego gniazda i nakarmić nią swe pisklęta.

Inni parweniusze z owej epoki błędną wobec tych dwu osobistości. A ileż tam postaci oryginalnych, zaczynając od marszałka Yamagaty, długiego, suchego, w ciasnym, czarnym surducie; twarz jego to trupia główka, po której zdają się przelatywać błyskawice myśli; jest on filarem partii konserwatywnej. Za nim idzie wymowny gaduła Itagaki, chwiejny, gwałtowny, ubogi, zapalony do dzieł Rousseau'a, fanatyczny wielbiciel Gambetty; ten hrabia socyalista, zagrożony pugiuałem sôshi, wołał:

— Itagaki może umrze, ale wolność jest nieśmiertelna!

Mianowany ministrem, omal co nie opuścił audyencyi cesarskiej z powodu braku rękawiczek i cylindra.

Po markizach i hrabiach idą baronowie. Oto baron Itô, mały Itô, jak go nazywają powszechnie; ruchliwy, lubiący intrygi, niesforny, impertynencki.

Dalej uczciwy, ociężały, z głosem grubym, śmiechem głośnym, baron Suyematsu, były student



z Cambridge, przesiąknięty parlamentaryzmem angielskim, minister poczt i telegrafów, mówca, ekonomista, prawnik, estetyk, romansopisarz, poeta, umysł, ogarniający horyzonty szerokie, ale dyletancki.

Pewnego razu podczas mej podróży po północnej części Japonii, wszedł do naszego przedziału mały Japończyk, z oczami żywymi i siwiejącymi faworytami, które zdawały się zlewać z ubraniem tejże samej barwy. Sądząc ze sposobu, w jakim opowiadał mym towarzyszom o swych szczęśliwych spekulacjach i z tonu, jakim wymawiał wyrazy: „umieszczenie sumy,” „dochód,” byłbym przysiągł, że mamy przed sobą ajenta jakiegoś domu bankowego. Tymczasem był to admirał Enomoto, ten sławny Enomoto, który podczas Restauracji dowodził flotą Shôhuna, a po kapitulacji swego pana z niesłychanem zuchwalstwem zabrał wszystkie okręty i zanknął się w porcie Hakodaté; ztamtąd w przeciągu sześciomiesięcznej walki, mogącej być tematem epepei, zagrażał wojskom cesarza.

Dziś w towarzystwie pewnego inżyniera i dziennikarza przebiega dawny teren swego buntu w celu założenia jakiejś instytucji finansowej.

„Epepejo, o epepejo! Jakże dziwny twój rozdział ostatni!” — mimowoli przychodzą na myśl te słowa Pompejusza, wyrzeczone na polach Farsali.

Pod tą bystrą inteligencją mistrzów europejskich, pod tą potrzebą używania, która im każe chwycić najróżnorodniejsze teorye i mieszać je z sobą, umysł Japończyków przesiąknięty jest jeszcze pewną brutalnością i nie żywi wstrętu do załatwienia sprawy po barzyńsku. Policjanci japońscy, dawni samuraj'owie, nie wahają się w razie potrzeby uciekać się do dawnego zwyczaju bicia oskarżonych kijami i wieszania za wielki palec.

— Narody europejskie — wołał pewnego razu hrabia Okuma — nie mają same rąk dosyć czystych aby się móżdż oburzać na to, co się dzieje u nas,

Niech i tak będzie: możemy się raczej dziwić, że te odwety za pomocą szabli są tak rzadkie w społeczeństwie, gdzie zbyt często zabójstwo podniesionem bywa do wysokości bohaterstwa. Pomyślmy, że jeżeli parweniusze japońcy odziedziczyli po swych przodkach skłonności dzikie, zachowali jednak niektóre cechy sympatyczne.

Są hojni — mówiąc to, nie mam na myśli tej szczodroblowości rozgłośniej, o której dobrze powiedziano, że echo jej czyni ją jeszcze głośniejszą. Dobroczynność Japończyków nie wychodzi po za granice rodziny i przyjaciół, ale w tych kołach czynną jest nieustannie. Jeden z własnymi dziećmi wychowuje dwoje lub troje dzieci starego przyjaciela; inny podejmuje i wspiera potomków rodu, którego głowa okazywała względy jego ojcu. Prawie wszyscy bogacze i nawet ludzie, którzy się utrzymują tylko z pensyi, dają w swych domach mieszkanie studentom ubogim, żywią ich, ubierają, płacą za szkoły, żądając wzamian tylko małych usług. Nie uważają tego za jakiś czyn niezwykły; opinia ogółu uważa, że uprzywilejowani tego świata muszą poświęcić część swjej fortuny i swych wpływów na korzyść młodzieży. W miarę jak się dobrobyt wzmaga, powiększa się ilość mieszkańców w każdym domu. Jakiż to świetny sposób pobierania podatków od dochodu! Znać w tem także tradycję feudalną: studenci, uratowani od nędzy, tworzą często dokoła patrona klientelę wierną do grobowej deski.

Ta hojność łączy się z wielką prostotą.

Japończycy z czasów Restauracyi nie utracili jeszcze uprzejmej poufałości, która pozwala podwładnym zachować zawsze swobodę wobec zwierzchników.

Na zebraniach i zabawach jenerałowie, szefowie sztabu, traktują po koleżeńsku młodszych podporuczników, którzy postępowania tego nie będą uważali ani za względy wyjątkowe, ani za poufalenie się nie-

właściwe. Bawią się razem, korzystają w jednakowym stopniu z darów miłości lub hazardu, pewni, że na pierwszy znak dany, każdy znajdzie się na swoim miejscu, jeden odzyska urok swej władzy, a drugi zachowa się z należnym dla zwierzchnika szacunkiem.

Jednak wyborcy japońscy znają już te ukłony protekcyjne, które trzymają ludzi w pewnej odległości, i brutalne hołdy kandydata ludowego, schlebającego małuczkiem w ten sposób, jak gdyby mówił do nich:

— Ja nie jestem dumnym wcale: bratam się z tłumem.

Wreszcie, niezależnie od klanu, do którego należą i programu politycznego, postępowcy czy liberalni, konserwatyści, czy też radykalni, ludzie tacy jak Oku, Itô, Yamagata, Itagaki, jeżeli nie mogli rozkazywać wypadkom, umieli przynajmniej wyciągnąć z miłości własnej narodu wysiłek zdumiewający.

Otwarli swój kraj im, przyznali cudzoziemcom nawet częściowo prawo własności ziemi, znieśli paszporty, ogłosili kodeksy, w których kilka artykułów drażniło albo raniło ich pojęcia życiowe. Trybunały kantonów, pierwszej instancji, sądy apelacyjne i kasacyjne, urządzone na wzór europejskich, powstały jak te pałace z bajki, które się wznoszą w przeciągu jednej nocy. Należało zaopatrzyć je w urzędników. Pośpiesznie wysłano do uniwersytetów francuzkich i niemieckich młodych ludzi, których zdolności i pracowitość zdumieniem napełniły naszych profesorów.

Pewnego dnia wszedłem do Pałacu Sprawiedliwości: sądzono dziennik *Yorozu*, który zadenuncyował zdzierstwa ministra. Sądziłem, że proces będzie bardzo głośny: nieliczna publiczność wzrokiem posępnym śledziła ponure debaty. Adwokaci w małych czarnych aksamitnych czapeczkach, podo-

bnych do dawniejszego okrycia głowy panów japońskich i przypominających kształtem czapki frygijskie, ziewali, przerzucając pliki papierów; urzędnicy zaś obserwowali bacznie gzyms sufitu. Towarzysze moi, chociaż brali udział w walce stronnictw, nie zdradzali najmniejszej chęci poznania treści werdyktu. Byli najzupełniej przekonani o winie ministra, ale wyrok trybunału był dla nich uajzupełniej obojętnym.

Obojętność ta wynikała z głęboko sceptycznego poglądu na całe sądownictwo. Bez tradycyi, bez przeszłości, złożone z młodych teoretyków i starych ignorantów, czujące się bardzo obco na krzesłach europejskich, nie zdobyło ono najmniejszego autorytetu moralnego.

Cisza aptyczna, z jaką funkcjonuje nowy mechanizm sądowy, ogarnia Uniwersytet, wydział prawny, filozoficzny, literacki, medyczny i szkołę inżynierską.

Gdy mnie zaprowadzono po raz pierwszy do tych ogrodów rozległych, z licznymi trawnikami stawami, bukietami drzew, oddzielającymi obszerne budynki z cegły czerwonej, zdawało mi się, że przekroczyłem próg kolonji cudzoziemskiej. Studenci odchodzą krokiem prędkim, pojedynczo, nic ich nie zdaje się zatrzymywać dokoła tych ognisk wiedzy.

Czy pracują szczerze? Do ich rozporządzenia oddają biblioteki, muzea.

Ale nawet dziennikarze japońscy konstatują, że wszystkie gałęzie wiedzy, które nie prowadzą szybko do urzędów dobrze płatnych, np. filozofja, literatura—jedyne, gdzie niegdyś objawiała się iskra Boża Japończyków — wegetują i zamierają powoli.

Młodzież przestała pojmować, albo jeszcze nie zrozumiała dobrze bezinteresownej piękności wiedzy. Studenci otrzymują dyplomy z tem większą łatwością, że liczba urzędów ciągle wzrasta; gdy je zdo-



będą, pograżają się w spoczynku, którego nie zakłócić nie zdoła. Uniwersytet przygotowuje pokolenia pół-uczonych, których zuchwalstwo i pedanterya zagrażają przyszłości. Wypuszcza też w świat znaczną ilość cyganeryi i ludzi wykolejonych.

W dzielnicy Hongo, stanowiącej *Quartier Latin* Japonji, na trzech lub czterech uczniów, z wielkim spokojem i pilnością uczęszczających na wykłady spotykamy dwudziestu, którzy tracą czas na błahostki i fraszki.

Pozbawieni są zupełnie tych rojeń fantastycznych i namiętności do paradoksów, za którymi się uganiania młodzież inteligentna, ale jeszcze nie zrównoważona; przybierają niekiedy ruchy hałaśliwe i noszą długie włosy, naśladownictwo jednak artystów europejskich nie wychodzi po za granice tego popolitego małpiarstwa. Z wyjątkiem fechtunku nie uprawiają żadnego sportu.

Wstają około godziny dziewiątej; od dziewiątej do dziesiątej na wewnętrznych balkonach hoteli rozlegają się dziwne odgłosy; panowie ci zlewają się wodą, płuczą gardło i usta, czyszczą zęby, kaszlą, spluwają, parskają, chrapią, wyprawiając hałas większy niż stado fok w sadzawce.

Potem wracają do swego pokoju, rozciągają się na tatami, czytają dzienniki i do śniadania udzielają audyencji swym dostawcom. Co rana pojawia się roznosiciel romansów i rozprawia z nimi o sposobie spędzania chwil wolnych.

Po śniadaniu składają wizyty, grają na flecie, fechtują się, staczają pojedynki urojone, zapomocą znaków umówionych. Od piwnic aż do poddaszy hotelu rozlegają się klaskania w ręce; służące przebiegają schody, niosąc imbryki z herbatą i suche ciastka. Po obiedzie, podawanym o godzinie szóstej, studenci wychodzą na przechadzkę, która trwa czasem do następnego rana. Ci, którzy wracają do swych mieszkań, zabawiają się znowu grą na flecie,

zasiadają do szachów, deklamują romanse, ścigają się przez wszystkie pokoje, rozprawiają o wytworności modnych kalamburów.

W ten sposób spędzają ośm lat życia, wreszcie opuszczają uniwersytet, nie posiadając żadnej specjalności, zniechęceni do domu rodzicielskiego i powiększają zastępy kabotynów lub sôshi, chyba, że majątek osobisty pozwala im ubiegać się o kandydaturę poselską.

Zresztą ci młodzi ludzie, grzeczni względem zwierzchności i uprzejmi w stosunku do służących, nie są bynajmniej postrachem burżuazji i sklepikarzy, Nie zrywają szyldów; nie zakłócają snu spokojnych dzielnic hałasem wyprawianych.

Jednak, podobnie jak ich koledzy szkollni, jeżeli spotkają na pustej ulicy Europejczyka i mogą z niego nie powiem zażartować, ale go znieważać i wyśmiać, nie ominą żadnej ku temu sposobności. Europejczyk zdumiewa się, że natura Japończyka odślania niespodziewanie tyle brutalności.

Twierdzono nieraz, że to usposobienie oplakane, zawdzięczać należy profesorom i że nauczanie uniwersyteckie w Japonji, przez jakąś dziwną niewdzięczność obudza nienawiść do cudzoziemszczyzny.

Zdaje mi się, że przyczyna jest głębsza i poważniejsza. Miałem sposobność obserwować bliżej studentów: nie żywią ku nam nienawiści, ale przypominają bardzo bohatera nowożytnego dramatu japońskiego, który woła.

— Nie żyjemy już w czasach barbarzyństwa!

I jakim tonem wypowiada te słowa! Jakimi oklaskami wita go publiczność!

Po tym szlachetnym oświadczeniu tupie nogami z gniewu, co by dawniejsza etykieta potępiła surowo, i pluje w twarz swego interlokutora. Te słowa magiczne:

— Nie jesteście już barbarzyńcami! które tyle

razy słyszałem i czytałem, któremi się Japończycy upajają tak słodko, mają na celu okazanie nam ich błyskotliwej wyższości. My potrzebowaliśmy całych wieków, aby wyjść z barbarzyństwa, oni zaś okęcili się na pięcie i odrazu znaleźli się w pośród światła. Nie sądzmy, że student, który przybiera wobec nas ruchy zaczepne prostego wieśniaka, żywi ku nam podobną nienawiść jak Chińczycy. Zależy mu tylko na okazaniu, że nie jest już barbarzyńcą. Myśl, że moglibyśmy go uważać za niższego od siebie, ta myśl będąca wytworem chorobliwej miłości własnej, którą zawdzięcza swemu wychowaniu półeuropejskiemu a pół japońskiemu, sprawia mu ból nieustanny. Z drugiej strony poczucie nagłego wyniesienia wyzwoliło go z form dawnej etykiety.

Jeden z mych przyjaciół, świetnie mówiący po japońsku, zniecierpliwiony trywjalnemi przechwałkami trzech studentów, odwrócił się i podszedł prosto do najstarszego:

— Panie, rzekł doń z grzecznością wyszukaną, nie jesteś już barbarzyńcą, wiemy o tem, ale uprzedzam cię, że stajesz się gburem.

Lekcja została zrozumianą, twarz młodego człowieka okryła się barwą liści klonowych w jesieni.

To zapomnienie, nawet wzgarda przeszłości, wywiera wrażenie jeszcze smutniejsze, gdy z zakładów wyższych przechodzimy do kolegiów i szkół, które w okresie barbarzyńskim, rozwijały się tak pomyślnie.

Bonzowie, kapłani Szyntoiz, samurai'owie, pensyonowani, albo też niezależni, damy dworu zbyt stare, ażeby mogły myśleć o małżeństwie, wreszcie każdy kto chciał, mógł zakładać *terakoye*, do których rodzice posyłali swe dzieci, bez różnicy płci.

Kary były przeważnie moralne, chociaż ci barbarzyńcy nie obawiali się wcale uderzać uczniów upartych zwojami tektury, czyniąc hałas straszliwy.

Okrucieństwo posuwali czasem do tego stopnia, że stawiali ucznia nieruchomo na małym stoliku, dając mu do jednej ręki filiżankę wody, a do drugiej zapalone kadzidło. Kary te wystarczały do utrzymania porządku i posłuszeństwa.

Uważaliby za wstyd stawiać wychowanie na równi z handlem, rodzice więc opłacali nauczyciela stosownie do swej możności, pieniędzmi lub produktami surowymi. Przedewszystkiem jednak wynagradzali jego pracę uznaniem pełnem czułości: na wszystkich uroczystościach rodzinnych wyznaczano mu zawsze pierwsze miejsce. Nosił dwie szable u boku. Mniej dbano o jego uczoneść, więcej o uczciwość.

Dzisiaj profesorowie, urzędnicy stanu, patentowani i dyplomowani, pobierają pensję śmiesznie małą w stosunku do drożyzny życia. Swoboda, z której korzystali, zależąc tylko od rodziny swych uczniów, znikła z chwilą, gdy rząd zaczął mierzyć ich zasługi i kontrolować czynności.

Za najdrobniejsze uchybienie przepisom odbierają urząd i pensję.

Pewien profesor uniwersytetu za napisanie do jakiegoś przeglądu artykułu, w którym roztrząsa boskie pochodzenie pierwszych cesarzy, dostał dymisję. Inny zapomina pochylić głowy podczas czytania rozporządzenia cesarskiego, jedynego przykazania, obowiązującego w szkołach japońskich; dyrektor wyrzuca go na bruk. „Ale—wołają dzienniki—jaką karę wynaczyć uczniom i studentom, którzy, zginając kolana przed rozkazami cesarza, przestępują je trzysta sześćdziesiąt pięć razy na rok?” Oni są nietykalni. Według energicznego wyrażenia pewnego nauczyciela japońskiego, istotnym ministrem oświaty publicznej jest uczeń.

Od r. 1889 do 1897, w przeciągu ośmiu lat, w szkołach czterdziestu prefektur naliczono około stu pięćdziesięciu buntów uczniowskich.



Rząd wybudował szkoły na przestrzeniach rozległych, wśród bujnej zieloności. Szkoła Normalna w Tôkyô rozciąga się na wybrzeżu szerokiego kanału, i przypomina siedzibę książęcą, otoczoną licznymi przyległościami. Nigdy pokoje szkolne nie miały tyle światła; ale poezję wygnano z nich zupełnie. Nigdy mali Japończycy nie mieli takich wygód; ale nie odczuwają już ścisłego związku z duszami przodków. Pomiedzy profesorami jedni rozkochani jeszcze w scholastyce chińskiej, uczą ich myśleć i mówić tak, jak myślano i mówiono za cesarza Ojina, podczas gdy drudzy, zaślepieni półuczonością zagraniczną, wyobrażając sobie, że stoją na równi z Zachodem, prawią uczniom takie rzeczy, którychby nie mogli zrozumieć nawet studenci uniwersytetu.

Jednak zadanie było pociągające: Japończycy mogliby wziąć ze skarbnicy europejskiej to wszystko, co nosi charakter ogólnie ludzki, działa na wzrok jako obraz i wzrusza serca, tę prawdę, wielką i nieśmiertelną, wspólną wszystkim istotom z ciałą i krwi—tak jak wspólne im są pierwiastki zbrodni i grzechu. Prawdę tę odnajdą w poświęceniu i cnotach wzniosłych, tych ostojach światła.—Jedyny sposób uczenia historii ludów oddalonych, stosowny dla młodzieży, polega na rozszerzeniu uczucia podziwu i sympatii. Ale bez metody, bez krytyki, przekonani, że dla kształcenia dzieci po europejsku, starczy przeszczepić do Japonii programy zachodnie, więcej rozmiłowani w formie niż w istocie rzeczy, trzymają się długich i suchych nomenklatur, a ich nauka jest tylko mieszaniną chaotyczną dawnej mądrości chińskiej i teoryj przedwczesnych, egzotyizmu i archaizmu często jeszcze z zabarwieniem komicznem.

Naprzykład profesor zapytuje:

— Kto jest większy, Hideyoshi czy Napoleon?

*Uczeń pierwszy:* Napoleon, ponieważ podbił Europę.

*Uczeń drugi:* Prawda, że Napoleon podbił Europę, a Hideyoshi tylko Japonię. Ale ponieważ Japonia jest najpierwszym krajem świata, więc podbój Japonii chlubniejszym jest, niż podbój Europy.

*Profesor, z wielką powagą:* Nie możemy dzisiaj dowieść wyższości jednego nad drugim: musielibyśmy ich widzieć walczących ze sobą!

Uczniowie wynoszą ze szkół, obok chaosu imion własnych, pojęcia ogólne, na których się opiera ich zarozumiałość: wykazali zdolności do matematyki i do nauk ścisłych.

Podczas mego pobytu w Tòkyó pewien samuraj bardzo ubogi umieścił swego syna trzynasto czy też czternastoletniego jako ucznia w sklepie, położonym przy bulwarze Ginza:

— Idź — rzekł do syna, ale pamiętaj, że, jeżeli popełnisz coś niezgodnego z honorem, zamknę dla ciebie me serce i mój dom nietylko w tem życiu, ale i we wszystkich istnieniach następnych.

Dziecko podziękowało ojcu, pokłoniło się do ziemi i udało się do swego nowego pana. Upłynął miesiąc. Chłopiec sprawował się dobrze; nagle pewnego dnia przychodzi do kupca jego sąsiad, piekarz, i mówi:

— Wczoraj przysłałeś pan do mnie oficjalistę nieuczciwego: gdy zawijałem ciastka, które kupował dla pana, ukradł jedno.

Kupiec przywołuje chłopaka; ten przeczy wszystkiemu, piekarz nalega; dziecko się jednak nie przyznaje do kradzieży.

— Wyznaj swą winę—przerywa kupiec—a ja ci przebaczę. Jeżeli zaś będziesz kłamał dalej—wypędzę.

Wypędza go istotnie; chłopak zostaje na ulicy z trzydziestoma sous, które zarobił w ciągu miesiąca. Spogląda na te pieniądze, przypomina

sobie słowa ojca i udaje się do teatru; była to godzina ranna, w której się zwykle odbywa przedstawienie; tłum ludu tłoczył się u wejścia. Za połowę swych kapitałów chłopiec kupuje bilet na wyższą galeryę i staje między widzami. Do szóstej wieczór trwa przedstawienie; przed oczami chłopaka przesuwają się pełne tragizmu postaci legendowe i historyczne. Wykrzykuje: *Hya! Hya!* przyklaskując mężtwu Chôbei patrona kupców, który, wiedząc o zasadzce i pugi-  
nalach zaostrzonych, daje śmierci tak dumne powitanie. Ale gdy bohater odpowiada swej żonie, tonącej we łzach: „Zamilknij, zbliża się chwila, gdy kwiaty wiśni opadną, a ludzie muszą umierać”, mały złodziej z bulwaru Ginza zachowuje pobożne milczenie. Podczas antraktów kupuje i chrupie ciastka.

Wreszcie wychodzi z teatru jeden z ostatnich. Wyjmuje z za pasa ćwiartkę papieru, pisze na niej słów kilka przy świetle latarni i podąża na stację Shimbashi. Nie zatrzymując się wcale, mija przedmieście Shinagawa i dochodzi aż do nędznych cha-  
tek, leżących obok toru kolejowego. Z drugiej strony rozciąga się piaszczysty brzeg morza, gdzie w kwietniu małe jego siostrzyczki zbierały muszle. Chłopak idzie jeszcze dalej, przedziera-  
jąc się przez lotosy; wreszcie wskakuje na tor kolejowy. Pociąg z Yokohamy ostrym gwizdem prze-  
rzyna powietrze, dziecko pośpiesznie zdejmuje haori, zwija je starannie i kładzie się na szynach.

Nazajutrz piekarz przybiega da kupca:

— Proszę o przebaczenie—mówi—wczoraj nie-  
słusznie oskarżyłem pańskiego służącego; dzisiaj odkryłem winowajcę prawdziwego.

— Mocno się cieszę—odparł kupiec.

Ani jeden ani drugi nie wiedzieli jeszcze, że o dziesięć minut drogi od stacyi kolejowej, obok małego, niekształtnego, skrwawionego trupa, w rękawie haori znaleziono kartkę z napisem: *Czcigodny ojcze, syn twój nie popełnił tego, o co go obwiniają.*

Dużo jednak jest ludzi takich, którzy zbierają i przechowują w swej pamięci te echa przeszłości, te głosy z poza grobu. Nie są oni ani mniej inteligentni, ani mniej wykształceni od innych Japończyków; znają nas i czytają nasze dzieła. Żyją odosobnieni, nie zbliżając się do ludzi dzisiejszych, dla których żywią nieufność lub wzgardę. Nikt ich nie potraça w przedsiönku ministra ani w biurze redakcyi, a ich życie rodzinne osłania tajemnica tak nieprzenikniona, jak sanktuarjum świątyń szyn-toizmu. Człowiek, od którego zaczerpnałem opowiadanie powyższe, należał właśnie do zastępu Japończyków, trzymających się na uboczu, więcej przekonanych o swej wartości, od czasu, gdy poznali nasze błędy. Nie znałem wcale jego adresu. Na prośbę wspólnego przyjaciela odwiedził mnie i z uprzejmością wyszukana zgodził się na zaspokojenie mej ciekawości. Powłóczył jego ubranie z czarnego jedwabiu szeleściło przy najmniejszym poruszeniu, jak tren kobiecej sukni. Podziwiałem jego elegancyę i wysoką uprzejmość, dawny werniks, pod którym dusze japońskie wydawały dźwięki czyste i poważne. O samobójstwie tego dziecka opowiadał z ironią subtelną; głos jego drżał lekko, a oczy i uśmiech zawisły na mojej twarzy. Nie umiałbym oddać akcentu tej dumy pełnej prostoty i melancholii, z jaką zakończył:

— Ten chłopak—panie—był jednym z naszych.

---

### ROZDZIAŁ III.

---

#### L u d.

Błąkając się w tłumie japońskim doznawałem wrażenia naprzemian smutnego i komicznego, wi-



dząc, jak naród, wykolejony ze swej drogi naturalnej, rozprasza się po wzgórzach i równinach, biegnie, wraca na dawne miejsce, grupuje się, rozchodzi, albo puszcza się uroczyście drogami bez wyjścia. Mieszczanie, kupcy, rzemieślnicy, robotnicy, nawet włościanie zasłużyliby na nazwę *neomanów*, do tego stopnia zdaje się ich ogarniać gorączka reform.

Wejdźmy do tych pracowni, gdzie się fabrykują codziennie nowe projekty. Biura dzienników mają wygląd tak zniszczony, jak gdyby całe wieki pracy kurz swój tam gromadziły. Reporterzy piszą na czymś w rodzaju stołów krawieckich, nabitych brudem; drukarze w łachmanach układają czcionki śpiewając wesoło. Tylko gabinet redaktora bywa czasem wymiatany, jak o tem świadczą śmiecie u drzwi nagromadzone.

Bezustannie się zmieniający personel dziennikarski co noc wypracowuje te same wyroki, ogłaszane co rano: „Wprowadzajmy reformy!” Chcą reformować wszystko: „Nasi posłowie są już zepsuci, a nasi kapłani byli nimi zawsze. Trzeba oczyścić sądownictwo, znieść nowe tytuły szlacheckie, przekształcić uniwersytet, polepszyć byt nauczycieli, umoralnić kupców, poprawić obyczaje, odrodzić Japonię!” Należałoby ją także wzbogacić, pensya bowiem profesorska zaledwie im starczy na utrzymanie, oficerowie siedzą w długach, posłowie zgnębieni biedą spadli tak nisko, że właściciele miejscy nie chcą odnajmywać swych domów tym pasorzytom narodowym, a autorowie sprzedają swą prozę po cenie niższej.

Talent satyryczny i zdolność do karykatury, ograniczające się dotąd tylko do sztuki malarskiej, rozwijają się szeroko w dziennikarstwie.

Pedantyzm mrozi często ich werwę naturalną. Przechwalając się nauką, mieszają do swej juna-kieryi naiwność niesłychaną. W przeglądzie filozo-

ficznym można znaleźć frazesy w rodzaju następujących: „Na nas się kończy Zachód a zaczyna Wschód; Japonia więc powinna dać światu wielki geniusz syntetyczny”.

— Jakże jesteście mądrzy! — woła dziennik inny. — Naprawdę jesteście Francuzami Dalekiego Wschodu.

— Jesteście raczej Niemcami — zaprzecza inny. — Spójrzcie na nasze bomby i kartacze.

— Istotnie — mówi trzeci — rzuca się wprost w oczy, że jesteście Anglikami.

Scena nowożytna przedstawia za pomocą dramatu pomysły zadziwiające. Poszedłem za kulisy w celu odwiedzenia sławnego Kawakami, który później talentem swym podbił Europę i Amerykę; przebierał się właśnie za gentleman'a. Po niezliczonych ukłonach, klęcząc wśród najrozmaitszych flakonów, zaczął rozmowę od słów:

— Masz, panie, u swych stóp skromnego komedyanta, który dąży do zreformowania teatru japońskiego.

Trupa jego odegrywała w tym czasie pięcioaktową sztukę, p. t. „*Culowne przedsięwzięcie*.” Istotnie było ono cudownem, zamierzało bowiem na wierzchołku Fuji umieścić słońce elektryczne takiej siły, ażeby w całym państwie Nipponu nie było już nocy. Ta myśl, której wartości symbolicznej publiczność może nie zrozumiała, oświetliła komizmem nieocenionym najciemniejszy z melodramatów japońskich.

Aktorzy odrzucili tradycyjną melopeę i głos gardłowy, który im narzucają przepisy; deklamowali całe artykuły z dzienników i mordowali siebie wypowiedzeniem długich cnotliwych tyrad. Buddyzm był krytykowany w osobie jakiegoś klechy, który wypił tyle saké, że właściwie można byłoby powiedzieć, że to saké go wchłonęło.

— Jesteś pijakiem i hulaką, jak wy wszyscy—

wołał jeden z elektrotechników sztuki—wyrzutkiem społeczeństwa wieku oświeconego; nie masz więc zupełnie wstydu, jeżeli możesz się tutaj tarzać w błocie, podczas gdy dzicy z Formozy nie mają pojęcia o wielkim Buddzie?

A klecha, jak gdyby dotknięty prądem elektrycznym zrywa się z ziemi i jęczy:

— O mój dobroczyńco, otwierasz mi oczy: będę lotosem, który wykwita z błota; będę głosił naukę Buddy naszym braciom z Formozy.

Pewnego wieczora wprowadzono mnie do jednego z większych seminaryów buddyjskich w Tōkyō. Zdawało mi się, że wszystkie hałasy życiowe powinny były umilknąć dokoła tej przestrzeni obszernej, pogrzebanej w mroku i ciszy. Tu i owdzie, z małych domków, z kąd przeciskało się blade światelko, dochodził głos złamany zakonnika buddyjskiego, beczącego litanie hinduskie. Ręce przezroczyście, jakby z wosku, wychudłemi palcami trzymały latarki, służące nam za drogowskazy; przechodziliśmy rozmaite mostki i korytarze, wreszcie zatrzymaliśmy się w części środkowej, rozlewającej w cieniach nocy jasność wonną. Z licznych brasero unosił się zapach kadzidel. W miękkim świetle lamp i świec, tatami skąpane w złocie, usiane poduszkami szkarłatnymi dawały złudzenie, że stąpamy wśród wysp kwiatnych, po kłosach dojrzałych. Przełożeni przybyli w szatach szeleszczących z jedwabiu perłowej barwy; kapłani mieli na sobie stupy więcej błyszczące i urozmaicone, niż obi tancerek. Wreszcie ściany się rozsunęły i wzrok nasz, po za tą salą oświetloną rześcicie, zaczął się błąkać w otaczających głębiach zmroku, gdzie seminarzyści w szerokich sukniach, klęcząc nieruchomo, przypominali trójkanciaste kolumny kamienne.

Jaka umiejętność dekoracyi! Jak mało potrzebują środków, ażeby pogrążyć duszę w marzeniu! Zdaje mi się, że słyszę jeszcze, jak jeden z tych

bonzów z głową ubieloną, twarzą bladą i oczami osadzonemi głęboko mówi: „Buddyzm jest wieczny, a istnienie Rzymu jednodniowe”.

Zapachy płynące z sanktuarium, cudowna gra światel i cieni, mały pokój wydający się w tem oświetleniu i w nocy jeszcze wyższym, tłum nieruchomy, wszystko to nadawało słowom bonzy jakąś wielkość tajemniczą. Myślałem w głębi duszy: „Oto ludzie, którzy się dobrowolnie usuwają z pośród tłumu ruchliwego i gardząc zjawiskami ułudnemi rozmyślają o wieczności!”

Wkrótce jednak wyprowadzili mnie z błędu. Wydawane przez nich czterdzieści dwa dzienniki, z których siedemnaście przypada na stolicę, z wielką gorliwością głoszą palingenezę. Bonzowie wojujący reformują się odrazu we wszystkich kierunkach. Denuncyją siebie nawzajem, obrzucając się obelgami: np. stowarzyszenie, zawiązane w celu oczyszczenia duchowieństwa, w jednej prowincyi żądało zdegradowania dwustu dwudziestu kapłanów, jednych za życie niemoralne, drugich wskutek wyroków sądów świeckich, innych za sprzedaż jedwabów, a jeszcze innych za skłanianie się do religij cudzoziemskich. Rząd, wymagając od nich świadectwa z ukończenia studyów, udziela równocześnie pozwolenia na zawarcie małżeństwa; opierają się na zręcznej wymówce, że Budda zabrania małżeństwa tylko tym, którym kobieta mogłaby zamącić rozum, podobnie jak zakazuje używania zbyt mocnych win tym, którzy mają słabe głowy.

Zresztą trzy czwarte Japończyków wzdycha do zmiany swych zajęć.

Studenci mieszkają najdłużej dwa tygodnie w jednym i tym samym pensjonacie; rodzice przeprowadzają swe dzieci z jednej szkoły do drugiej; drobni mieszczanie przenoszą się ciągle. Znałem



takich, którzy w przeciągu roku zmienili więcej niż sześć mieszkań. Podobnie, jak mieszkania, zmieniają i swe specjalności. Robotnik nie nauczył się jeszcze dobrze swego rzemiosła, a już traci doń ochotę i poszukuje innego. Wychudzeni jak psy wściekłe, w podniesionym kimono na obnażonych goleniach, w czerwonej chustce na głowie i całym dobytkiem w rękawach, wieśniacy emigrują z miasta do miasta. Przychodzi ktoś do swego lekarza i dowiaduje się, że został on już bankierem. Wchodzimy do kupca, ale on już otworzył kancelaryę adwokacką. Wczorajszy reporter, który przychodził do nas w charakterze interviewer'a, dziś jest przemysłowcem. Nikt się nie przywiązuje do swego rzemiosła i nie rozumie godności swego powołania.

Ale niepokój ten, w którym żal za ideałem utraconym łączy się z potrzebą ideału nowego, pomimo, że ten się im dotąd wymyka, ta gorączka reform, którą się tak chełpią, nie mogły jednak przewyciężyć lenistwa, będącego owocem dwudziestowiekowego niedbalstwa.

Robotnik japoński opłacany jest trzy razy taniej, niż w Europie, ale robotnik nasz produkuje trzy razy więcej. Kupcy, klęcząc spokojnie przed swym braserem, spoglądają na klientów obojętnym okiem wróżbiarzy. Mają obstalunek do załatwienia: wynajdują codziennie nową zwłokę. Niegdyś obchodzono święta na cześć niezliczonych bogów; świętowano z powodu rozkwitu roślin; świętowano dla własnej przyjemności. Artysta dziesięć lat pracował nad wykończeniem pudełeczka z laki. Teatry, zawsze przepelnione, zamykają się w chwili, gdy oświetlają yosé. Przejdźmy się rano po peronie kolejowym; tłoczą się na nim ludzie witający siebie głębokim ukłonem i przyglądający się, jak jeden z nich wchodzi do wagonu. Może to jakiś minister, albo ambasador? Mylicie się bardzo: ten

podróżny, tak liczną otoczony świtą, mianowany został urzędnikiem pocztowym w Kyôto, albo też w interesie osobistym wyrusza do Osaka. Od dwu tygodni, t. j. od chwili, gdy się dowiedziano o zamierzonej podróży, przyjaciele jego zbierają się co wieczór w najrozmaitszych restauracjach miasta, piją razem saké i zalecają się do tych samych gejsz...

Jest to tak zwane picie strzemienego; Japończycy piją je przez dwa tygodnie.

Gdybyż przynajmniej lubili siedzieć w domu i obawiali się dwunastogodzinnej podróży koleją; ale gdzie tam! od północy do południa wszystkie pociągi są zawsze przepelnione.

Uczty pożegnalne, z kądem ich nieraz przywożą w jednej kurumie powiązanych po dwu, jak kielbaski, są tylko pretekstem dla ich niezrównanego próżniactwa. Do tych hulanek potrzebne im koniecznie oświetlenie restauracyjne, osobny gabinet, dźwięk shamisenów, ładne tancerki.

W Japonii niema zupełnie przyjęć w domach prywatnych, a jednak mężczyźni składają sobie wizyty od rana do wieczora i urządzają *sôdan*'y.

*Sôdan*, słowo magiczne, rozkosz umysłów, czar godzin, główny punkt życia japońskiego! Przypomnijcie sobie młodych Greków, którzy się zrywali o świcie i biegli na wykłady sofistów; Japończycy byliby ich wyprzedzili dla *sôdan*'u. Mają dni *quasi* boskie, dni całkowicie poświęcone *sôdan* owi. Spieszą się, potracając jedni drugich, jak bonzowie, którzy mają kilka pogrzebów do załatwienia. Jeżeli Japończyk chce sobie zbudować dom, postawić parkan, wydać zamąż córkę, wybrać lekarza, kupić dzieło sztuki, zmienić tatami, założyć handel, zasadzić drzewo, przedsięwziąć podróż, sprzedać pole, albo zreformować kraj: zaprasza przyjaciół, ażeby się przyszli naradzić wspólnie dokoła imbryka z herbatą i brasero. Zaproszeni przybywają, klękają

w koło, nakładają fajki, zwilżają usta ciepłą herbatą i udają, że z całym skupieniem słuchają gospodarza, który im przedstawia, wyklada i rozbiera całą sprawę domową i swe udane niepokoje. Potem każdy z zaproszonych przemawia po kolei. I tu właśnie geniusz *farniente* japońskiego występuje w całym blasku. Proszą was usilnie o wasze zdanie, znaczy to, że pragną podziwiać waszą wymowę. Mówcie więc!

Nikt od was nie żąda logiki, nawet sensu. Bądźcie wymowni: zabawiajcie, zadziwiajcie słuchaczy. O, jak słodkim jest język japoński, najrozwicklejszy ze wszystkich języków! Pomysły fantastyczne, któremi ci mali ludzie nabijają sobie głowy, mogłyby rozpaść ich umysł, gdyby się nie ulatniały w godzinach sōdan'u. Słuchają bez zniecierpliwienia, pewni, że czasu nie zbraknie.

Zresztą nie mniej się rozkoszują gadatliwością innych, jak upajają wymową własną. Rozmawiają, dowodzą, rozprawiają, docinają, dobierają rozmyślnie słowa paradoksalne, mówią od rzeczy z całą powagą.

Są to marzyciele.

Jeszcze nie postanowiono, jakie drzewa zaszadzi ktoś w swym ogrodzie, a już oni zrywają owoce, albo upajają się wonią kwiatów. Inny się namyśla, którą z dwu zdarzających się partyj wybrać dla córki; w mowie drugiego mówcy jest ona już żoną, w mowie trzeciego matką, a czwarty rozmyśla nad powołaniem jej wnuków.

Gdy po spędzeniu na sōdanie całego dnia, wraca mieszczanin do swego domu, żona podaje mu obiad i usuwa się z przed oblicza swego małżonka, ażeby się czemś posilić na uboczu; pan domu pozostaje samotny na swej werandzie; spójrzmy na niego w tej chwili, w której miliony dusz japońskich upajają się ciszą głęboką, przypominającą

ciszę, w jaką zapada żaba po zanurzeniu się w stojącej kałuży: klęcząc, z głową pochyloną i oczami spuszczone na kolana, puszcza wodze fantazyi, rozkoszuje się swemi marzeniami, błąka się w sferach urojonych, wytwarza sobie w myśli nowy sôdan, przysłowie bowiem powiada: „Chociażby w towarzystwie swego kolana trzeba zawsze urządzać sobie sôdan.”

W życiu rzeczywistem Japończyk nie dziwi się niczemu. Jest to cecha umysłów bardzo głębokich, albo bardzo powierzchownych.

Umysł japoński ma tylko pozory głębokości i ciekawość powierzchowną. Nieumiarkowane upodobanie w długich mowach, formy uroczyste, któremi podnosi rozmowy najbanalniejsze, czynią go dostępnym ideom najróżnorodniejszym. Mniejsza o to, czy są niebezpieczne, czy błahe. Wszystkie są pożądane, ponieważ dają mu sposobność puszczenia wodzy swej gadatliwości.

Niema paradoksu tak jaskrawego, ani zdania fantastycznego, któregoby lud japoński nie mógł przyjąć, albo roztrząsać. Czyż reformatorowie jego nie rozprawiali czas jakiś poważnie o przyjęciu języka angielskiego za narodowy? Śliczny temat na sôdan! Cuda przemysłu, para i elektryczność zdumiewały go nie więcej, niż utopie zachodnie, któremi dzienniki podniecają jego duszę. Japonia jest może jedynym krajem na świecie, gdzie lokomotywy mogły się nigdy nie obawiać przeszkód ze strony zabobonnych wieśniaków. Tłum zapełnił pierwszy pociąg, wprawiony w ruch, jakgdyby cesarze, zaczynając od Jimmu Tennô, przyzwyczaili go już do podobnego widoku.

Nigdzie chyba ekscentryczność nie występuje z większą jaskrawością, jak w Tokyo.

Nawet własne dziwactwa nie wzruszają ich



wcale. Właściciel jakiejś herbaciarni po powrocie z pielgrzymki do Boga: jeziora w On-Také, obwie szony amuletami, z pieczęciami świątyni na wszystkich częściach ubrania, wpadł w taki zapał dewocyi, że zaraził on wszystkie gejsze. Jedne z nich całymi dniami paliły kadzidła na cześć tego bożka łaskawego, inne śpiewały pieśni pobożne od rana do wieczora, leżąc twarzą na ziemi, albo rozwijały przy dźwiękach muzyki pobożnej zwo je modlitw, zwracając się ku czterem stronom świata.

Klienci, którzy się zabłąkali pod ten dach poświęcony, wracali, potrząsając głowami, więcej dotknięci w swych przyzwyczajeniach, niż w przekonaniach.

Syn pewnego Anglika, urodzony w Japoni i zjaponizowany do tego stopnia, że się wsławił jako znakomity deklamator w Yosé, wyobraził sobie, że brak paszportu krępował go nieustannie i utrudniał wycieczki na prowincye. W jaki sposób zaradzić złemu? Nie widział na to innej rady, prócz przyjęcia poddaństwa japońskiego; postanowił więc wyszukać jakiegoś japończyka, któryby go zechciał adoptować. Wzrok jego padł przypadkowo na powożącego go kurumaya.

— *Stop!*—zawołał Anglik.

Kurumaya się zatrzymał i nie puszczając hobli, zwrócił ku pasażerowi swą twarz pomarszczoną.

— Czy chcesz być moim ojcem?

— Hm? Pańskim ojcem?

— Tak, ojcem adoptowanym; będę ci płacił po dziesięć yenów miesięcznie.

— Hm, dziesięć yenów?

— Tak, dziesięć yenów, jeżeli będziesz mnie adoptował.

— Hm! *Yô gozaimasu* (dobrze, zgadzam się).

Kurumaya nie pytał dłużej; zamiast jechać wprost na stację, zoczyli z drogi i spisali prawnie to niezwykle uznanie ojcostwa.

Ale ludzie ci, którzy nie zmarszczą brwi na propozycję i widoki najwięcej niespodziewane, którym nagle i fantastyczne podniesienie ceny na produkty spożywcze nie wyrwie okrzyku buntu, zdolni są niekiedy, gdy się zbiorą razem, do wybuchów ślepych i gwałtownych.

Kapłani w świątyni Sui Tengu sprzedają w dniach oznaczonych amulety, po które przychodzą ludzie z najdalszych prowincyi. Rozdawanie rozpoczyna się o godzinie trzeciej rano; tego roku, kiedy mieszkałem w Tokyô, chwilę tę odłożono do godziny czwartej. Deszcz lał ulewny. Przez ulice, otaczające świątynię, można było przejść tylko po parasolach. Tłum się niecierpliwił i nadymał w milczeniu: przypominało się mimowoli wzbieranie wody podczas powodzi. Zaledwie wrota słuzy otwarto, tłum wpadł z taką gwałtownością, że nietylko drzewa, ale mieszkanie stróżów, teatr, gdzie się odbywały tańce religijne, domy kapłanów i dwie latarnie kamienne zostały zdruzgotane. W całej dzielnicy sądzono, że nastąpiło trzęsienie ziemi. Zbiegli się żandarmi; przerażeni bonzowie zamknęli się w świątyni. O godzinie pół do siódmej sądzono, że lud się uspokoił i uchylono drzwi. Ale natarcie znowu było tak silne i tym razem towarzyszyły mu krzyki tak straszliwe, że żandarmi zmuszeni byli strzelać do tych szaleńców, bezsilnych i wściekłych, rzucających na dach boga parasole, kapelusze, obuwie, torby podróżne, sakwy, nawet ubranie.

Istotnie, trudno o coś bardziej komicznego. Szło tylko o amulety. Są to jednak wyraźne objawy siły buntowniczej, która się gromadzi w masach

ludowych i wybucha tylko pod przypadkowym działaniem fanatyzmu. Niespokojny, kierowany przez ludzi zarażonych nowościami, których wyników dobrze nie rozumieją, leniwy i napastowany przez gadułów, tracących czas na sporach czczych lub niedorzecznych, bezwiednie przygotowany do wszelkiego zuchwalstwa, nie dziwiący się niczemu, a więc pozbawiony wszelkiego hamulca, lud japoński przedstawia zdobycz ponętną dla przyszłych agitatorów rewolucji.

Znajdą oni przytem pomoc potężną w nędzy, tej nędzy straszliwej, którą pociąga za sobą nasza cywilizacja przemysłowa.

W czasach gdy jeszcze nie składano nowemu bogowi żadnych ofiar, rzemieślnik, zabezpieczony materialnie, czuł, że w nim rozwija się skromny, spokojny artysta. Przemysł nowożytny pod groźbą śmierci przekształca go w jakąś maszynę bez inicjatywy i bez ideału, złączoną z inną maszyną bez inteligencji i miłosierdzia.

Prawnik francuski p. Boissonnade, profesor prawa w Japonii, twierdził, że już w r. 1892 zrodziła się kwestya społeczna. Od tego czasu urosła znacznie. Właściciele japońscy i ich pośrednicy okazali się surowszemi w stosunku do robotników, niż niegdyś panowie feudalni i samurajowie względem biedaków. Człowiek może się jeszcze okazywać krnąbrnym, gdy mu narzucają dni dwunasto, piętnasto i siedemnastogodzinne; ale co ma zrobić kobieta, której nikt nie osłania, młoda dziewczyna, którą policya przyprowadza do fabryki, wreszcie dziecko? Naród japoński lubi dzieci, ale nie szanuje dzieciństwa. Dawne społeczeństwo otaczało się dziećmi podczas hulanek; nowe zapelnia niemi występnie fabryki w godzinach nocy.

— Co mamy robić?—pytają właściciele.—Robotnicy nasi leniwi i nieakuratni, nie okazują nam

żadnej uległości. Chcą być równi nam, panom. Dla uratowania naszych kapitałów będziemy zmuszeni sprowadzić najemników chińskich.

Robotnicy urządzają bezrobocia. Mają wprawdzie powody słuszne, ale gdyby ich nawet nie mieli, strejkowaliby tak samo, jedynie przez chęć rywalizowania z Europejczykami. Brak im tylko przywódców.

Podobnie jak student, który nie chce się uczyć, zapisuje się do oddziałów sôshi, robotnik, który nie chce pracować, zaciąga się do kuru-mayów. Samo Tōkyō liczy przeszło czterdzieści tysięcy ludzi ciągnących kabryolety. Szczęśliwsi grupują się dokoła pysznych rezydencji i wspaniałych restauracyj, w szopach, gdzie śpiewają, piją, hulają i grają w karty po za plecami policyi. Inni krążą w różnych porach dnia i nocy, poszukując „dobrego ziarna,” albo „drogiego kamienia.” Tak się w ich żargonie nazywa klient. Na starość, kiedy za każdym obrotem koła prostować muszą rozpaczliwie plecy, siadają wśród galganiarzy i ludzi naprawiających gety. Na widok tramwajów oczy ich zapalają się nienawiścią, a wieczorem zastępy rozproszone tych głodomorów zabiorą się wesoło do pracy, jeżeli zdarza się krwawa zwada.

Pod lekkomyślną powłoką życia japońskiego nikt nie podejrzewa posępnego wzrostu nędzy, która zwiększa się głucho w miarę tego, jak zachodnie idee równości i walki o byt przedzierają się przez obłoki buddyzmu, zasłaniające dawny horyzont. Nędza ta nie ma oblicza wstrętnego i cuchnącego naszej nędzy. Często do późnej nocy błąkałem się po najlichszych dzielnicach Tōkyō, gdzie się ta nędza gnieździ.

Dachy dziurawe i ściany z desek źle spojo-



nych pozwalają deszczom przeciekać na lachmany gnijących tatami. Przed małym ołtarzem przodków, zrobionym ze starej skrzynki od pomarańcz i przytwierdzonym do ściany za pomocą dwóch sznurów ze słomy, leżą bezładnie okryci gałganami i pokrowcami parasoli mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci.

Korytarz w tych hotelach podejrzanych jest jakby szatnią dla tego tłumu niechlujnego. Sakwa kolportera, ołtarzyk w formie świątyni, który zebracy dźwigają na plecach, parasole opatrzone długimi rączkami ekwilibrystów, maski lwie, w których mali akrobaci kwestują od drzwi do drzwi, torba lichwiarza, pochłaniająca ostatnie lachmany nędzarzy, shamisen śpiewaczki ulicznej, rydel kopacza, latarnia kurumaya, wszystkie te narzędzia, noszące na sobie piętno nędzy, gromadzą czasem w stosy wśród sandałów znoszonych, opatrzonych skrawkami papieru, ażeby ułatwić właścicielom rozpoznanie ubogiej ruchomości.

Sala wspólna, oświetlona drżącym światelkiem lampki, zawieszonej na pocerniałej kolumnie, przypomina cmentarz usiany mogiłami. Ta atmosfera potu i dymu obudza jednak zazdrość obdartusów, dzwoniących zębami, którzy w dzień i w nocy ubijają błoto na rynkach i wybrzeżach kanałów.

Ruina burżuazji rycerskiej, emigracja wieśniaków, żądza zysku, nieumiejętność obranego rzemiosła, liczne bankructwa, ciągłe pożary, powiększają liczbę wykolejonych. Ubóstwo dawniejsze przekształciło się w pauperyzm. Zebracy pochłaniani niegdyś przez wszystkie kasty społeczne, tworzą dzisiaj klasę niezależną, która wkrótce może się stać groźną.

Cała ta nędza japońska zachowuje jednak poczucie artystyczne, łagodzące jej okropność. Prze-

biegnijmy rynki nocne w Tòkyò. Ubogi urzèdник, zmuszony do złożenia czołobitności swemu szefowi, znajdzie tam za dwadzieścia sous obuwie europejskie, z tekturowemi klejonemi podeszwami, które mu jednak wystarczy na czas wizyty. Gospodyni wyszuka starą flaszę do ryżu. Hołysz kupi za kilka centymów podrumienioną mackę głowonoga, chrupiącą mu w zębach. A jak ładnie wszystkie te przedmioty są ułożone! Ogony makreli wędzonych, wyglądają jak przedmioty sztuki; znaleźć tam można również brzozy prawdziwe, wykwintne graciki, połamane lub zepsute, ale któremi się ręce tych biedaków pieszczą delikatnie.

Ci wydziedziczeni nie utracili ruchów miękkich i uprzejmych. Gdy żebraczka z dzieckiem na ręku wchodzi do zadymionej sypialni, zarzuconej łachmanami, nie zapomni nigdy powiedzieć: „Tutaj jest dużo wujów, moje złotko!” A stare siwe głowy podniosą się ze swego posłania, aby ją powitać uprzejmie. Oni także lubią piękne przemowy i opowieści; najnudniejsze dzielnice posiadają swych deklamatorów i swe yosé.

Zgłodniałe żołądki rozkoszują się historyjami fantastycznymi, często nieprzystojnymi, które jakiś pajac gadatliwy recytuje na świeżem powietrzu.

Na nieszczęście pijaństwo się powiększa; zamiast rabunków dorywczych, grożących ze strony włóczęgów, praktykują się obecnie kradzieże dokonywane przez szajki złodziejskie, zorganizowane umiejętnie; namiętność do gry rozszerza się, pomimo zakazów prawa i prześladowań ze strony policyi. Ponieważ z pomiędzy wszystkich gmachów prywatnych i publicznych tylko jeden parlament jest nietykalnym, tam właśnie złodzieje i szulerzy naznaczają sobie schadzki.

Trzystu deputowanych i trzystu senatorów dostaje się do parlamentu w otoczeniu tysięcy kurumayów, którzy na nich oczekują w ogrodach i salach dolnych. Gracze czatują na ich przejście i rzucają się na kurumy, popychając je z jakąś dziką energią. Deputowany, zawsze biorący wszystko za dobrą monetę, wyobraża sobie, że go undszą na skrzydłach popularności do świątyni sławy. Podczas gdy uchwała prawa, służba hałaśliwie przegrywa w orła i reszkę jego zaprząg, furaż, lektkę, nawet stajnię.

Jedyni nieszczęśliwi, którzy pracują nieustannie i w pracy tej pozostają wierni swej tradycji, są to dawniejsi parjasi, których dotąd jeszcze Japończycy nazywają *Eta* (t. j. nieczyści). Czy są oni dawnymi jeńcami koryjskimi, czy potomkami rozbitków lub trędowatych? Nikt nie zna ich pochodzenia. Ale buddyzm odtrącił tych ludzi, żywiących się mięsem, a lud nienawidzi tych oprawców zwierząt.

Od czasów niepamiętnych wyprawiali skóry, wyrabiali uzdy i bębny, pendzle, szczotki i t. p.

Zawierali małżeństwa tylko między sobą, żyli jak wygnańcy ze społeczeństwa. Gdy którykolwiek z nich wchodził do restauracji, właściciel kazał po jego wyjściu zmieniać tatami skalane. W 1854 r. pewien *Eta* był zabity w kłótni. Trybunał zawyrokował, że ponieważ wartość *Ety* równa się tylko siódmej części wartości zwykłego człowieka, morderca jego przed wymierzeniem kary, może jeszcze zabić sześciu innych nieczystych.

Pomimo to, gromadzili bogactwa; słuchali wodza, który był czems w rodzaju daïmiō'a, występował w ich imieniu wobec rządu. Wodza tego otaczali nadzorcy, wybierani przez głosowanie powszechne.

Restauracya nadała im równość cywilną i polityczną. Obojętnie przyjmują ten dar udzielony im na pamiątkę radośnego wstąpienia na tron cesarza; nie zmyto bowiem dawnej infamii. Przesąd trwa dotąd i to w takim stopniu, że niedawno pewien kapłan szyntoizmu, dowiedziawszy się że zięć jego pochodził z Etów, zażądał od trybunału unieważnienia małżeństwa, które tak wstrętne profanowało jego córkę. Trybunał orzekł tym razem, że Eta jest takim samym człowiekiem i powoda odprawił z niczem. Po wyroku kapłan ten, urzędnik kultu państwowego, z twarzą zwróconą ku niebu i ramionami wyciągniętymi, w czapce nasuniętej na uszy, zmieszany, prawie nieprzytomny, zawołał:

— Niema już Boga!

Bardzo, być może, że wielu Japończyków w skrytości ducha myśli tak samo. Uspokajają się jednak, widząc na swych wodach uzbrojone pancerniki i słysząc o zachodzie słońca dźwięki oręża. Flotę bowiem złożoną z pięćdziesięciu okrętów i armię trzystutysięczną, uzbroili przecież ich dawni bogowie. Jaka jest wartość tej floty, tych żołnierzy i ich wodzów? Najlepiej powiadomieni i najdoświadczeni nie mają o tem pojęcia. Znam takich, którzy są przekonani, że pułki żółte nie mogłyby się oprzeć urokowi barbarzyńców białych.

Niemniej prawdą jest, że obecnie z wszystkich instytucyi, które Japonia od nas zapożyczyła jedynie marynarka i armia narodowa, mają racyę bytu, w nich jedynie zalety rasy nie paczą się i nie schodzą na manowce. Ze wszystkich szkół, szkoła wojskowa jest jedyną, w której uczniowie zdają się przechowywać tradycyę narodowe i pracować dla przyszłości. Nietylko oficerowie, których poznałem, zdawali się stanowić jedyny organizm zdrowy w tem



społeczeństwie rozgorączkowanym, ale odznaczają się oni większą otwartością, wykształceniem i uprzejmością, niż inni młodzi ludzie. W chwili, gdy wchodziłem do koszar w towarzystwie majora Taguchi, generał odbywał właśnie przegląd pokojów żołnierskich.

Przechodził od jednego żołnierza do drugiego, oglądał tornistry i niekiedy się zatrzymywał dając zapytania. Dyalog zawiązywał się bystry i lakoniczny, pytania i odpowiedzi przypominały Wałechizm.

— Kto jest twym wodzem?

— Cesarz.

— Na czym polega duch wojskowy?

— Na posłuszeństwie i poświęceniu.

— Co to jest wielka waleczność?

— Nie zważając na liczbę wrogów, iść na-przód.

— A „mała waleczność“?

— Unosić się gniewem dla drobnostki i poniżać się brutalnością niską.

— Zkąd pochodzi krew, która czerwieni twój sztandar?

— Jest to krew tego, który go niósł w boju.

— O czym ci każe myśleć?

— O jego szczęściu.

— Co pozostaje po śmierci człowieka?

— Jego słowa.

Wychodząc, towarzysz mój rzekł do mnie:

— Nie pragnęliśmy bynajmniej, żeby kraj nasz stał się dla Europy muzeum osobliwości.

A ja pomyślałem: „Biedny żołnierzu, ubierają cię po europejsku, ale pomimo munduru nowego, mówisz tak, jak twoi przodkowie, poległ pod Sekigahara. Dopóki czuć i myśleć będziesz jak

oni, Japonia uczuwać będzie dreszcz boski, wywołany pamięcią o zmarłych przodkach. Dajesz mi to, czego szukałem daremnie w twej polityce, religii, w życiu rodzinnem, w bogactwach i nędzy: punkt stały, z kąd bez wielkiej obawy i melancholii obserwować mogę naród, który nie chciał być muzeum osobliwości, ale który staje się, niestety, stacją doświadczalną.

K O N I E C.













Biblioteka im. Hieronima  
Łopacińskiego w Lublinie

324 034

7.2

1000072535

